



T. 416. 191

1062

---

1871



1.503.158

1062

STEFAN ZWEIG

A M O K

WARSZAWA — 1933

---

TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „RÓJ“



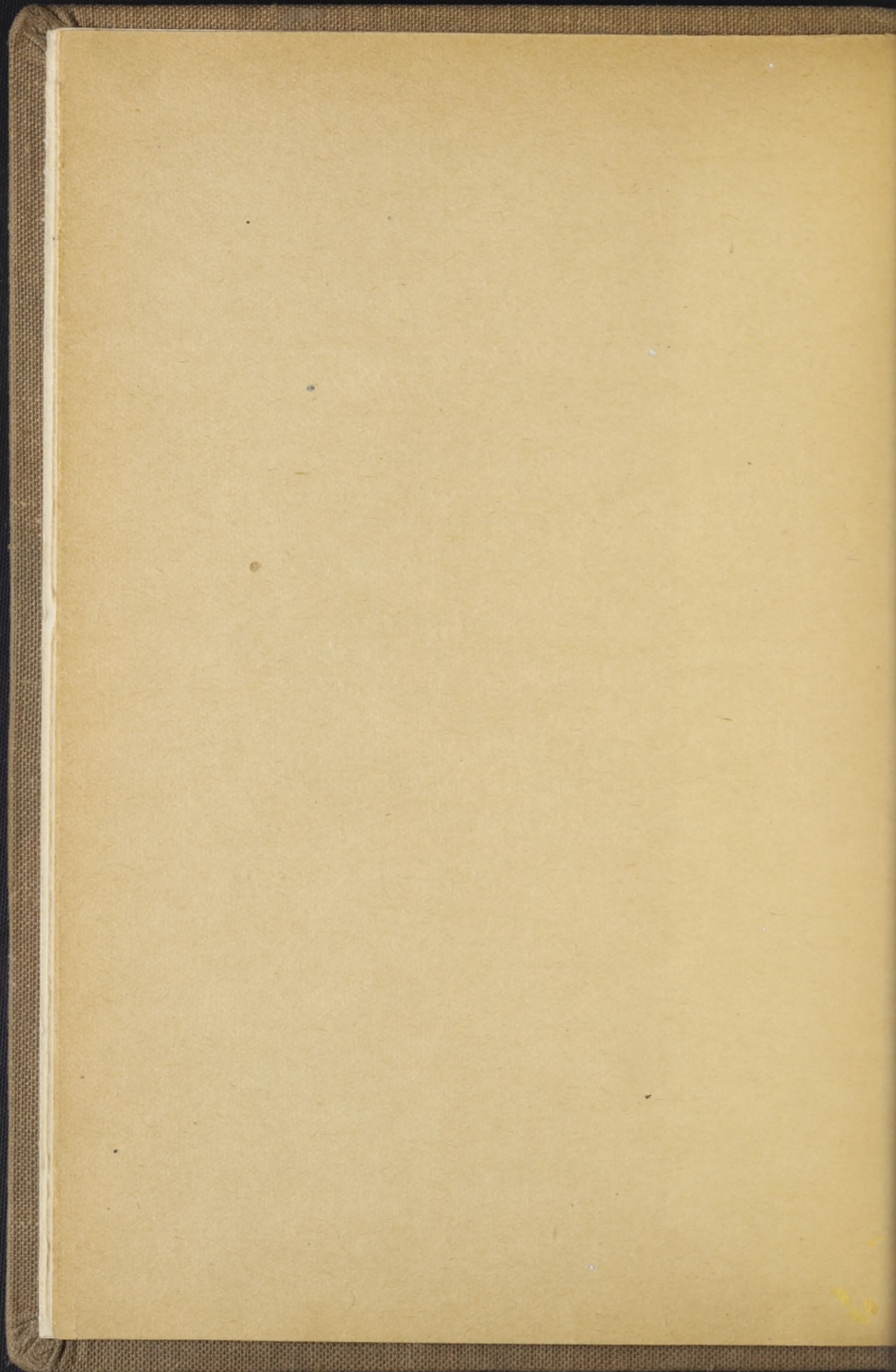
I 416.191

Drukarnia B-ci Wójcikiewicz, Warszawa.

1969 K 123/21







W marcu roku 1912 w porcie neapolitańskim, przy wyładowywaniu towarów z okrętu powracającego z Indji zdarzył się dziwny wypadek, o którym gazety przyniosły długie i bardzo fantastycznie zredagowane sprawozdania. Pomimo, że znajdowałem się jako pasażer na „Oceanji” nie mogłem tak samo jak i inni być świadkiem tego osobliwego wypadku, bo stało się to nocą, podczas wyładowywania węgla, kiedy wszyscy wysiedliśmy na ląd, celem uniknięcia tego przykrego hałasu, i zabawialiśmy się tam w kawiarniach lub w teatrach.

W każdym razie ja osobiście myślę, że niektóre przypuszczenia, których wtedy nie wyjawilem publicznie, mogłyby rzucić promyk światła na tę dziwną scenę, a czas, który odtąd upłynął, pozwala mi zużytkować pewną rozmowę, która bezpośrednio miała miejsce przed wzwyż wspomnianym epizodem.

\*

Kiedy chciałem w biurze okrętowym w Kalkucie zamówić sobie miejsce na „Oceanji” celem powrotu do Europy, clerk wzruszył ramionami z politowaniem i rzekł, że nie może powiedzieć na razie, czy będzie możliwe zapewnić mi osobną kabinę, bo okręt jest teraz tuż przed porą deszczową całkowicie wykupiony, ale że oczekują jeszcze w tej kwestji telegramu z Singapore.

Następnego dnia oświadczył mi na wstępie, że na szczęście może mi zamówić miejsce, co prawda jest to bardzo podła kabina, pod pokładem, w samym środku okrętu. Ale że się już niecierpliwiłem i chciałem jaknajprędzej powrócić do domu, więc nie wahałem się długo i kazałem zamówić sobie to miejsce.

Okazało się, że clerk miał zupełnie dokładne informacje. Okręt był przepelniony, a kabina rzeczywiście podła, mała, prostokątna dziura, wtłoczona w pobliże maszyny, oświetlona jedynie mętnym blaskiem okrągłej szyby okienka.

W zgęstniałem, zduszonym powietrzu czuć było olej i pleśń; nawet na sekundę nie można było uciec przed elektrycznym wentylatorem, podobnym do stalowego nietoperza, który dostał wścieklizny i krążył, brzęcząc, człowiekowi nad głową. Zdołu jęczała i sapała maszyna, jak zdyszany tragarz, noszący węgle bezustannie po tych samych schodach, a zgóry słyszało się bez przerwy kroki przechadzających się po pokładzie. To też uciekłem stamtąd na powietrze po chwili, gdy tylko zdołałem wrzucić mój kuferek w ten stęchły grób z szarych belek: wchodząc na górę, jak ambrę wdychałem słodkawy miękki wiatr, który z lądu wiał ponad falami.

Ale także i na pokładzie ciasnota była i niepokój: migało tylko i trzepotało w powietrzu od ludzi, którzy zdenerwowani wskutek zamknięcia i bezczynności paplali bezustannie i chodzili ciągle tam i napowrót. Rozszczebiotana kokieterja i żarty kobiet, nieustanne krążenie w kółko na ciasnem

przejściu na pokładzie, wszystko to mnie, nie wiem dlaczego, bolało. Widziałem dopiero co nowy, przedziwny świat, wchłaniałem w siebie szybko po sobie w szalonym tempie zmieniające się obrazy — a teraz chciałem to wszystko przemyśleć, rozdzielić, uporządkować, naśladować pewien kształt, w myślach odwzorować to, co pochłonałem wzrokiem, ale tu na tym ciasnym bulwarze nie było ani chwili spokoju i wytchnienia. Litery w książce rozplywały się przed nietrwałymi cieniami przechodzących. Niepodobieństwem było zostać samemu na tej wędrującej ulicy okrętowej, pozbawionej cienia. Próbowałem przez trzy dni — daremnie; patrzyłem z rezygnacją na ludzi, na morze, ale morze było ciągle to samo, niebieskie i puste: tylko podczas zachodu słońca naraz oblane wszystkimi barwami. A ludzi znałem wszystkich na pamięć, kiedy minęło trzy razy po dwadzieścia cztery godziny. Każda twarz była mi znajoma aż do przesytu, ostry śmiech kobiet przestał mnie drażnić, hałaśliwe kłótnie dwóch sąsiadujących ze mną holenderskich oficerów nie gniewały mnie już. Pozostawała więc tylko ucieczka: ale kabina była gorąca i duszna, a w salonie produkowały się na fortepianie młode Angielki, rąbiąc niemiłosiernie walce. Nagle zdecydowany przewróciłem ustalony porządek, zaszyłem się w kajucie już popołudniu, odurzwszy się przedtem kilkoma szklankami piwa, żeby przespać kolację i nieodzwonne tańce.

Kiedy się przebudziłem, było całkiem ciemno i duszno w małej trumnie, która mi służyła za kabinę. Zatrzymałem wentylator — powietrze przy-

lepiało mi się, tłuste i wilgotne, do skroni. Moje zmysły były odurzone, potrzebowałem kilku minut, żeby sobie przypomnieć, gdzie się znajduję. Musiało już być dobrze po północy, bo nie słyszałem ani muzyki ani nieustającego odgłosu kroków na pokładzie; tylko maszyna, to nigdy nie przestające oddychać serce lewiatana, pchało skrzypiące ciało okrętu w niewiadomą dal.

Poomacku wydostałem się na pokład. Było pusto, a kiedy podniosłem wzrok ponad ziejący parą wierzchołek komina i fantastycznie błyszczące maszty, naraz magiczna jasność zalała mi oczy. Niebo promieniało, wydawało się, jakby aksamitna zasłona zakrywała tam w górze jakieś niebywałe światło, jakby te iskrzące się gwiazdy były tylko otworami i szparami, poprzez które błyszczała ta nieopisana jasność. Nigdy nie widziałem takiego nieba, jak tej nocy, tak jaśniejącego, tak twardego, stalowo niebieskiego, a jednak iskrzącego, kapiącego, szumiącego, tryskającego światłem, które szło z księżycy i z gwiazd, a które jednak zdawało się palić w tajemniczym wnętrzu. Białe lakier migotał jaskrawo w świetle księżycy, wszystkie brzegi okrętu na tle aksamitno - ciemnego morza, liny, reje, wszystkie kontury rozplływały się w tem falującym świetle; niejako w próżni zdawały się wisieć światła na masztach i ponad niemi okrągłe oko okrętu, ziemską, żółtą gwiazdą pomiędzy promieniącymi gwiazdami nieba.

Ponad moją głowę zawisła czarodziejska konstelacja gwiazd, krzyż południa, błyszczącymi dżamentowemi gwoździami przybity do niewidzialnej

przestrzeni, unoszący się pozornie w powietrzu, gdy tymczasem tylko okręt ciężko oddychającą piersią wytwarzał ruch w dół i w górę, jak olbrzymi pływak, przez ciemne fale pchający kadłub. Stałem i patrzyłem w niebo: miałem uczucie, że jestem w kąpieli, gdzie gorąca woda płynie z góry, tylko że to była nie woda, lecz światło, białe i ciepłe, które mi zalewało ręce, ramiona i głowę. Odetchnąłem swobodnie, lekko — i nagle olśniony, poczułem na wargach orzeźwiający trunek: — powietrze, ciepłe, fermentujące, łatwo upajające powietrze, w którym był oddech owoców i woń dalekich wysp; i po raz pierwszy, odkąd się znalazłem na tych deskach, uczułem świętą rozkosz — marzenia, i to pragnienie zmysłowe, żeby ciało oddać jak kobieta tej otaczającej mnie miękkości. Chciałem się położyć i wznieść wzrok ku tym białym hieroglifom. Ale wszystkie leżaki i krzesła były usunięte, na całym pokładzie nie było gdzie usiąść. Poomacku dostałem się aż na dziób okrętu, oślepiiony światłem, które coraz gwałtowniej przenikało mnie, wydzielając się z otaczających przedmiotów.

To wapienno-białe, jaskrawo palące się światło bolało mnie prawie, pragnąłem gdzie zakopać się w cieniu, leżeć na jakiejś macie, nie czując tego blasku, odbijającego się w przedmiotach, tak, jak się widzi jakiś pejzaż z zaciemnionego pokoju. Poprzez żelazne zwoje, potykając się na linach, doszedłem nareszcie aż do dziobu, spojrziałem na dół, gdzie przednia część okrętu nurzała się w czarnej wodzie, a roztopione światło księżyca tryskało pianą po obu stronach. Pług ten podnosił się ciągle i

opadał w czarne falujące skiby morza; odczuwałem wszystkie katusze zwyciężonego żywiołu, odczuwałem całą rozkosz ziemskiej siły w tej błyskotliwej grze fal. W zapatrzeniu się zapomniałem o czasie. Czy stałem tu już od godziny, czy tylko od kilku minut? W dół i w górę, w dół i w górę kołysała mnie olbrzymia kołyska okrętu. — Czułem tylko, że przychodzi na mnie zmęczenie, które było prawie rozkoszą. Chciałem spać i śnić, ale nie chciałem oddać się z tego czarodziejskiego koła i wracać na powrót do mojej trumny. Mimowoli wyczułem pod nogami zwój lin. Usiadłem z zamkniętymi oczyma, ale nie pełnemi cienia, bo przed niemi, nad niemi płynął srebrny blask. W dole słyszałem cichy szum wody, a nad sobą, niedosłyszalnym dźwiękiem — biały prąd tego światła. Stopniowo wchodził mi ten szum w krew; nie czułem już, czy żyję i nie wiem, czy był to mój własny oddech, czy dalekie bicie serca okrętu; płynąc, rozpływałem się w tym niespokojnym szumie świata.

\*

Suchy cichy kaszel w pobliżu mnie sprawił, że się zerwałem. Przerażony przebudziłem się z upajających marzeń. Oczy moje, oślepiłe od białego światła, które jaśniało ponad dotychczas zamkniętymi powiekami, chciały się czegoś doszukać w ciemności; tuż naprzeciw mnie w cieniu ściany okrętowej błysnęło coś, jaby refleks okularów, a teraz zarzyła się wielka krągła iskra — ognik fajki. Kiedy usiadłem tam, patrząc na pianą oblaną dziób okrętu i w górę na krzyż południa, nie zauważyłem



widocznie tego sąsiada, który tu musiał siedzieć cały czas bez ruchu. Jeszcze niezupełnie przytomny wyrzekłem po niemiecku:

— Przepraszam.

— O, proszę — odpowiedział głos z ciemności po niemiecku.

Nie umiem opisać, jak dziwne i nieprzyjemne było to siedzenie w milczeniu blisko siebie w ciemnościach, jeden obok drugiego, nie widząc się nawzajem. Mimowoli miałem wrażenie, jakby ten człowiek patrzył na mnie ustawicznie tak samo, jak ja na niego patrzyłem. Ale tak silne było to białe błyszczące światło ponad nami, że jeden drugiego nie mógł widzieć, nic, tylko zarys konturów w cieniu. Zdawało mi się jedynie, że słyszę oddech i syczący szmer ssania fajki.

To milczenie było ponad siły. Byłbym najchętniej odszedł, ale wydawało mi się, że byłoby to za gwałtowne, za nagłe. Zakłopotany wyjąłem papierosa. Zapalka syknęła i przez chwilę drgał promyk światła w ciasnej przestrzeni. Zobaczyłem poza okularami obcą twarz, której nigdy nie widziałem dotąd na okręcie, przy żadnym posiłku, w żadnym korytarzu; czy to nagłe światło było przykre dla oczu, czy też była to halucynacja, ale twarz ta wydawała mi się przerażająco wykrzywiona, ponura, djabelska. Ale zanim wyraźnie spostrzegłem pojedyncze szczegóły, ciemność połknęła znowu śpiesznie oświetlone linje, widziałem jak przedtem tylko kontury jakiejś postaci ciemnej i wciśniętej w ciemność, i kiedy niekiedy krążył płomień ognistego pierścienia fajki w powietrzu. Zaden z

nas nie mówił, a to milczenie było parne i duszące, jak podzwrotnikowe powietrze.

Nareszcie, nie mogąc tego znieść dłużej, wstałem i powiedziałem grzecznie:

— Dobranoc.

— Dobranoc — odpowiedział z ciemności ochrypły, twardy, jakby zardzewiały głos.

Potykając się, posuwałem się z trudem naprzód, poprzez liny okrętowe koło słupów. Nagle usłyszałem poza sobą odgłos szybkich, niepewnych kroków. Był to człowiek, który siedział ze mną przed chwilą. Mimowoli stanął, ale nie przybliżył się, w ciemności czułem tylko jakby strach i przygnębienie w odgłosie jego kroków.

— Przepraszam — powiedział prędko — że osmielę się zanieść do pana prośbę. Ja... ja... — jak się nie mógł mówić dalej z zakłopotania — ja... ja... mam osobiste... całkiem osobiste powody unikania ludzi... śmierć osoby... usuwam się od tego towarzystwa na okręcie... nie mówię tu o panu, nie... nie... Prosiłbym tylko... Pan by mnie zobowiązał ogromnie, gdyby pan nikomu na okręcie nie mówił, że mnie pan widział tutaj... Mam, jak powiedziałem osobiste powody, które mi wzbraniają szukać teraz towarzystwa ludzkiego... tak... Byłoby mi przykro, gdyby pan wspomniał, że mnie... że tu kto w nocy... że... ja...

Słowa mu znów więzły w gardle. Widząc jego zmieszanie, zapewniłem go z największym pośpiechem, że wypełnię najchętniej jego prośbę. Podaliśmy sobie ręce. Potem wróciłem do mojej ka-

juty i zasnąłem snem ciężkim, dziwnie poplątanym  
bałamutnymi widziadłami.

\*

Dotrzymałem przyrzeczenia i nie mówiłem ni-  
komu na okręcie o osobliwym spotkaniu, pomimo,  
że pokusa była niemała. Bo podczas podróży mor-  
skiej najmniejsza drobnostka staje się wydarzeniem:  
żagiel na horyzoncie, delfin w skoku, nowo odkry-  
ty flirt, przelotny żart. Przytem dręczyła mnie cie-  
kawość dowiedzenia się czegoś więcej o tym tajem-  
niczym podróżnym, szukałem w liście okrętowej  
nazwiska, któreby mogło należeć do niego, przy-  
patrywałem się ludziom, czy mogli pozostawać z  
nim w jakimkolwiek związku; owładnęła mną ner-  
wowa niecierpliwość, przez cały dzień czekałem  
właściwie tylko na wieczór, czy go znowu nie spot-  
kam. Zagadkowe psychologiczne sprawy mają na-  
demną poprostu niepokojącą przewagę, drażnią  
mnie aż do krwi, chciałbym wszędzie dociekać zwią-  
zków, a dziwaczni ludzie potrafią mnie już  
przez swą obecność rozpalić aż do namiętności, na-  
miętności niemniejszej, niż chęć posiadania kobie-  
ty. Dzień mi się dłużył i kruszył w palcach. Poło-  
żyłem się wcześniej do łóżka: wiedziałem, że się  
zbudzę o północy, że mnie to zbudzi.

I rzeczywiście, zbudziłem się o tej samej porze,  
co wczoraj. Na zegarku obydwie wskazówki nafa-  
sforyzowane stanowiły jedną jasną linię. Prędko  
wyszedłem z parnej kabiny w jeszcze duszniejszą  
noc.

Gwiazdy błyszcząły, jak wczoraj i sypały prze-

nikliwe światło na drżący okręt. Wysoko ponad nami płońał krzyż południa. Wszystko było, jak wczoraj — w krajach podzwrotnikowych dni i noc są bardziej bliźniaczo do siebie podobne, niż w naszej umiarkowanej strefie — tylko we mnie nie było tego miękkiego, płynnego, sennego kołysania, jak wczoraj. Coś mnie ciągnęło, bałamuciło i wiedziałem, gdzie mnie ciągnie: tam do czarnych zwojów lin na dziobie okrętu... czy znowu siedzi tam bez ruchu ów tajemniczy podróżny. Z góry zabrzmiał głos dzwonu okrętowego. To mnie porwało. Szedłem krok za krokiem, niechętnie ulegając wewnętrznemu głosowi. Jeszcze nie zbliżyłem się do dziobu, gdy nagle drgnęło tam coś, jak czerwone oko: fajka. A więc był...

Mimowoli stanąłem. W następnej chwili byłbym już poszedł dalej, gdy wtem ruszył się ktoś w ciemności, ktoś wstał, zrobił dwa kroki i nagle usłyszałem tuż blisko głos, uprzejmy i przybity:

— Proszę wybaczyć, — powiedział — pan chce prawdopodobnie wrócić na swoje miejsce i miałem wrażenie, że pan chciał uciec, skoro mnie pan zobaczył. Proszę, niech pan usiądzie, ja odejdę.

Pospieszyłem, żeby mu powiedzieć, że owszem, może tam zostać i że tylko dlatego zawahałem się idąc, bo nie chciałem mu przeszkadzać.

— Mnie pan nie przeszkadza — powiedział z pewną goryczą — przeciwnie, jestem szczęśliwy, że nie będę skazany na samotność. Od dziesięciu dni nie mówiłem z nikim ani słowa... właściwie już od lat... i może dlatego mi to tak ciężko przychodzi... bo się już prawie dławię tem, co sam musiałem po-

łykać. Nie mogę... a ludzi jeszcze nie znoszę, bo się przez cały dzień śmieją... tego nie mogę słuchać... teraz... śmiech ten dochodzi mnie w kabinie, zatykam sobie uszy... prawda, że pan nic nie wie, i cóż to zresztą może obchodzić obcych...

Przerwał znowu — i rzekł potem nagle i prędko:

— Ale ja pana nie chcę trudzić... niech mi pan wybaczy moją gadatliwość!

Uklonił się i chciał odejść ale sprzeciwiłem się temu gwałtownie.

— Pan mi zupełnie nie przeszkadza. Jestem naprawdę szczęśliwy, że mogę parę cichych słów z kimś zamienić... Chce pan papierosa?

Wziął. Podałem mu ognia. Znowu w świetle odewała się jego twarz od czarnej ściany okrętu, ale tym razem zupełnie do mnie zwrócona: oczy z poza okularów badały moją twarz łączywie z obłąkaną mocą. Przerazenie mnie ogarnęło. Czulem, że ten człowiek chce mówić, musi mówić. I wiedziałem, że ja muszę milczeć, żeby mu dopomóc.

Uklonił się i chciał odejść, ale sprzeciwiłem mu ofiarował. Nasze papierosy iskrzyły się i w sposobie, jak pierścień światła z jego papierosa drżał w ciemnościach, widziałem, że jego ręka trzęsie się. Ale milczałem i on milczał.

Potem odezwał się zcicha:

— Czy pan jest bardzo zmęczony?

— O nie, zupełnie nie.

Głos w ciemności zawahał się znowu:

— Chciałbym pana o coś zapytać... właściwie chciałbym panu coś opowiedzieć... czuję, jak to głupio z mej strony udawać się do pierwszego, kogo spot-

kam, ale... jestem... w strasznym położeniu... doszedłem do tego, że muszę koniecznie z kimś mówić.. inaczey zmarnieję, zginę... Wiem, że mi pan nie pomoże... ale jestem poprostu chory z powodu tego milczenia... a chory jest zawsze śmieszny dla innych...

Przerwałem mu i prosiłem, żeby się nie męczył. Niech mi tylko opowie, nie mogę mu naturalnie niczego obiecać, ale człowiek ma przecież obowiązek niesienia pomocy drugiemu.

— Obowiązek... niesienia pomocy drugiemu... Więc pan także sądzi... pan także, że się ma obowiązek... obowiązek niesienia zawsze pomocy...?

Trzy razy powtórzył to zdanie. Wstrętem napęłniał mnie ten tępy, zawzięty sposób powtarzania. Czy ten człowiek był obłąkany? Może tylko pijany?

Ale jak gdybym wypowiedział głośno to przypuszczenie, rzekł zupełnie innym tonem:

— Pan mnie będzie miał za warjata, albo pijanego. Nie, warjatem jeszcze nie jestem — jeszcze nie tylko słowa, które pan powiedział tak dziwnie mnie uderzyły... tak dziwne, bo to, co mnie teraz męczy, mianowicie, czy człowiek ma obowiązek, obowiązek...

Zaczął znowu się jąkać. Potem przerwał nagle i zaczął na nowo:

— Jestem mianowicie lekarzem. W mojej sytuacji często zdarzają się takie fatalne wypadki... mianowicie, nie zawsze istnieje tylko jeden obowiązek, obowiązek wobec innych, ale także obowiązek wobec siebie, wobec państwa i wobec nauki. Trzeba pomagać... naturalnie, od tego człowiek jest... ale takie zasady są tylko teoretyczne. Gdzie granica?

Pan jest obcy człowiek i ja panu jestem obcy, a ja pana proszę, żeby pan milczał o tem, że mnie pan tu spotkał... dobrze... pan milczy, pan spełnia ten obowiązek... Teraz proszę pana, żeby pan ze mną mówił dlatego, że moje milczenie mnie dławi... i pan jest w tej chwili gotów słuchać mnie... dobrze, ale to wszystko jest łatwe... A gdybym pana prosił, żeby mnie pan porwał i strącił z okrętu... wtedy kończy się uprzejmość i gotowość niesienia pomocy! Gdzieś się kończy... tam, gdzie się zaczyna własne życie i własna odpowiedzialność... gdzieś się musi skończyć... gdzieś ustaje ten obowiązek...

Albo może właśnie... Czyż lekarz musi być koniecznie zbawicielem, pomagającym całemu światu, tylko dlatego, że posiada dyplom z łacińskimi wyrazami, czyż musi oddać życie, jeśli jakaś... czy jakiś ktoś przyjdzie i żąda, żeby był szlachetny, dobry, gotowy do pomocy? Tak, gdzieś ustaje ten obowiązek... tam, gdzie się już nie ma sił... tam...

Zamilkł na chwilę i porwał się znowu:

— Przepraszam pana, jestem taki podniecony... ale nie jestem pijany... jeszcze nie pijany... to mi się także zdarza teraz, przyznaję się panu szczerze... w tej piekielnej samotności... Niech pan pomyśli, siedem lat, siedem lat żyłem tylko między zwierzętami i krajowcami... Wtedy zapomina się mówić spokojnie. Kiedy się raz otworzy zaporę, przelewa się wszystko... Ale niech pan poczeka... wiem już... chciałem pana zapytać... chciałem panu opowiedzieć taki wypadek: czy się ma obowiązek pomocy... tak, w anielsko czystej intencji pomóc, czy... Obawiam się,

czy to zresztą nie będzie trwało za długo. Czy pan naprawdę nie jest zmęczony?

— Nie, zupełnie nie.

— Dziękuję panu... Nie napije się pan?

Szukał czegoś w ciemności. Coś zabręczało, dwie czy trzy — w każdym razie kilka butelek, które stały obok niego. Ofiarował mi kieliszek whisky, w którym umaczałem usta, on zaś odrazu wychylił całą. Przez chwilę milczenie stało między nami, jak mur. Wtem dzwon okrętowy wybił w pół do pierwszej.

\*

— Chciałbym panu powiedzieć coś, co się zdarzyło... Niech pan przypuści, że lekarz w małym miasteczku... albo właściwie na wsi... lekarz, który...

Przerwał znowu. Naraz gwałtownie przysunął swoje krzesło do mnie.

— Tak nie pójdzie. Muszę panu powiedzieć wszystko dokładnie od początku do końca, inaczej mnie pan nie zrozumie. To się nie da przedstawić jako przykład, jako teorje... muszę panu powiedzieć to, co się mnie samemu wydarzyło... Wtedy nie ma się wstydu, ani ukrywania się... przedemną ludzie też się rozbierają do naga, pokazują mi swoje stupy, mocz i ekskrementa... jeżeli się chce pomocy od kogoś, nie można nic przemilczać... Więc nie będę panu opowiadał o jakimś legendarnym lekarzu... rozbieram się przed panem do naga i powiadam panu: ja... zapomniałem o wstydzie w tej przeklętej samotności, w tym przeklętym kraju, który człowiekowi duszę wyjada i szpik wysysa z kości.



Musiałem zrobić jakiś ruch, bo przerwał nagle.

— Ach tak, pan protestuje... rozumiem! Pan jest zachwycony Indjami, świątyniami i drzewami palmowemi i całą romantyką dwumiesięcznej podróży. Tak, czarodziejski jest ten świat podzwrotnikowy, jeśli się go widzi z okien kolei, samochodu lub z rikszy; nie odczuwałem tego także inaczej, kiedy przybyłem tu przed siedmiu laty. O czym ja nie marzyłem wtedy! Chciałem się uczyć języków i czytać święte księgi w oryginale, studjować choroby, pracować naukowo, poznać psychikę krajowców — zostać misjonarzem ludzkości, cywilizacji... Wszyscy, którzy tu przyjeżdżają, marzą o tem samym. Ale w tej niewidocznej cieplarni traci się siły, gorączka — której się przecież dostaje, choćby się nie wiem wiele zażyło chininy, — przenika człowieka do szpiku, czyni go leniwym, ociężałym, rozmiękłym. Jest się jako Europejczyk odciętym od swego własnego ja, kiedy się z wielkiego miasta przyjedzie do takiej bagnistej, przeklętej miejscowości, po krótszym czy dłuższym czasie każdy jest podcięty, jedni piją, drudzy palą opjum, niektórzy biją się ze sobą, jak bestje — na każdego przyjdzie jakieś obłąkanie. Tęskni się do Europy, marzy się o tem, żeby raz przejść ulicą, siedzieć w jasnym pokoju z białymi ludźmi, rok w rok marzy się o tem, a kiedy przyjdzie potem czas wakacyj, jest się wtedy już za leniwym, żeby wyjechać. Wie się, że tam jest się już zapomnianym, obcym, muszlą w morzu... Zostaje się, niedołącznieje, marnieje w tych gorących mokrych lasach. Przeklętym niech będzie ten dzień, kiedy się sprzedałem do tego bag-

nistego brudnego gniazda! Zresztą, tak zupełnie dobrowolne to nie było...

Kończyłem nauki w Niemczech, zostałem doktorem medycyny, wziętym lekarzem z posadą na klinice w Lipsku; gdzieś w zaginionych dawno rocznikach jakiegoś lekarskiego pisma ceniono wartość nowej iniekcji, którą ja pierwszy zastosowałem w mej praktyce. Wtedy zdarzyła się historia z kobietą, z osobą, którą poznałem w szpitalu; pozbawiła rozumu swego kochanka, także ją postrzelił, a niedługo i ja byłem tak samo szalony, jak on. Była taka zimna i pyszna, że mnie to do wściekłości doprowadzało. Zuchwałe i despotyczne kobiety miały zawsze przewagę nademną. Ale ta tak mi dopiekała, że mi aż kości połamało. Robiłem, co chciała — wkońcu... dlaczego nie mam powiedzieć, minęło już osiem lat od tego czasu — dla niej sięgnąłem do kasy szpitalnej... a kiedy rzecz wyszła najaw, zrobiła się awantura. Wuj mój pokrył szkodę, ale karjera była już raz na zawsze skończona. Wtedy dowiedziałem się, że holenderski urząd werbuje lekarzy do kolonij i daje zadatek. Pomyślałem sobie zaraz, że musi to być nieczysty interes, za który dają zadatek, wiedziałem, że krzyże na cmentarzach w tych bagnistych plantacjach trzy razy tak prędko wyrastają w górę, jak u nas, ale gdy się jest młodym, myśli się zawsze, że gorączka i śmierć są dla innych. Nie miałem wyboru, pojechałem do Rotterdamu, zobowiązałem się na dziesięć lat, dostałem pokazną paczkę banknotów, połowę posłałem zaraz do domu dla wuja, a drugą połowę zabrała mi tam w porcie jedna dziewczyna, która wszystko wyłu-

dziła odemnie, bo była tak podobna do tamtej przekłętej kocicy.

Bez pieniędzy, bez zegarka, bez iluzji wyjechałem z Europy i nie byłem nawet zasmucony, kiedy wypłynęliśmy z portu. A potem siedziałem tak samo na pokładzie, jak pan teraz, i jak siedzieli wszyscy, i patrzyłem na krzyż południa i na palmy, serce mi rosło — ach, lasy, samotność, cisza... marzyłem!...

Samotności miałem niedługo dosyć. Nie posłali mnie ani do Batawji ani Surabaji, do miasta, gdzie są ludzie, kluby, golf, książki i gazety — tylko do... nazwa tu jest rzeczą obojętną — do jakiejś obwodowej stacji, dwa dni jazdy z najbliższego miasta. Kilku nudnych zaschniętych urzędników, kilku half-cast, to było moje towarzystwo, zresztą tylko las i las, plantacje, gąszcz i bagna.

Z początku było jeszcze znośnie: robiłem rozmaite studia; raz, kiedy wice-rezydent w podróży inspekcyjnej wywalił się razem z samochodem i zdruzgotał sobie nogę, zrobiłem bez asystenta operację, o której dużo mówiono; zbierałem trucizny i broń krajowców, zajmowałem się tysiącem drobiazgów, żeby się trzymać i nie ulec apatji. Ale to wszystko było możliwe tylko tak długo, jak długo siły, które przywiozłem z Europy, jeszcze we mnie funkcjonowały; potem zacząłem usychać. Tych kilku Europejczyków nudziło mnie, zerwałem stosunki z nimi, zacząłem pić i marzyć. Musiałem wytrzymać jeszcze tylko dwa lata, potem byłem wolny, z pensją, mogłem, mogłem wrócić do Europy i jeszcze raz rozpocząć życie na nowo. Właściwie nic już nie robiłem więcej, tylko czekałem, leżałem i cze-

kałem. I tak siedziałbym jeszcze tam dziś, gdyby ta kobieta... gdyby się to nie było zdarzyło...

Głos w ciemnościach ucichł. Fajka przestała się tlić. Tak cicho było, że naraz usłyszałem znowu szum wody, łamiącej się i pieniającej na dziobie okrętu i dalekie, tępe uderzenia serca maszyny. Chętnie byłbym zapalił papierosa, ale obawiałem się jaskrawego światła zapalniczki i refleksu na jego twarzy. A on milczał i milczał. Nie wiedziałem, czy skończył mówić, czy marzył, czy spał, tak matwie było to milczenie.

Wtem dzwon okrętowy wybił jedno silne uderzenie: pierwsza. Zerwałem się. Usłyszałem znowu brzęk szklanki, prawdopodobnie ręka macała wokół, szukając whisky. Przełknął cicho — potem głos zabrzmiał na nowo, ale teraz więcej naprężony, bardziej namiętny:

— A więc... a więc rzecz się miała tak: siedzę tam na górze, w mojem przekłętym gnieździe, siedzę jak pajak w siatce już od miesięcy, bez ruchu. Właśnie skończyła się pora deszczowa, tydzień za tygodniem pluskało o dach, nikt nie przychodził, żaden Europejczyk, dzień w dzień siedziałem z moimi żółtymi kobietami i z whisky. Byłem wtedy właśnie zupełnie „down”, chory na tęsknotę do Europy, gdy czytałem jakiś romans o jasnych ulicach i białych kobietach, zaczynały mi palce drżeć. Nie mogę wytłumaczyć panu dokładnie tego stanu, jest to rodzaj podzwrotnikowej gorączki, szalona, gorączkowa, a jednak bezsilna nostalgia, która porywa czasami człowieka. W takim stanie siedziałem raz — zdaje mi się — pochylony nad atlasem — i śniłem

o podróżach. Naraz silne pukanie do drzwi. Przed drzwiami stoi boy i jedna z kobiet, i obydwójce mają oczy wytrzeszczone ze zdumienia. Robią wielkie gesty: jakaś pani jest tu... jakaś lady, słowem biała kobieta.

Zrywam się. Nie słyszałem żadnego powozu ani samochodu... Biała kobieta, tu w tej dziczy?

Chcę zbiegnąć ze schodów, ale wstrzymuję się na czas, jedno spojrzenie do lustra. Piędko porządkuję moją toaletę, nerwowo, niespokojnie, dręczony jakimś niemiłym przecuciem, bo nie znam nikogo na świecie, ktoby przychodził do mnie powodowany przyjaźnią. Nareszcie schodzę nadół.

W sieni czeka dama i podchodzi szybko do mnie. Gęsty welon, używany podczas jazdy samochodem, zakrywa jej twarz. Chcę ją przywitać, ale ona nie daje mi przyjść do słowa:

— Dobry wieczór, doktorze — mówi po angielsku bardzo płynnie (trochę za płynnie, jakby ułożyła sobie co ma powiedzieć) — Proszę mi wybaczyć, że pana napadam. Ale byliśmy właśnie na stacji, nasz samochód czeka opodal — (dlaczego nie zajeżdża przed dom — wpada mi błyskawicznie na myśl) — wtedy przypomniałam sobie, że pan tu mieszka. Już tak wiele słyszałam o panu... Pan dokażał naprawdę cudu z wice-rezydentem. Jego noga jest all right, gra w golfa jak dawniej. Ach tak, wszyscy mówią o tem, oddalibyśmy chętnie naszego mrukliwego Surgeona i tych dwóch innych, gdyby pan przyszedł na ich miejsce. Dlaczego pana nigdy nie widać w mieście? Pan żyje jak yo-ga...

I tak mówi prędko, coraz prędzej, nie dając mi przyjść do słowa. Coś nerwowego, niepewnego jest w tej próżnej gadaninie, tak, że się to i mnie udzielać zaczyna. Dlaczego mówi tak prędko i tak dużo, pytam się w duszy, dlaczego się nie przedstawia, dlaczego nie zdejmuje wolonu? Czy ma gorączkę? Czy jest chora? Czy może obłąkana? Denerwuję się coraz bardziej, bo odczuwam całą śmieszność sytuacji, stoję przed nią oniemiały, zalany potokiem jej słów. Nareszcie zatrzymuje się na chwilę, tak, że mogę ją poprosić na górę. Daje znak, żeby boy pozostał, i wychodzi przede mną na schody.

— Bardzo tu ładnie u pana — mówi, rozglądając się po moim pokoju — Ach, jakie śliczne książki, chciałabym je wszystkie przeczytać — przystępuje do szafy z książkami i ogląda tytuły. Pierwszy raz, odkąd się znalazła u mnie, milczy przez chwilę.

— Czy mogę pani służyć herbatą? — pytam. Nie obraca się i patrzy na tytuły książek.

— Nie, dziękuję panu, doktorze.. musimy zaraz wracać... nie mam dużo czasu... jestem tylko na małej wycieczce... Ach, pan ma tu Flauberta, ja go tak szalenie lubię... cudowny, wprost cudowny... „Education sentimentale”... widzę, że pan czyta także po francusku. Jak pan wiele umie!... Tak, Niemcy uczą się wszystkiego w szkole... To naprawdę nadzwyczajne, tyle języków!... Wice-rezydent wierzy w pana, mówi zawsze, że pan jest jedynym, któremu by się oddała pod nóż... nasz pocziwy Surgeon potrafi tylko grać w bridge’a. Zresztą, wie pan — (ciągle jeszcze stoi tyłem) — dziś przyszło

mi na myśl, że ja sama powinnabym się pana pora-  
dzić... a że właśnie przejeżdżaliśmy tędy, pomyśla-  
łam sobie... ale pan jest teraz pewnie zajęty... przyjdę  
inym razem...

Nareszcie odkrywasz karty! — pomyślałem sobie  
odrazu, ale nie dałem nic poznać po sobie, tylko za-  
pewniłem ją, że zawsze będzie dla mnie zaszczytem  
służyć jej, kiedy zechce.

— To nie jest nic poważnego — powiedziała ob-  
racając się w pół i jednocześnie przeglądając książ-  
kę, którą zdjęła z półki — nic poważnego... drob-  
nostka... kobiece historje... zawroty głowy... omdle-  
nia... Dziś rano podczas jazdy, kiedy skręcaliśmy,  
upadłam nagle „raide morte”, boy musiał mnie pod-  
nosić w samochodzie i szukać wody... może szofer  
jechał za szybko... nie myśli pan, doktorze?

— Nie mogę nic o tem sądzić. Czy pani miewa  
częściej takie omdlenia?

— Nie, to znaczy... w ostatnich czasach... właśnie w  
ostatnich czasach... tak, takie omdlenia, nudności...

Stoi znowu przed szafą z książkami, wkłada jedną  
książkę napowrót, wyjmuje drugą i przerzuca kart-  
ki. To dziwne: dlaczego robi to tak nerwowo... dla-  
czego nie podniesie oczu pod welonem? Naumyśl-  
nie nie mówię nic. Mam ochotę dać jej poczekać.  
Nareszcie zaczyna znowu w swój szczebioczący spo-  
sób:

— Prawda, doktorze, że to nic niebezpiecznego?  
Podzwrotnikowa gorączka, lub coś podobnego?....

Przystępuję do niej. Cofa się.

— Musiałbym najpierw sprawdzić, czy pani ma  
gorączkę. Czy mogę poprosić o puls?

— Nie, nie, ja nie mam gorączki... napewno nie... mierzyłam sama codziennie od... czasu, jak zaczęły przychodzić te omdlenia. Nigdy gorączki, zawsze tylko 36.4, nigdy więcej. Żołądek jest także w porządku.

Waham się przez chwilę. Cały czas już drażni mnie podejrzenie, czuję, że ta kobieta chce czegoś odemnie. Nikt nie przyjeżdża na takie pustkowie, żeby rozmawiać o Flaubercie. Przez jedną, dwie minuty daję jej czekać.

— Przepraszam panią — mówię potem poprostu — czy mogę zadać pani parę pytań?

— Naturalnie, doktorze, pan przecież jest lekarzem — odpowiada, już znowu obrócona plecami i bawi się książką.

— Czy pani miała dzieci?

— Tak, syna.

— A miała pani przedtem... myślę wtedy... czy nie zauważyła pani podobnych symptomów, jak teraz?

— Tak.

Ma teraz zupełnie inny głos. Całkiem czysty, stanowczy, nie szczebiocący, zupełnie nie nerwowy.

— A czy jest możliwe... przepraszam za to pytanie... że pani się teraz znajduje w tym samym stanie?

— Tak.

Ostro jak brzytwa i przenikliwie pada to słowo. W jej odwróconym profilu nie drgnęła ani jedna linja.

— W takim razie byłoby może najlepiej, gdybym



mógł panią zbadać... Czy mogę poprosić do drugiego pokoju?

Wtedy obraca się nagle. Przez welon czuję zimny stanowczy wzrok, który mi patrzy prosto w oczy.

— Nie... to niepotrzebne... mam zupełną pewność co do mego stanu.

\*

Głos waha się przez chwilę, i znowu napełniona szklanka błyska w ciemności.

— A więc niech pan słucha dalej... ale proszę sobie wyobrazić przez chwilę tę sytuację. Do kogoś, który ginie z samotności, przychodzi kobieta — pierwsza biała kobieta od lat, która przestępuje próg tego pokoju... i naraz czuję: w pokoju jest coś złego.. jakieś niebezpieczeństwo. Dreszcz mnie przeszedł, czułem wstręt do stalowej woli tej kobiety, która weszła tu szczebiocząc, a potem naraz jak nóż z pochwy wyciąga swoje żądanie. Bo wiedziałem już dawno, wiedziałem odrazu czego chciała odemnie. Nie pierwszy raz zdarzało się, że kobiety żądały odemnie czegoś podobnego, ale przychodziły inaczej... przychodziły zawstydzone, albo błagające, przychodziły ze łzami i z zakłęciami. Tu jednak była stalowa, męska wola... od pierwszej sekundy czułem, że ta kobieta była silniejsza odemnie... że mogła mnie zmusić do spełnienia swej woli... jeżeli chciała... Ale we mnie było także coś złego.. mężczyzna, który się bronił, jakieś rozgoryczenie... bo jak już powiedziałem, od pierwszej sekundy, zanim ją jeszcze zobaczyłem, miałem wrażenie, że ta kobieta jest moim wrogiem.

Z początku milczałem uparcie i zawzięcie. Czulem, że patrzyła na mnie z pod welonu — wprost wyzywająco, że chciała mnie zmusić do mówienia. Ale ja nie chciałem tak łatwo ustąpić. Zacząłem mówić, ale wymijająco... mimowoli naśladowałem jej gadatliwy, obojętny sposób mówienia. Udawałem, że jej nie rozumiem, — bo nie wiem, czy pan potrafi odczuć to wraz ze mną: — chciałem ją zmusić, żeby powiedziała wyraźnie czego żąda, nie chciałem się ofiarować sam... tylko chciałem być proszony... właśnie przez nią... bo drażnił mnie jej despotyzm i bo wiedziałem, że nie ulegam żadnym kobietom tak łatwo, jak takim pysznym, zimnym królówym.

Mówiłem więc, że tego rodzaju stan nie jest zupełnie niebezpieczny, omdlenia należą do regularnego przebiegu, przeciwnie, zapewniają prawie zawsze pomyślny wynik. Przytaczałem przykłady z klinicznych czasopism... mówiłem, mówiłem, lekko i niedbale, wciąż traktując całą sprawę, jako banalny wypadek... i czekałem ciągle, że mi przerwie.

Przerwała mi nagle, ruchem ręki zmiatając niejako wszystko, co powiedziałem dotychczas.

— To mnie nie niepokoi, doktorze — wtedy, gdy mój syn przyszedł na świat, stan mojego zdrowia był o wiele lepszy... ale teraz nie jestem all right... mam sercowe przypadłości...

— Ach tak, sercowe przypadłości — powtórzyłem, pozornie zaniepokojony — zobaczymy zaraz — zrobiłem ruch, jakbym chciał wstać i przynieść słuchawkę.

Ale już przerwała mi znowu. Głos jej był teraz

ostrzy i stanowczy, niby głos oficera, komenderującego pułkiem.

— M a m przypadłości sercowe, doktorze, i muszę pana prosić, żeby pan wierzył w to, co mówię. Nie chciałabym tracić czasu na badanie... może mi pan okazać trochę więcej zaufania. Ja okazałem panu dostatecznie moje zaufanie, przychodząc do pana.

Teraz zaczęła się już poprostu walka. Otwarte wyznanie, które przyjąłem.

— Do zaufania potrzebna jest otwartość, otwartość bez zastrzeżeń. Niech pani mówi jasno. Jestem lekarzem. A przede wszystkim, niech pani zdejmie welon, niech pani usiądzie, nie zajmuje się książkami i mówi bez ogródek. Nie przychodzi się do doktora pod osłoną welonu.

Popatrzyła na mnie prosto i dumnie. Przez chwilę wahała się. Potem usiadła i podniosła welon. Zobaczyłem twarz taką — jakiej się obawiałem, twarz o wyrazie nieprzeniknionym, zimnym, panującym nad sobą, o dziwnej piękności, niezależnej od wieku, twarz z szaremi angielskimi oczyma, w których wszystko zdawało się spokojem, a poza którymi błyszczała namiętność. Te wąskie zaciśnięte usta nigdy nie zdradzą tajemnicy, jeśli nie zechcą. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem — ona, rozkazująca i pytająca zarazem z takim zimnem, kamiennem okrucieństwem, że nie wytrzymałem tego spojrzenia i mimowoli odwróciłem głowę.

Zapukała lekko ręką w stół. A więc i w niej grały nerwy!.. Potem powiedziała naraz szybko:

— Czy pan wie, czy pan nie wie, doktorze, czego chcę od pana?

— Zdaje mi się, że wiem. Ale lepiej mówmy zupełnie wyraźnie. Pani chce swój stan... przerwać?... Pani chce, żebym ją uwolnił od jej omdleń i nudności... żebym usunął powód... Czy tak?

— Tak.

To słowo zabrzmiało, jak uderzenie siekierą. —

— Czy pani wie, że takie próby są niebezpieczne dla obydwóch stron?

— Tak.

— Że jest to prawnie uzbrojone?

— Istnieją wypadki, że nie tylko nie jest uzbrojone, ale wprost wskazane.

— To wymaga w każdym razie orzeczenia lekarskiego.

— Pan zrobi to orzeczenie. Pan jest lekarzem.

Jasno, niewzruszenie spoglądały jej oczy na mnie. Był w nich rozkaz, a ja słaby, nieudolny człowiek drżałem z podziwu przed demoniczną siłą jej woli. Ale kurczyłem się jeszcze. Nie chciałem pokazać, że już byłem zdeptany. Tylko nie za prędko. Robić trudności! Zmusić ją do tego, żeby prosiła — iskrzyła się we mnie niebezpieczna chęć.

— To nie zawsze zależy od woli lekarza, ale jestem gotów z jakimś kolegą... w szpitalu...

— Nie chcę pańskiego kolegi, ja przyszedłam tylko do pana.

— Czy mogę spytać, dlaczego właśnie do mnie?

Popatrzyła na mnie zimno.

— Powiem panu to bez ogródek. Dlatego, że pan mieszka zdała od ludzi, że mnie pan nie zna, że

— że jest dobrym lekarzem i że pan... — teraz za-  
wahała się po raz pierwszy — pewnie tu już niedłu-  
go zostanie w tej okolicy, szczególnie jeżeli pan bę-  
dzie mógł zabrać ze sobą większą sumę pieniędzy.

Zimny dreszcz mnie przeszedł. Ta bezwstydna,  
kupiECKA jasność wyrachowania oszałamiała mnie.  
Dotychczas jeszcze nie otworzyła ust do prośby —  
ale zgóry wszystko ułożyła, najpierw mnie wyszpie-  
gotowała, potem wyszukała. Czułem, jak jej de-  
moniczna wola wnikała we mnie, ale broniłem się  
z całym rozgoryczeniem. Jeszcze raz zmusiłem się, by  
mówić rzeczowo, prawie ironicznie:

— I pani chciałaby... chciałaby mi ofiarować tę  
„większą sumę” pieniędzy?

— Za pańską pomoc i natychmiastowy wyjazd.

— Czy pani wie, że straciłbym z tego powodu  
moją pensję?

— Wynagrodzę to panu.

— Pani jest aż nadto wyraźna... Ale ja chce  
jeszcze wyraźniej to usłyszeć. Jaką sumę przezna-  
czyła pani jako honorarjum?

— Dwanaście tysięcy guldenów, płatne czekiem  
w Amsterdamie.

Trzęsłem się... z irytacji... ale także i z podziwu.  
Wszystko wyrachowała, sumę pieniędzy i sposób  
ich zapłacenia, przez co byłem zmuszony do wyjaz-  
du; oceniła i kupiła mnie, nie znając mnie wcale,  
zdecydowała o mnie o poczuciu swej silnej woli.  
Najchętniej byłbym ją uderzył w twarz... Ale kie-  
dy wstałem — ona też wstała — i popatrzyłem na  
nią, oko w oko, naraz spoglądając na te zaciśnięte  
usta, które nie umiały prosić, i na to dumne czoło,

które się nie chciało pochylić... uczulem rodzaj gwałtownej żądy. Musiała przeczuć moje myśli, bo podniosła brwi, jak ktoś, kto chce odprawić natręta. Naga nienawiść stanęła między nami. Wiedziałem, że ona mnie nienawidzi, bo mnie potrzebuje, a ja nienawidziłem jej, bo nie chciała prosić. Teraz, przez tę sekundę milczenia mówiliśmy po raz pierwszy do siebie otwarcie. Naraz, jak gad ukąsiła mnie myśl... i powiedziałem jej... powiedziałem jej...

Ale nie, niech pan zaczeka, tak nie zrozumiałby pan tego co uczyniłem... co powiedziałem... muszę panu najpierw wytłomaczyć, jak... w jaki sposób ta szalona myśl wpadła mi do głowy .

\*

Znowu szkło zabrzęczało w ciemności. A głos stawał się coraz bardziej podniecony.

— Nie, żebym się chciał tłumaczyć, usprawiedliwiać, uniewinniać... Ale zresztą pan mnie nie zrozumie... Nie wiem, czy byłem kiedy tak zwanym dobrym człowiekiem, ale... zdaje mi się, że byłem zawsze gotowy nieść pomoc... Podczas tego okropnego życia, jakie się tam prowadziło, było to jedynym skarbem, jaki się miało: tą garścią wiedzy, którą sobie człowiek wcisnął do mózgu, utrzymać oddech znikającego życia... radość twórcy... Rzeczywiście, były to moje najpiękniejsze chwile, kiedy przyszedł taki żółty chłopak, białe — siny ze strachu, ze spuchniętą nogą od ukąszenia żmiji i płakał, żeby mu jej nie odcinać, a mnie udawało się jeszcze go uratować. Godzinami jechałem, jeżeli

gdzieś jakaś kobieta leżała w gorączce. — A także i w taki sposób, jak ta kobieta tu żądała odemnie — pomagałem dawniej w Europie, na klinice. Ale wtedy czułem, że ten człowiek mnie potrzebuje, wiedziałem, że ratuję kogoś przed śmiercią, albo zwątpieniem — i tego się żąda, przychodząc komuś z pomocą — tego uczucia — że tamten mnie p o t r z e b u j e.

Ale ta kobieta, nie wiem, czy potrafię to panu opisać — ta kobieta drażniła mnie od tej chwili kiedy wstąpiła pozornie przypadkiem, przejeżdżając, drażniła mnie swoją dumą i wywoływała opór z mej strony. Drażniła wszystkie... jakby to powiedzieć... drażniła we mnie wszystkie... uczucia zduszone, ukryte i tak złe, że stawały do walki przeciwko niej...

Do wściekłości doprowadzała mnie tem, że bawiła się w nieprzystępną lady, z nieopisanie zimną krwią załatwiając interes, w którym chodziło o śmierć i życie... A potem... potem... wkońcu żadna kobieta nie nabawia się tych przypadłości wskutek golfa... Wiedziałem... to znaczy, przypominałem sobie czasem z przeraźliwą dokładnością — i to właśnie mnie tak męczyło — że ta chłodna, dumna, zimna kobieta, która podnosiła brwi, kiedy tylko na nią, prawie odpychając, spojrzałem... że ta sama kobieta dwa, czy trzy miesiące przedtem tarzała się w łóżku z mężczyzną... naga, gorąca, jak zwierzę... obydwaj ciała złączone z sobą, jak dwie pary warg, jęczące może jeszcze z rozkoszy. To była owa myśl dokuczliwa, która mnie napadła wtedy, kiedy ta kobieta spojrzała na mnie tak nieprzystępnie, chłod-

no, jak angielski oficer... i wtedy... wtedy wszystko sprężyło się we mnie... byłem opętany myślą, żeby ją poniżyć... od tej chwili widziałem jej nagie ciało poprzez suknie... od tej chwili żyłem tylko myślą, żeby ją osiąść, wydobyć jęk z jej zaciniętych ust, zobaczyć tę zimną, niedostępną kobietę taką, jak ją widział ów obcy, którego nie znałem. To chciałem panu wytłumaczyć... Nigdy dotąd, pomimo że tak moralnie podupadłem, nie starałem się wykorzystywać sytuacji... ale tym razem nie była to zwykła lubieżność, ani popęd zwierzęcy, nic seksualnego, doprawdy nie... przyznałbym się, gdyby tak było... tylko żądza pokonania tej pychy... opanowania jako mężczyzna... Mówiłem już panu, zdaje mi się, że dumne, pozornie zimne kobiety miały nademną niesłychaną przewagę... Ale teraz potęgowała się ta przewaga przez to, że żyjąc tam przez siedem lat nie miałem żadnej białej kobiety, że zapomniałem, co znaczy opór... Bo dziewczęta tutejsze, te świegotające, małe delikatne zwierzątka, trzęsą się tylko z szacunkiem, jeżeli biały „pan” zażąda... giną z pokory, zawsze gotowe służyć każdemu z cichym gładającym śmiechem... ale właśnie ta niewolnicza uległość plugawi człowiekowi zmysłowe użycie... Czy pan teraz rozumie, czy pan rozumie, jak to na mnie piorunująco podziałało, kiedy naraz przyszła do mnie kobieta, pełna dumy i nienawiści, zasłonięta aż po końce palców, zarazem pełna tajemnicy i naładowana dawną namiętnością... jeżeli taka kobieta wchodzi zuchwale do klatki osamotnionej, zgłodniałej, zamkniętej ludzkiej bestji?... Tylko to chciałem powiedzieć, żeby pan zrozumiał to, co da-



lej nastąpi. Więc przepelniony jakąś złą żądzą, zatruty myślą o niej, nagiej, zmysłowej, oddanej, zapanowałem nad sobą i udając obojętność, powiedziałem zimno:

— Dwanaście tysięcy guldenów?... Nie, za to nie zrobię tego co pani chce.

Spojrzała na mnie, blednąc. Uczuła, że w tym oporze suma pieniędzy nie grała roli.

Ale powiedziała:

— Więc ile pan żąda?

Ale ja nie zgodziłem się teraz na ten chłodny ton.

— Grajmy w otwarte karty. Nie jestem kupcem... Nie jestem owym biednym aptekarzem z „Romea i Julji”, który za „corrupted gold” sprzedaje truciznę... jestem może przeciwieństwem kupca... w ten sposób nie osiągnie pani tego, co pani sobie życzy.

— Więc pan tego zrobić... nie chce?

— Nie za pieniądze.

Zrobiła się cisza.

Taka cisza, że po raz pierwszy usłyszałem jej oddech.

— Czegóż pan zresztą może żądać?

Przestałem panować nad sobą.

— Chcę przede wszystkim, żeby pani nie mówiła do mnie, jak do kupczyka, tylko jak do człowieka. I jeżeli pani potrzebuje pomocy, niech pani nie zaczyna od proponowania pieniędzy... tylko mnie prosi... prosi mnie, jako człowieka, żebym pomógł pani — człowiekowi... Ja jestem nie tylko lekarzem... mam nie tylko godziny przyjąć... mam jeszcze inne godziny... i może pani właśnie na taką trafiła...

Milczy przez chwilę, usta jej kurczą się lekko, drży i mówi potem prędko:

— A gdybym pana prosiła... czy wtedy pan zrobi to?

— Pani chce znowu załatwić interes — pani chce tylko wtedy prosić, jeżeli pani obiecuję. Nie, najpierw mnie pani musi poprosić — a potem pani odpowiem.

Podrzuca głowę do góry, jak uparty koń. I spogląda na mnie gniewnie.

— Nie, nie będę pana prosiła. Wolę zginać!

Porywa mnie szalony gniew:

— Jeżeli pani nie chce prosić, wtedy ja będę w y m a g a ł. Zdaje mi się, że nie potrzebuję mówić wyraźniej. — Pani wie, czego od pani żądam. Wtedy, tylko wtedy, zrobię to, co pani chce.

Przez chwilę patrzy na mnie bez ruchu. A potem — o, nie mogę panu powiedzieć, jakie to było straszne — potem jej rysy naprężyły się i... i zaśmiała się naraz... zaśmiała się z nieopisaną pogardą prosto w twarz... z pogardą, która mnie wprost zdeptała... i zarazem upoiła... Ten pogardliwy śmiech zerwał się tak nagle i wybuchnął, z taką siłą... jak eksplozja, że... że byłbym jej upadł do nóg i całował rąbek jej sukni. Trwał tylko sekundę, jak błyskawica; a ja czułem ogień w całym ciele...

Ale już się odwróciła i szła szybko do drzwi.

Mimowoli chciałem iść za nią... tłumaczyć się... błagać ją... byłem zupełnie złamany... wtedy odwróciła się jeszcze raz i powiedziała... nie, rozkażała:

— Niech pan nie próbuje iść za mną, albo szpiegować mnie... Pożałowałby pan tego!

I już zamknęły się za nią drzwi z trzaskiem.

\*

Znowu wahanie. I milczenie... I znowu ten szum, jakgdyby płynęło światło księżyca. I znowu ten sam głos:

— Drzwi zamknęły się z trzaskiem... a ja stałem na miejscu... bez ruchu... byłem, jak zahypnotyzowany tym rozkazem... słyszałem, jak schodziła ze schodów, zamykała drzwi wchodowe... słyszałem wszystko i moja cała dusza szła za nią... żeby ją... nie wiem, czy zawołać... czy bić, czy zadusić... ale iść za nią musiałem... za nią!... A nie mogłem. Moje członki były sparaliżowane, jak od elektrycznego uderzenia... byłem porażony aż do szpiku kości błyskawicą jej spojrzenia... Wiem, że tego nie można wytłumaczyć, ani opowiedzieć... i może to brzmi śmiesznie, ale stałem i stałem... i przeszły minuty... może pięć, może dziesięć, zanim mogłem oderwać nogę od podłogi.

Ale zaledwie ruszyłem jedną nogą, byłem już pełen gorączki i pośpiechu... w mgnieniu oka zbiegłem ze schodów... Mogła tylko zejść przez ulicę do stacji... chcę wpaść do komórki, żeby chwycić rower i widzę, że zapomniałem klucza, zrywam ścianę bambusową, tak, że trzciny tylko trzeszczą i lecą na wszystkie strony... już siedzę na rowerze i ścigam ją... muszę ją dogonić, muszę, zanim dojdzie do swego samochodu, muszę z nią mówić!!

Ulica zakurzona znika poza mną... dopiero teraz

widzę, jak długo musiałem stać tam na górze... tam na skrócie, pod lasem, tuż przy stacji widzę ją, jak biegnie szybko, sztywnym, prostym krokiem w towarzystwie boy'a... Ale ona mnie także musiała spostrzec, bo mówi właśnie z boy'em, który zostaje, a ona idzie dalej sama... Co chce uczynić? Dlaczego chce być sama? Czy chce ze mną mówić tak żeby boy tego nie słyszał?

Z ślepą wściekłością ruszam pedałami... Naraz coś na mnie wpada — boy... mogę jeszcze tylko rzucić się w bok — i padam na ziemię.

Wstaję klnąc, mimowoli podnoszę pięść, żeby tego hultaja wyrznąć w twarz. Ale on odskakuje na bok... Podnoszę rower, żeby móc jechać dalej... Ale ten gałgan przyskakuje znowu... porywa rower i mówi pożalowania godną angielszczyznę:

— You remain here.

Pan nie żył nigdy dłuższy czas w tych podzwrotnikowych okolicach i nie wie pan, co to jest za bezczelność, kiedy taki żółty nicpoń chwyta rower białemu „panu” i rozkazuje temu „panu” nie ruszać się z miejsca. Zamiast odpowiedzi dają mu pięścią w twarz... Zachwiał się, ale rower trzyma silnie... jego oczy, jego wąskie tchórzliwe oczy są szeroko rozwarte w niewolniczym strachu... ale trzyma mocno, trzyma z szatańską siłą rower.

— You remain here — jąka jeszcze raz.

Na szczęście nie mam ze sobą rewolweru. Byłbym go pewno zastrzelił.

— Precz, kanaljo! — mówię tylko.

Patrzy na mnie uniżenie, ale rowerowi nie puszcza. Uderzam go znowu w głowę, ale nie ustępuje.

Porywa mnie wściekłość, widzę, że kobieta, za którą gonię, jak znikła, może udało się jej uciec... i częstuję go boksem uderzeniem pod brodę tak, że wykręca się i pada. Teraz jestem znowu w posiadaniu roweru... ale kiedy chcę się i pojechać, nie mogę go ruszyć z miejsca... przy tem gwałtownem szamotaniu wygięła się szprycha... Próbuję gorączkowo ją wyprostować... nie daje się... rzucam rower wpoprzek szosy obok tego gałgana, który wstaje skrwawiony i ustępuje mi z drogi... I potem — nie, nie może pan odczuć całej śmieszności tego, jeżeli Europejczyk... tam publicznie... nie wiedziałem już sam, co robię, miałem tylko tę jedną myśl: za nią... dogonić ją... i b i e g ł e m, biegłem, jak opętany wzdłuż szosy koło chat, gdzie ta żółta hołota pchała się z ciekawości i zdumienia widząc białego człowieka, doktora... biegnącego...

Wreszcie, oblany potem, przybyłem na stację...

Moje pierwsze pytanie:

— Gdzie auto?

— Właśnie odjechało.

Zdziwieni patrzą na mnie ludzie, muszę im się wydawać szaleńcem, kiedy tak przybiegłem, mokry i obłocony... Na dole na ulicy widzę biały dym z samochodu, znikającego na zakręcie... Udało jej się!... udało, jak wszystko musi się udać jej twar demu, niemiłosiernie twar demu wyrachowaniu.

Ale ucieczka nie zdała się jej na nic... W krajach podzwrotnikowych niema tajemnic między Europejczykami... jeden zna drugiego, wszystko jest ważnem zdarzeniem. Nie darmo bungalow rzą-

dowy gościł jej szofera przez godzinę... po kilku minutach wiem wszystko... Wiem kim jest... że mieszka w... — powiedzmy, w mieście rządowym, osiem mil drogi koleją... że jest, powiedzmy, żoną wielkiego kupca en gros, szalenie bogatą, dystyngowaną Angielką... Wiem, że jej mąż był teraz przez kilka miesięcy w Ameryce i wraca w najbliższych dniach, żeby ją zabrać do Europy.

Ona jednak — jak trucizna pali mnie ta myśl w żyłach — ona może być w odmiennym stanie najwyższej od dwóch, trzech miesięcy...

\*

Dotychczas mogłem panu jeszcze wszystko wytłumaczyć... może dlatego, że do tej chwili rozumiałem sam siebie... i jako lekarz zdawałem sobie sprawę z mojego stanu, i stawiałem sobie sam dżagozę. Ale odtąd zaczęła się we mnie jakby gorączka... straciłem kontrolę nad sobą... nie rozumiałem już sam siebie... oszalały pędziłem tylko naprzód do celu... Zresztą... może potrafię to panu przecież wytłumaczyć... Czy pan wie, co to jest „amok”?

— Amok?... zdaje mi się, że sobie przypominam... rodzaj pijaństwa u Malajczyków...

— Tysiąc razy więcej niż pijaństwo... szaleństwo, rodzaj ludzkiej wścieklizny, jak u psów... Napad bezmyślnej, morderczej monomanji, która się nie da porównać z żadnym wyskokowym zatruciem... Sam zbadałem kilka wypadków podczas mego pobytu w Indjach — dla innych jest się zawsze bardzo mądrym i bardzo rzeczowym — ale nie odkryłem strasznej tajemnicy źródła tej cho-

roby... Zdaje się pozostawać w jakimś związku z klimatem, z tą duszną, ściśniętą atmosferą, która ciąży na nerwach, jak burza, aż wkońcu się łamie... A więc amok... amok objawia się tak: powiedzmy, jakiś zupełnie prosty, dobroduszny człowiek pije swój zwykły trunek spokojnie, jak zawsze... siedzi' tępy, obojętny, zmęczony... podobnie jak ja siedziałem w moim pokoju.. naraz zrywa się, porywa sztylet i pędzi na ulicę... pędzi wprost przed siebie, zawsze tylko przed siebie.. nie wiedząc dokąd... Obala, co mu wejdzie w drogę, człowieka, czy zwierzę, krwawe upojenie podwaja jego gorączkę... Piana toczy mu się z ust, wyje, jak oszalały... ale pędzi, pędzi, pędzi, nie patrzy w prawo, nie patrzy wlewo, pędzi tylko z wrzaskiem i z krwią ociekającym sztyletem w ręce przed siebie... Ludzie po wsiach wiedzą, że żadna siła nie jest w stanie wstrzymać opętanego szaleńca amoka — więc krzyczą, ostrzegając naprzód, gdy widzą pędzącego zdaleka:

— Amok! amok!

I wszystko ucieka... ale on pędzi niesłyszcząc, pędzi niewidząc, obala wszystko, co mu wejdzie w drogę... aż go zastrzela, jak wściekłego psa, albo aż sam upadnie tocząc pianę...

Raz widziałem takiego człowieka z okien mojego bungalow'u... straszny to był widok... ale tylko dlatego, że sam to widziałem, rozumiem mój stan w tych czasach... bo zupełnie tak samo, z tym wzrokiem wytężonym naprzód, nie patrząc ani w prawo ani wlewo, pędziłem jak opętany za tą kobietą... Nie wiem, co robiłem podczas tego szalonego

biegu, z tak nierozumną szybkością przemijało wszystko... Dziesięć minut, nie: pięć, nie... dwie...

Kiedy się już wszystkiego dowiedziałem o tej kobiecie, o jej losach, o jej nazwisku, gdzie mieszka, popędziłem naprędce wypożyczonym rowerem napowrót do domu, rzuciłem ubranie do kufra, wziąłem pieniądze i pojechałem na stację... pojechałem bez meldowania się u urzędnika obwodowego... nie wyznaczwszy zastępcy, zostawiając dom otworem, ze wszystkim, co w nim było... Obok mnie stali służący, kobiety pytające, zdziwione, nie odpowiadałem, nie odwracałem się... pojechałem na stację i następnym pociągiem do miasta... w ciągu godziny może, od kiedy ta kobieta przestąpiła próg mego pokoju, rzuciłem moją egzystencję i pędziłem, opętany szalem amoka.

Pędziłem przed siebie... o szóstej wieczór przyjechałem... o szóstej minut dziesięć byłem w jej domu i kazałem się zameldować... to było, rozumie pan, najgłupsze, najidjotyczniejsze, co mogłem uczynić... ale opętany amokiem pędzi, jak ślepy, nie widząc dokąd pędzi... Po kilku minutach wrócił służący, grzeczny i chłodny...

— Jaśnie pani jest niezdrowa i nie przyjmuje...

Zatoczyłem się jak pijany i wyszedłem. Przez godzinę snułem się jeszcze koło jej domu, opanowany obłąkaną nadzieją, że ona mnie będzie szukać... dopiero potem wziąłem sobie pokój w hotelu i dwie flaszki whisky na górę... ta wódka i podwójna doza weronału sprawiły, że zasnąłem nareszcie.. i ten przykry, ciężki sen był jedyną przerwą w tych wyścigach na śmierć i życie.



Zegar okrętowy wydzwonił dwa pełne, twarde uderzenia, które drżały jeszcze przez chwilę w miękkim powietrzu i opadły w cichy nieustanny szum, pływający stale pod tramem, w toku opowiadania. Człowiek w ciemnościach naprzeciw mnie musiał zerwać się z przestraczem i przestał mówić. Znowu słyszałem, jak ręka przebiegając palcami, dostała się do fllaszki, znowu ciche gulgotanie. A potem rozpoczął pewniejszym głosem, niejako uspokojony:

— Nie mogę panu prawie opisać, co robiłem podczas następnych godzin. Zdaje mi się, że miałem wtedy gorączkę, w każdym razie byłem w stanie podniecenia, które graniczyło z obłędem — opętany amokiem, jak panu powiedziałem. Ale niech pan nie zapomina, że to było wtorek w nocy, kiedy przyjechałem, w sobotę zaś, jak się dowiedziałem w międzyczasie — miał przyjechać jej mąż okrętem P. & O. z Yokohamy, pozostawały zatem tylko trzy dni, skąpe trzy dni na decyzję i moją pomoc. Niech pan to zrozumie: wiedziałem, że muszę ją ratować bez zwłoki, a nie mogłem słowa do niej powiedzieć. I właśnie ta potrzeba wytłomaczenia jej mego śmiesznego, szalonego zachowania podzęgała mnie na nowo. Wiedziałem, jak drogocenna była każda chwila, wiedziałem, że dla niej chodziło tu o śmierć i życie, a nie miałem możliwości zbliżyć się do niej z jakimś znakiem, bo właśnie ta gwałtowność, ta głupota mego pościgu przerażała ją. Było to tak, jakby ktoś gonił za kimś, żeby go ostrzec przed mordercą, a ten miał jego samego za mordercę i gonił tak na oślep na własną

zgubę... ona widziała we mnie tylko tego opętanego amokiem, który ją ścigał, żeby ją upokorzyć, ale ja... i w tem była ta sprzeżność.. nie myślałem już o tem wcale... byłem już zupełnie zniszczony, chciałem jej tylko pomóc, tylko jej służyć... byłbym w stanie dopuścić się morderstwa, występku, tylko żeby jej dopomóc... Ale ona nie rozumiała mnie. Kiedy rano zbudziłem się i zaraz pobiegłem do niej, w drzwiach jej domu stał boy, ten sam, którego uderzyłem w twarz, i kiedy mnie zobaczył zdaleka — widocznie czekał na mnie — uciekł napowrót wgląd domu. Może uczynił to tylko w tym celu, żeby mnie tajemnie zameldować... może... jakże dręczy mnie teraz ta niepewność... może było już wszystko przygotowane na moje przyjęcie... ale kiedy go zobaczyłem i przypomniałem sobie wczorajszą obelgę — wtedy ja sam nie miałem odwagi powtórzyć jeszcze raz mojej wizyty... Kolana ugięły się podemną. Tuż przy progu odwróciłem się i wróciłem... wróciłem, kiedy ona może w podobnych mękach czekała na mnie...

Nie wiedziałem teraz, co pisać w obcym mieście, które paliło mi stopy, jak ogień... Naraz wpadła mi jedna myśl do głowy: zwołałem na dorożkę i pojechałem do wice-rezydenta, tego samego, którego wtedy operowałem, i kazałem mu się zameldować... Musiało go już coś zastanowić w moim wyglądzie, bo patrzył na mnie przestraszonym wzrokiem, a jego grzeczność miała w sobie coś niepokojącego... może przeczuwał już we mnie opętanego szaleńca... Powiedziałem mu nagle zdecydowany, że proszę go o przeniesienie do miasta,

nie mogę już dłużej wytrzymać na mojej posiadzie i muszę przeprowadzić się natychmiast...

Popatrzył na mnie... nie mogę panu opisać, jak na mnie popatrzył... tak jak lekarz na chorego...

— Rozstrój nerwowy, kochany doktorze — powiedział potem — rozumiem to aż nadto dobrze. To się da zrobić, ale musi pan poczekać, powiedzmy... cztery tygodnie... muszę najpierw znaleźć zastępcę.

— Nie mogę czekać ani jednego dnia — odpowiedziałem.

Znowu to samo badawcze spojrzenie.

— Musi pan poczekać, — powiedział z powagą — bo nie można przecież zostawiać stacji bez lekarza. Ale obiecuję panu, że jeszcze dziś wszystko zarządę.

Stałem, zagryzając wargi, po raz pierwszy miałem uczucie, że jestem raz na zawsze sprzedany, że jestem niewolnikiem. Bunt wzbierał już we mnie, ale układny rezydent wyprzedził mnie:

— Pan jest odzwyczajony od ludzi, doktorze, to staje się z czasem chorobą. Dziwiliśmy się wszyscy, że pan tu nigdy nie przyjeżdża, nigdy nie bierze udziału w żadnej zabawie, nie bywa pan wśród ludzi. Niech pan przyjdzie przynajmniej dziś wieczór, mamy dziś przyjęcie oficjalne, znajdzie pan tu całą kolonję, a niektórzy życzyli sobie oddawna poznać pana, pytali niejednokrotnie o pana i pragnęli, żeby pan tu przyjechał.

Ostatnie słowa wyrwały mnie z przygnębienia. Pytali o mnie? Kto to mógł być? Naraz stałem

się inny, podziękowałem za jego zaproszenie i upewniłem go, że przyjdę punktualnie. I byłem też punktualny, aż nadto punktualny. Zgadł pan już napewno, że pędzony niecierpliwością byłem pierwszy w pałacu rządowym, otoczony milczącymi, żółtymi sługusami, którzy kołyszac się na bosych stopach biegali tam i napowrót przez salony i wyśmiewali mnie poza plecami — jak mi się zdało w przyćmionej świadomości. Przez kwadrans byłem jedynym Europejczykiem pośród tych cichych przygotowań i tak samotny że słyszałem tykanie mego zegarka w kieszeni kamizelki. Potem nadeszło nareszcie kilku urzędników rządowych z rodzinami, wkońcu także gubernator, który mnie zaszczylił dłuższą rozmową, bo mu, jak mi się zdało, płynnie i zręcznie odpowiadałem, aż... aż straciłem całą zimną krew i zacząłem się jąkać.

Pomimo, że byłem plecami oparty o drzwi, prowadzące do sali, uczułem naraz, że ona weszła, że musi być niedaleko; nie umiem panu powiedzieć, w jaki sposób powstała we mnie ta pewność, ale mówiąc z gubernatorem, uczułem naraz w pobliżu jej obecność. Na szczęście gubernator skończył niedługą rozmowę — zdaje mi się, że byłbym się zresztą nagle odwrócił, tak silne było to tajemnicze uczucie, tak pałacem — pragnienie. I rzeczywiście, zaledwie odwróciłem się, zobaczyłem ją w tem samym miejscu, gdzie ją przeczułem. Stała, rozmawiając pośrodku jakiejś grupy, w żółtej balowej sukni, która uwydatniła jej szczupłe ramiona, ślicznie zarysowane, połyskujące matowo, jak kość słoniowa. Uśmiechała się. Przystąpiłem bliżej, nie mog-

ła czy nie chciała mnie widzieć — i patrzyłem na ten uśmiech grzeczny i ujmujący, który drżał wkoło jej wąskich warg. I uśmiech ten upoił mnie na nowo, bo... bo wiedziałem, że był kłamstwem, sztuką czy techniką, mistrzostwem udawania. Dzisiaj jest środa — przeleciało mi przez głowę, w sobotę przybywa jej mąż... jak ona się może tak śmiać, tak... bez troski śmiać się i bawić się niedbale wachlarzem, zamiast go zgnieść kurczowo ze strachu? Ja... ja, obcy... drżałem od dwóch dni, od tej chwili... ja, obcy, żyłem jej obawą, jej przerażeniem, wszystkimi wybrykami uczucia... a ona szła na bal i uśmiechała się, uśmiechała, uśmiechała...

W głębi sali zaczęła grać muzyka. Rozpoczęły się tańce. Jaki starszy oficer prosił ją do walca. Prze-prosiwszy, oddaliła się z grona rozmawiających, przeszła obok mnie do drugiej sali oparta na jego ramieniu. Kiedy mnie spostrzegła, rysy jej wyprężyły się gwałtownie — ale tylko na sekundę, potem skinęła mi głową, poznała mnie uprzejmie, jak przypadkowego znajomego, zanim się jeszcze zdecydowałem, czy ukłonić się jej czy nie. Rzuciła tylko:

— Dobry wieczór, doktorze — i przeszła.

Nikt nie mógł się domyśleć, co się kryło w tem szaro-zielonem spojrzeniu, ja sam, ja sam nawet nie wiedziałem. Dlaczego ukłoniła mi się? Dlaczego poznała mnie zaraz?... Czy był znak odtrącenia czy zbliżenia? Czy tylko zmieszanie z powodu nagłego, niespodziewanego spotkania? Nie mogę panu opisać, w jakim rozdrażnieniu pozostawałem, kiedy ją tak widziałem niedbale wspartą w tańcu na ramieniu oficera, spokojną i obojętną, podczas kiedy ją wie-

działem, że... że ona tak samo, jak ja tylko o tem myśli... tylko o tem... że tylko my dwoje posiadamy tę straszną wspólną tajemnicę... a ona tańczy... W tych chwilach mój strach, żądza i uwielbienie wzrosły w namiętność. Nie wiem, czy mnie kto obserwował, ale z pewnością zdradzałem się jeszcze nie mogłem patrzeć w innym kierunku... musiałem... tak, musiałem patrzeć na nią, wsysałem się zdaleka oczyma w jej twarz i szarpałem tę maskę oczekując, że spadnie na sekundę. Musiała nieprzyjemnie odczuwać to moje ustawiczne wpatrywanie się, bo kiedy wracała, prowadzona przez swego dansera, popatrzyła na mnie przez mgnienie oka ostro, rozkazująco, jakby żądała, żebym poszedł...

Ale... ale... powiedziałem panu przecież... byłem opętany szałem, nie patrzyłem wprawo ani wlewo. Zrozumiałem w tej chwili, co to spojrzenie oznaczało: panuj nad sobą, nie urządzaj przedstawienia — wiedziałem, że chciała odemnie, jakby to powiedzieć: — dyskrecji w zachowaniu się w publicznem miejscu... zrozumiałem, że jeśli teraz odejdę stąd spokojnie, mogę być pewien, że jutro będę przez nią przyjęty... że tylko teraz nie chciała być narażona na moją wpadającą w oko poufałość, chciała jej uniknąć. Że obawiała się z mej strony — Bóg świadkiem, jak słusznie! — jakiejś sceny, wywołanej moją niezdarnością... Pan widzi, że wiedziałem wszystko, rozumiałem ten rozkazujący wzrok... ale to było we mnie zanadto silne... musiałem z nią mówić. Zbliżyłem się do grupy ludzi, gdzie stała rozmawiając i wcisnąłem się, pomimo, że znałem tylko kilka osób obecnych, wcisnąłem się w

luźne koło otaczających ją, pchany pragnieniem. żeby usłyszeć jej głos, a jednak trwożliwie się ku-  
ląc, jak obity pies, przed jej spojrzeniem. Pragną-  
łem choćby jednego słowa, które powinna była po-  
wiedzieć, jednego znaku porozumiewawczego, sta-  
łem, stałem jak wryty między rozmawiającymi. Bez  
wątpienia, moje zachowanie musiało już zwró-  
cić uwagę wszystkich, bo nikt się nie odzywał do  
mnie, a ona musiała niesłychanie cierpieć z powo-  
du mojej śmiesznej obecności.

Jak długo byłbym tak stał, nie wiem, może  
wieczność... nie mogłem odejść z tego koła, gdzie  
wola moja była jak zaklęta. Właśnie ta uporczy-  
wość mojego oblędu przerażała mnie... Ale ona nie  
mogła wytrzymać już tego dłużej... naraz zwróciła  
się z przepyszną lekkością do otaczających ją pa-  
nów i powiedziała:

— Jestem trochę zmęczona... chcę dziś wcześ-  
niej pójść spać... Dobranoc... — i już przeszła koło  
mnie z zimnem skinieniem głowy... Widziałem jeszcze  
zmarszczkę na jej czole, a potem już tylko plecy,  
te białe, chłodne, nagie plecy. Sekundę trwało, za-  
nim zrozumiałem, że odeszła... że nie będę więcej  
jej widział, że nie będę z nią mówił tego wie-  
czoru, kiedy był jeszcze możliwy ratunek... przez  
chwilę stałem jeszcze ogłupiały... aż zrozumiałem...  
i wtedy... wtedy...

Ale muszę panu wytłomaczyć, bo zresztą nie ro-  
zumie pan całej bezdennej głupoty, tego, co zro-  
biłem... muszę panu opisać, gdzie się to działo...  
Była to wielka sala w gmachu rządowym, pełna  
światła, zresztą prawie pusta, olbrzymia sala... pary

poszły tańczyć... panowie grali w karty... tylko po kątach rozmawiało parę osób... sala była prawie pusta, każdy ruch wpadał w oko i był widzialny w jaskrawem oświetleniu... i przez tę wielką i szeroką szła powoli i lekko, wspaniała, królewska, kiedy niekiedy kłaniając się w sposób nie dający się opisać z tym wspaniałym, królewskim spokojem, który mnie tak zachwycał. A ja... ja... zostałem. Powiedziałem panu: byłem jak sparaliżowany, zanim zrozumiałem, że odchodzi... i wtedy, kiedy zrozumiałem, była już na drugim końcu sali tuż przed drzwiami... Wtedy... wtedy, jeszcze w tej chwili wstydę się, kiedy myślę o tem... wtedy napadło mnie znów i zacząłem biec — słyszy pan — biec! Nie szedłem już, tylko biegłem, biegłem, stukając butami aż echo niosło... biegłem wpoprzek sali, ścigając ją... Słyszałem własne kroki, widziałem oczy wszystkich na mnie zwrócone... ginąłem ze wstydu... gdy biegłem, byłem świadomy własnego obłąkania, ale już nie mogłem się cofnąć...

Przy drzwiach dogoniłem ją... odwróciła się, jej oczy wpiły się we mnie, jak szara stal, nozdrza drżały z gniewu... chciałem coś wyjąkać... wtedy... wtedy... roześmiała się, wesołym, jasnym, niefrasobliwym śmiechem i powiedziała głośno... tak głośno, żeby ją wszyscy słyszeli...

— Ach, doktorze, dopiero teraz przypomniał pan sobie o recepcie dla mego syna... Ach, ci uczeni!..

Jakaś para stojąca w pobliżu roześmiała się także dobrodusznie... Zrozumiałem... zachwiałem się, podziwiając mistrzostwo, z jakim uratowała sytuację... Chwyciłem za portfel, wyrwałem pustą



kartkę papieru, którą niedbale wzięła, dziękując mi z zimnym uśmiechem... W pierwszej chwili to ulżyło mi... widziałem, że moje fatalne zachowanie naprawiło jej mistrzostwo, że sytuacja jest uratowana... ale wiedziałem przytem, że dla mnie było wszystko stracone, że ta kobieta znenawidziła mnie za moje niepoczytalne warjactwo... że mogłem teraz po sto razy przychodzić pod jej drzwi i że mnie za każdym razem wyrzuci, jak psa.

Zatoczyłem się... spostrzegłem, że ludzie patrzyli na mnie... musiałem jakoś dziwnie wyglądać... Podszedłem do bufetu, wychyliłem dwa, trzy, cztery kieliszki koniaku jeden za drugim... to mnie uratowało, moje stargane nerwy nie były w stanie nic więcej wytrzymać... Potem wymknąłem się bocznymi drzwiami tajemnie, jak złoczyńca... Za żadne skarby świata nie byłbym przeszedł jeszcze raz przez salę, gdzie jej głośny śmiech trzymał się jeszcze ścian... szedłem... nie umiem już teraz powiedzieć dokąd szedłem... piłem w kilku knajpach... piłem, jak ktoś, kto chce zapić w sobie każdą trzeźwiejszą myśl... ale we mnie zmysły pozostały czujne... jej zły przenikliwy śmiech tkwił jeszcze we mnie. Tego śmiechu, tego przekłętego śmiechu... nie umiałem niczem zagłuszyć... Błądziłem potem jeszcze po porcie... rewolwer zostawiłem w domu, inaczej byłbym się zastrzelił. Nie myślałem o niczem innem... tylko o szufladzie na lewo w szafie, gdzie leżał mój rewolwer... tylko o tem...

Że się wtedy nie zastrzeliłem... — przysięgam panu, że to nie byłoby tchórzostwo z mej strony... strzał byłby dla mnie wybawieniem... ale jak mam

to panu wytłomaczyć... czułem w sobie jeszcze obowiązek... tak, ten obowiązek ratowania jej, ten przeklęty obowiązek... Ta myśl, że mogła mnie potrzebować, że mnie teraz potrzebowała, przyprawiała mnie o obłąkanie... To był czwartek już... a w sobotę... powiedziałem już panu... w sobotę przybijał okręt, wiedziałem, że ta kobieta, ta dumna, wyniosła kobieta nie przeżyje tego wstydu przed mężem... przed światem... Ach, jak strasznie męczyły mnie myśli o bezpowrotnie straconych chwilach, o mojej obłąkanaj porywczosci, która przeszkodziła ratunkowi w swoim czasie... godzinami, godzinami, przysięgam panu, chodziłem po pokoju tam i napowrót, i wyęczałem mózg, w jaki sposób mogę się do niej zbliżyć, w jaki sposób mogę wszystko naprawić, jak ją ratować... bo o tem wiedziałem napewno, że mnie więcej nie przyjmie w swym domu... jej śmiech czułem jeszcze we wszystkich nerwach, tak samo, jak drganie gniewu w jej twarzy... godzinami, rzeczywiście godzinami chodziłem tam i napowrót po wąskim, trzymetrowym pokoju... zrobił się dzień... zrobiło się południe...

I naraz rzuciłem się do stołu... wydarłem kartkę papieru listowego i zacząłem pisać do niej... list pokorny, skomlący, jak pies, w którym prosiłem o przebaczenie, w którym nazywałem się obłąkanym, złoczyńcą, w którym błagałem ją, żeby mi zawierzyła... Przysięgałem, że jeżeli zechce, zniknę zaraz potem z miasta, z kolonji, ze świata... żeby mi tylko uwierzyła i przebaczyła, żeby się dała ratować w ostatniej, najostatniejszej chwili. Przez dwadzieścia stron gorączkowałem... musiał to być wprost list, jak

w malignie, bo kiedy wstałem od stołu, byłem obla-  
ny potem... cały pokój kręcił mi się w oczach... mu-  
siałem się napić wody. Dopiero potem próbowałem  
przeczytać ten list jeszcze raz, ale po pierwszych  
słowach porwał mnie wstręt... drżąc, złożyłem go,  
wziąłem już nawet kopertę... Naraz rozjaśniło mi się  
w głowie... w jednej chwili wiedziałem, co teraz po-  
winienem był napisać. Chwyciłem jeszcze raz pióro  
do ręki i napisałem na ostatniej stronie: „Czekam tu  
w hotelu na słowo przebaczenia. Jeżeli nie będę miał  
do siódmej odpowiedzi — zastrzelę się”.

Potem wziąłem list, zadzwoniłem na boy'a i ka-  
załem mu zaraz odnieść go. Ostatecznie, tak było  
powiedziane... wszystko.

\*

Coś zadźwięczało i potoczyło się koło nas... Gwał-  
townym ruchem przewrócił flaszkę whisky, słysza-  
łem, jak jego ręka szukała jej na ziemi i potem ją  
naraż chwyciła jednym ruchem; szerokim łukiem rzu-  
cił pustą flaszkę do morza. Głos ucichł na kilka  
minut, potem gorączkowo zaczął mówić dalej  
jeszcze bardziej podniecony rozmową niż przed-  
tem:

— Nie jestem wierzącym chrześcijaninem... dla  
mnie niema już nieba, ani piekła... a jeśli jest, to się  
go nie boję, bo nie może być nic straszniejszego od  
tych godzin, które przeżyłem wtedy od południa do  
wieczora... Niech pan sobie tylko wyobrazi: mały  
pokój, gorący w słońcu, coraz gorętszy w skwarze  
południa... mały pokoik, tylko stół, krzesło i łóżko...  
A na stole nic prócz zegarka i rewolweru... a przy

stole człowiek, który nie robi nic innego, tylko ciągle patrzy na wskazówki sekundowe zegarka... człowiek, który ani nie je, ani nie pije, ani pali, ani się nie rusza... który ustawicznie, słyszy pan, ustawicznie przez trzy godziny patrzy na białą okrągłą tarczę zegarka i na wskazówkę, która drgając obiega wokół... Tak... tak... przeżyłem ten dzień tylko czekając, czekając, czekając, czekając... ale czekając jak... tak, jak opętany szaleńcem, z tą obłąkaną wytrzymałością bez rozumu, bez sensu...

Nie będę panu opisywał tych godzin... to się nie da opisać... nie rozumiem teraz sam tego, jak mogłem to przeżyć i nie dostać naprawdę obłądzenia... A więc o trzeciej minut dwadzieścia dwie... Wiem to dokładnie, bo patrzyłem bez przerwy na zegarek... ktoś puka do drzwi... Zrywam się... zrywam się i rzucam, jak tygrys na swoją ofiarę, jednym skokiem przez cały pokój, szarpnięciem drzwi... mały Chińczyk stoi na korytarzu ze złożoną kartką papieru w rękach. Łapię ją chciwie, Chińczyk zmyka tymczasem.

Rozrywam kartkę, chcę czytać i nie mogę... robi mi się czerwono przed oczyma... niech pan sobie tylko wyobrazi tę mękę, mam nareszcie słowo od niej... i wszystko tylko drży i tańczy mi przed oczyma... Zlewam głowę wodą... rozjaśnia mi się... Jeszcze raz biorę kartkę i czytam:

— „Zapóźno! Ale niech pan poczeka w domu, może jeszcze pana przywołam.”

Bez podpisu, na zmiętym kawałku papieru, oddarte go od jakiegoś starego ogłoszenia; kilka szybkich pociągnięć ołówkiem, zresztą, charakter pisma ener-

giczny... Nie wiem dlaczego mnie ta kartka tak wzruszyła...

Była w niej jakaś tajemnica, jakaś zgroza... była pisana jakby w ucieczce, jakby na poczekaniu, we framudze okna, albo w powozie... Coś nieopisanego, szło z tej tajemniczej kartki i mroziło moją duszę... jakiś niepokój, jakiś pośpiech, jakieś przerażenie... a jednak... jednak, byłem szczęśliwy... napisała do do mnie, nie musiałem umierać, wolno mi było ją ratować... może... może... ale gubiłem się w niedorzecznych przypuszczeniach... Sto, tysiąc razy czytałem tę małą karteczkę, całowałem ją... badałem, szukałem, jakiegoś niedostrzeżonego, zapomnianego słowa... moje marzenia stawały się coraz głębsze, coraz bałamutniejsze, opętał mnie fantastyczny sen przy otwartych oczach... rodzaj paraliżu... zupełnie tępego a jednak niepokojącego, stan między snem a jawą, co trwało przez kwadranse, a może godziny...

Naraz przeraziłem się... Czy nie pukano do drzwi?... Wstrzymałem oddech... Minęły dwie minuty nieruchomej ciszy... A potem znowu ciche, jakby skrobanie myszy, ciche ale gwałtowne pukanie... Skoczyłem, jeszcze zataczając się, otworzyłem drzwi — na korytarzu stał boy, jej boy, ten sam, którego wtedy uderzyłem pięścią w twarz... jego brunatna twarz była trupio blada, jego zmieszane spojrzenie mówiło o nieszczęściu. W tej chwili uczułem zgrozę...

— Co... co się stało? — zdołałem wyjąkać.

— Come quickly — powiedział.

I nic więcej.

W tej chwili pędziłem już, jak szalony po scho-

dach, on za mną... Sado, mały wózek czekał przed bramą, wsiedliśmy...

— Co się stało? — pytałem go...

Patrzył na mnie drżąc i milczał z zagryzionymi wargami... zapytałem jeszcze raz, milczał i milczał... Byłbym go najchętniej znowu uderzył w twarz pięścią, ale... właśnie jego psia wierność dla niej wzruszała mnie... nie pytałem dłużej... Wózek mijał tak szybko tę płataninę krętych uliczek, że ludzie z przekleństwem pierzchali na wszystkie strony, biegł tak z europejskiej części nad wybrzeżem do miasta położonego niżej, i dalej, dalej aż do krzykliwej i tłumnej chińskiej dzielnicy. Nareszcie przybyliśmy do jakiejś wąskiej uliczki, leżącej na uboczu... Stał przed niskim domkiem... Dom był brudny i jakby skurczony, z frontu mały sklepik oświetlony łójką... jedna z tych bud, gdzie ukrywają się lokale palaczy opjum, gniazda złodziei, albo piwnice paserów... Boy spiesznie zapukał... W szparze zaledwie odemkniętych drzwi zasyczał jakiś głos, pytał i pytał... Nie mogłem tego dłużej wytrzymać, zeskoczyłem z siedzenia, pchnęłem przymknięte drzwi... stara Chinka uciekła z krzykiem... za mną szedł boy i poprowadził mnie przez sień... chwycił za klamkę od innych drzwi... innych drzwi do ciemnej komórki, gdzie czuć było niemiłą woń alkoholu i zastygłej krwi... Usłyszałem jęk... szedłem po-macku...

\*

Znowu głos ucichł. A kiedy potem wybuchnął, był już bardziej szlochem niż mową.

— Dostałem się tam poomacku... i rozpoznałem kawałek ludzkiego ciała, leżącego na brudnej macie, skurczonego z bólu... tam leżała... ona...

Nie mogłem dojrzeć w ciemności jej twarzy... Moje oczy nie były jeszcze przyzwyczajone... domacałem się tylko jej ręki... gorącej, gorącej jak ogień... Gorączka, wysoka gorączka... Dreszcz mnie przeszedł... w pierwszej chwili zrozumiałam wszystko... uciekła tam przedemną... dała się krajać jakiej brudnej Chince, tylko dlatego, że przypuszczała, że tu zachowają lepiej jej tajemnicę... dała się zamordować jakiejś djabelskiej czarownicy, wołała to, niż mnie zaufać... tylko dlatego, że obłąkany nie uszanował jej dumy, że nie chciałem jej zaraz ratować... bo mniej obawiała się śmierci niż mnie!

Krzyknąłem: „Światła!” Boy skoczył, obrzydliwa Chinka przyniosła drżącymi rękami kopcającą naftową lampę... musiałem panować nad sobą, żeby tej żółtej kanalji nie chwycić za gardło... postawili lampę na stole... Światło padało żółte i jasne na udręczone ciało... I naraz wszystko ze mnie opadło, cała ta nieczysta posoka nagromadzonej namiętności... byłem już tylko ratującym lekarzem czujnym, człowiekiem wiedzy... zapomniałem o sobie... zacząłem walczyć trzeźwymi zmysłami przeciwko tej zgrozie. To nagie ciało, którego pożądałem w moich marzeniach, czułem już tylko jako... jakby to powiedzieć... jako materję, jako organizm... nie myślałem o niej, tylko o życiu, które się broniło przeciwko śmierci, o człowieku, który się kurczył w męczarniach... Jej krew, jej gorąca, święta krew zalewała mi ręce... ale nie czułem tego ani jako rozkosz ani jako zgro-

zę... byłem tylko lekarzem... widziałem tylko cierpienie... i wiedziałem... i wiedziałem odrazu, że wszystko było stracone, jeżeli nie stanie się jakiś cud... prawie wszystka krew z niej uszła pod zbrodniczą, niezręczną ręką, a ja nie miałem nic w tej cuchnącej jaskini, żeby tę krew zatamować, nawet czystej wody... Wszystko, czego się dotknąłem, lepiło się od brudu.

— Musimy ją zaraz przenieść do szpitala — powiedziałem.

Ale zaledwie wymówiłem te słowa, udręczone ciało podniosło się kurczowo.

— Nie, nie... wolę umrzeć... nikt nie może się dowiedzieć... nikt... dowiedzieć... do domu... do domu...

Zrozumiałem... jej chodziło tearz już tylko o jej honor, a nie o życie... I usłuchałem jej. Boy podniósł nosze... ułożyliśmy ją na nich... i tak już jak trup wycieńczoną i gorączkującą... nieśliśmy ją nocą... do domu... odsuwając pytającą i przerażoną służbę... jak złodzieje przenieśliśmy ją do jej pokoju i zamknęliśmy drzwi... A potem zaczęła się walka, długa walka ze śmiercią.

\*

Naraz jego ręka wpiła się w moje ramię, tak że prawie krzyknąłem z bólu i ze strachu. Twarz w świetle księżyca, zbliżyła się do mnie, zobaczyłem wytrzeszczone białe zęby, zobaczyłem okulary, żarzące się, jak dwoje olbrzymich kocich oczu. I teraz nie mówił już, ale krzyczał:

— Czy pan wie, pan, obcy człowiek, który tu siedzi na pokładzie, objeżdżający świat dla przyjem-



ności, czy pan wie, jak to jest, kiedy człowiek umiera? Czy był już pan kiedy przy tem, czy widział pan, jak ciało się kurczy, jak sine palce chwytają powietrze, jak gardło charczy, jak każdy członek broni się, każdy palec opiera się tej Zgrozie i jak oko błyska w przerażeniu, na które niema słów? Czy przeżył pan już kiedy coś podobnego, pan, który mówi o niesieniu pomocy, jak o obowiązku? Ja widziałem śmierć nieraz jako lekarz, widziałem śmierć jako kliniczny wypadek, jako fakt... studjowałem śmierć poprostu — ale przeżyłem ją tylko raz, współżyłem i współumarłem tylko wtedy, tej nocy... tej strasznej nocy, kiedy głowiłem się, jak zatamować tę krew, która płynęła i płynęła, bez końca... żeby się czegoś dowiedzieć, żeby coś znaleźć, coś wymyśleć, przeciw tej gorączce, która ją spalała w moich oczach... przeciw śmierci, która się coraz bardziej przybliżała i której nie mogłem odepchnąć od łóżka. Czy pan rozumie, co to znaczy być lekarzem, znać wszystkie lekarstwa przeciw wszystkim chorobom — czuć obowiązek niesienia pomocy, jak pan to ładnie wyraził — a mimo to siedzieć bezsilnie przy umierającej, wiedzieć, a nie móc pomóc... wiedzieć o tem jednym tylko, że nie można pomóc, choćby sobie człowiek wszystkie żyły otworzył... widzieć ukochane ciało, które ginie, męczone cierpieniami, czuć puls, który pędzi a jednocześnie ustaje... który człowiekowi rozplywa się pod palcami... być lekarzem i nic nie wiedzieć, nic, nic, nic... tylko siedzieć i mruczeć jakąś modlitwę, jak stara żebraczka w kościele, i znowu potem zaciskać pięści!... Rozumie pan to? Rozumie pan to?... Ja... ja tylko jednej rzeczy nie ro-

zumiem, jak się to dzieje, że się nie umiera razem w takich chwilach, że się na drugi dzień jeszcze wstaje ze snu... że można jeszcze żyć potem, jeżeli się to przeżyło, co ja przeżyłem, kiedy czułem, że ten oddech, że ten człowiek, o którego walczyłem i pasowałem się ze śmiercią, którego chciałem zatrzymać wszystkimi siłami mej duszy... że ten człowiek usuwał mi się z pod rąk... coraz prędzej, minuta za minutą, a ja nie znalazłem w rozgorączkowanym mózgu nic, coby go mogło zatrzymać...

A w dodatku, coś szatańsko podwajało moje męczarnie, w dodatku jeszcze i to... Gdy siedziałem przy jej łóżku — dałem jej morfiny, żeby złagodzić bóle i widziałem ją leżącą z rozpalonemi policzkami, trupio bladą... — kiedy tak siedziałem, czułem poza plecami przez cały czas parę oczu wpatrzonych we mnie z okropnym wyrazem oczekiwania... Na ziemi siedział boy skurczony we dwoje i mrucał jakieś modlitwy... Kiedy nasze oczy spotkały się czasem — nie, nie mogę opisać tego spojrzenia... Tyle w niem było błagania... tyle wdzięczności, a jednocześnie podnosił ręce ku mnie, jakby mnie zaklinał, żeby ją ratować... Do mnie, bezsilnego niedołęgi, który wiedział, że wszystko jest stracone... że jestem tu tak samo niepotrzebny, jak mrówka, która pełza po ziemi... Ach, jak mnie to psie spojrzenie męczyło, ta fantastyczna, zwierzęca wiara w moją sztukę!... Chciałem na niego krzyknąć, zdeptać go, tak mi go było żal... a jednak czułem, że my dwaj należeliśmy do siebie przez naszą miłość — do niej... przez jej tajemnicę... Jak czyhające zwierzę siedział tuż za mną... zanim jeszcze czegoś zażądałem, zrywał

się, kołysząc się na swych nagich, cichych stopach i podawał mi drżąc, wyczekując, jakby to była właśnie ta oczekiwana pomoc i ratunek... Wiem, że byłby dał sobie żyły porozcinać, żeby ją uratować... taka była ta kobieta, taką władzę miała nad ludźmi... a ja... ja nie miałem żadnej władzy, żeby choć jedną kroplę krwi jej uratować... Ach, ta noc, ta straszna noc walki między życiem a śmiercią!

Nad ranem przebudziła się jeszcze raz.. otwarła oczy... teraz nie były już zimne i dumne... gorączka taiała się w nich wilgotnym blaskiem... jak obca obmacywała wzrokiem ściany pokoju... Wtem spojrziała na mnie, zdawała się namyślać, chciała sobie przypomnieć moją twarz... i naraz... widziałem to... przypomniała sobie... bo jakiś strach, chęć obrony... coś nieprzyjemnego napięło jej rysy... poruszała rękami, tak jakby chciała uciec gdzieś... zdala, zdala ode mnie... Widziałem, że myśli o tem... o tej chwili wtedy u mnie... Ale potem przyszło zastanowienie... popatrzyła na mnie spokojniej, oddychała ciężko... czułem, że chce mówić, powiedzieć coś... Znowu ręce zaczęły się prężyć... chciała się podnieść, ale była za słaba... wtedy spojrziała na mnie z udręką... jej usta poruszyły się cicho... był to już ostatni gasnący dźwięk...

— Czy nikt się nie dowie?... Nikt?..

— Nikt... — rzekłem z całą siłą przekonania — obiecuję pani...

Ale jej oczy były jeszcze niespokojne...

— Niech mi pan przysięgnie... przysięgnie... Nikt się nie dowie...

Podniosłem palce, jak do przysięgi. Popatrzyła na

mnie... z nieopisanym wyrazem, miękko, ciepło, z wdzięcznością... doprawdy z wdzięcznością... Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale było jej już za trudno. Długo, długo leżała zupełnie wycieńczona z natężenia, z zamkniętymi oczyma. A potem zaczęło się to... Najstraszniejsze.... najstraszniejsze... przez całą długą godzinę walczyła jeszcze i dopiero nad ranem skończyła...

Milczał długo. Zegar okrętowy wydzwonił w ciszy jedno, dwa, trzy twarde uderzenia — była godzina trzecia. Światło księżyca zbladło, ale jakaś inna żółta jasność drżała już niepewnie w powietrzu, czasem lekko powiewał wietrzyk. Jeszcze pół godziny, a szarość roztopi się w jasnym świetle dnia. Widziałem teraz dokładniej jego rysy, bo cienie nie padały już tak gęsto w nasz kąt — zdjął czapkę, ta łysa czaszka wydawała się jeszcze straszniejsza. Ale jego błyszczące okulary zwróciły się już ku mnie, wyprężył się energicznie, a jego głos nabral ironicznego, ostrego zabarwienia.

— Ona skończyła — ale ja nie. Byłem sam z trupem — ale sam w tem mieście, które nie znosiło tajemnicy, a ja miałem nad tą tajemnicą czuwać... Niech pan sobie wyobrazi sytuację: kobieta z high-life'u w kolonji, zupełnie zdrowa, która tańczyła dzień przedtem na balu, leży naraz — w łóżku martwa...

Wiedziałem, co mnie czeka. Na szczęście był przy mnie boy, który zgadywał wszystkie moje życzenia — nawet to żółte, tępe stworzenie rozumiało, że

mamy jeszcze dużo do zrobienia. Powiedziałem mu tylko:

— Pani chce, żeby nikt się nie dowiedział, co się stało.

Popatrzył na mnie, swym psim, na wszystko zdecydowanym wzrokiem.

— Yes, sir — rzekł, i więcej nic.

Ale zmył ślady krwi z podłogi, poustawiał wszystko w największym porządku — i właśnie ta jego energia wróciła mi panowanie nad sobą.

Nigdy w życiu nie miałem w sobie tyle skoncentrowanej energii, jak wtedy i nigdy już jej nie będę miał. Kiedy się wszystko straciło, walczy się o to ostatnie, jak desperat — a tem ostatniem był jej testament: tajemnica. Przyjmowałem ludzi z zupełnym spokojem, opowiadałem wszystkim tę samą wymyśloną historję, że boy, którego posłała po doktora, spotkał mnie po drodze przypadkiem. Ale kiedy pozornie mówiłem ze spokojem, czekałem... czekałem ciągle na urzędowego lekarza, który musiał przyjść celem skonstatowania śmierci, poczem dopiero będziemy mogli zamknąć trumnę z jej ciałem i z jej tajemnicą... Był już, niech pan nie zapomni, czwartek, a w sobotę przybywał jej mąż...

O dziewiątej usłyszałem, że przyszedł lekarz urzędowy; kazałem go poprosić. Był moim zwierzchnikiem w randze i jednocześnie moim współzawodnikiem. Ten sam lekarz, o którym ona wyrażała się wtedy tak pogardliwie i który widocznie dowiedział się już o moim zamiarze przeniesienia się do innego miasta, bo od pierwszej chwili czułem, że był moim nieprzyjacielem. Ale to właśnie dodało mi siły.

Już w przedpokoju pytał:

- Kiedy pani (powiedział jej nazwisko) umarła?
- O szóstej rano.
- Kiedy przysłała po pana?
- O jedenastej wieczór.
- Czy pan wiedział, że byłem jej lekarzem?
- Tak, ale pośpiech był konieczny... a potem zmarła najwyraźniej żądała tylko mnie. Zakazała wzywać innego doktora.

Patrzył na mnie badawczo; jego blada, trochę otłuszczona twarz zaczerwieniła się, czułem, że jest rozgoryczony. Ale tego właśnie mi było potrzeba — pragnąłem szybkiego zakończenia sprawy, bo czułem — że długo moje nerwy nie wytrzymają. Chciał zrazu odpowiedzieć coś nieprzyjemnego, ale potem powiedział niedbałe:

— Jeżeli pan myślał, że się beze mnie obejdzie, to moim obowiązkiem jest teraz skonstatować śmierć i jej przyczynę.

Nie odpowiedziałem, tylko puściłem go naprzód. Potem cofnąłem się, zamknąłem drzwi i położyłem klucze na stół. Zdumiony, zmarszczył czoło.

— Co to znaczy?

Stałem spokojnie naprzeciwko niego.

— Tu nie chodzi o to, żeby skonstatować powody śmierci — musimy znaleźć inny powód. Ta kobieta zawezwała mnie po nieudanej operacji... nie mogłem jej już uratować. Ale obiecałem ratować jej honor, i uczynię to. I proszę pana o pomoc...

Jego oczy rozwarły się szeroko ze zdumienia.

— Pan nie może przecież wymagać odemnie —

wyjąkał — żebym ja, jako lekarz urzędowy, zatuszował tę — zbrodnię?

— Tak jest, wymagam tego — muszę tego wymagać...

— Pańską zbrodnię...

— Pwiedziałem panu, że nie tknąłem tej kobiety, bo wtedy nie stałbym przed panem. Byłbym już dawno skończył z życiem. Ta kobieta odpokutowała za swój występki, jeżeli pan chce to tak nazwać, odpokutowała i świat nie powinien się o tem dowiedzieć. A ja nie pozwolę, żeby honor jej teraz brukano niepotrzebnie.

Mój energiczny ton drażnił go jeszcze bardziej.

— Nie pozwoli pan... dobrze! A, pan jest moim zwierchnikiem?... albo zdaje się panu, że pan nim jest... Niech pan tylko spróbuje mi rozkazać!... Ódrazu sobie pomyślałem, że chodzi tu o jakąś nieczystą sprawę, jeżeli pana wyciągnęli z tego zapadłego kąta — śliczną praktykę pan tu zaczyna, śliczna próbka!.. Ale teraz ja całą rzecz zbadam i może pan na to liczyć, że protokół, pod którym jest podpisane moje nazwisko — że taki protokół jest prawdziwy. Nie podpisuję kłamstw!

— A jednak musi pan podpisać, bo przedtem nie wyjdzie pan z tego pokoju.

Chwyciłem przytem za kieszeń. Rewolweru nie miałem przy sobie. Ale doktor drgnął. Przystąpiłem do niego i popatrzyłem mu badawczo w oczy.

— Powiem panu coś... żeby nie przyszło do ostateczności — mnie nic nie zależy na mojem życiu... I nic na życiu innego człowieka... — do tego już doszedłem... Zależy mi tylko na tem, żeby dotrzymać

mego przyrzeczenia, żeby rodzaj tej śmierci pozostał tajemnicą... Niech pan mnie posłucha: daję panu słowo honoru, jeżeli pan podpisze ten certyfikat, że ta kobieta umarła... śmiercią przypadkową, opuszczę jeszcze w tym tygodniu to miasto, wogóle Indje!.. Jeżeli pan zażąda, wezmę rewolwer i zastrzelę się w chwili, kiedy trumna będzie już w ziemi i kiedy będę miał pewność, że nikt... pan rozumie: *nikt* — nie może już niczego dochodzić. To panu może wystarczy — to *musi* panu wystarczyć.

Musiąło być coś groźnego, coś niesamowitego w moim głosie, bo kiedy mimowoli przystąpiłem bliżej — cofnął się przedemną, tak jak ludzie uciekają przed opanowanym szalem amoka, kiedy chory biegnie wywijając sztyletem... I naraz, i naraz... jego harda podstawa ugięła się. Mruknął z miękkim oporem:

— To byłby pierwszy wypadek w mojem życiu, że podpisałbym fałszywe świadectwo; w każdym razie może znajdzie się jakaś forma, wiele rzeczy się zdarza... Ale nie powinienem tak bez bliższych...

— Naturalnie, że pan nie powinien — pomogłem mu, żeby go wzmocnić w jego przekonaniu (tylko prędko, tylko prędko, tykało mi w uszach); ale teraz, kiedy pan wie, że pan by tylko zmartwił żyjącego, a umarłej wyrządził nieopisaną krzywdę, teraz nie będzie się pan wahał?

Kiwnął głową. Przystąpiliśmy do stołu. Po kilku minutach protokół był gotów (potem był ogłoszony w gazetach i wiarygodnie opisywał paraliż serca).

Potem wstał i popatrzył na mnie.



— Pan wyjeżdża jeszcze w tym tygodniu, prawda?

— Słowo honoru.

Znowu na mnie popatrzył. Widziałem, że chce być dalej ostry i rzeczowy.

— Postaram się zaraz o trumnę — powiedział, żeby pokryć zmieszanie.

Ale co to było we mnie, co mi sprawiało taką straszną udrękę? Wyciągnął do mnie rękę i uśmiechnął się z nagłą serdecznością.

— Niech pan się z tem upora... — powiedział.

Nie wiedziałem o czem myśli. Czy byłem może chory? Czy byłem... obłąkany? Odprowadziłem go, otworzyłem drzwi... ale już ostatkami sił zamknęłem je za nim. Potem wróciło znowu to tykanie w skroniach, wszystko kręciło się i tańczyło wokoło mnie... i właśnie przed jej łóżkiem padłem na ziemię, tak... tak, jak opanowany szalem amoka na końcu biegu pada — z pękniętymi nerwami.

\*

Znowu zamilkł. Jakiś dreszcz mnie przeszedł, a może był to chłód porannego wiatru, który z cichym szumem wiał nad okrętem? Ale zmęczone rysy, rozjaśnione teraz brzaskiem rodzącego się dnia, naprężyły się znowu.

— Jak długo leżałem tak na macie... nie wiem. Ktoś dotknął mnie. Zerwałem się. Był to boy, który nieśmiało, z prawie nabożnym gestem stał przede mną i patrzył mi niespokojnie w oczy.

— Ktoś chce tu wejść... chce ją widzieć...

— Nikomu nie wolno tu wejść.

— Tak... ale...

Był widocznie przestraszony. Chciał coś powiedzieć i brakło mu odwagi. Wierne zwierzę cierpiało jakąś nieokreśloną mękę.

— Kto to jest?

Popatrzył na mnie, drżąc z obawy, że go uderzę. A potem powiedział — nie wymówił żadnego nazwiska... skąd w takim nędznym stworzeniu bierze się naraz tyle inteligencji, skąd pochodzi, że w niektórych chwilach odzywa się w takich tępych istotach nieopisana delikatność?.. — Potem powiedział... bardzo, bardzo bojaźliwie:

— To on...

Zerwałem się. Zrozumiałem go w tej chwili i byłem cały niecierpliwością, żeby zobaczyć tego nieznanego. Bo widzi pan, jakie to dziwne... podczas tych wszystkich męczarni, w tej gorącej pragnienia i pośpiechu zapomniałem zupełnie o „nim”, zapomniałem, że wchodzi jeszcze jeden człowiek w grę... mężczyzna, którego ona kochała, któremu namiętnie ofiarowała to, czego mnie odmówiła... Przed dwudziestu, przed dwudziestu czterema godzinami byłbym jeszcze nienawdził tego człowieka, byłbym w stanie go zabić... Teraz... nie mogę panu opisać, jak pragnąłem go zobaczyć i pokochać, dlatego, że ona go kochała...

Jednym susem byłem przy drzwiach. Stał tam młody, bardzo młody oficer z jasnymi włosami, bardzo szczupły, bardzo blady... Wyglądał, jak dziecko, tak... tak wzruszająco młody... a niesłychanie wzruszył mnie także tem, że starał się być mężczyzną, pokazać, że umie panować nad sobą...

i ukryć swoje zburzenie... Widziałem drazu, że jego ręka drżała, kiedy podniósł ją do czapki.. Najchętniej byłbym go uściskał... bo był zupełnie taki... jakim sobie życzyłem, żeby był ten, który tę kobietę posiadał... nie dumny uwodziciel... nie, dziecko prawie, naiwna czuła dusza, której się oddała.

Nieśmiały i przełknięty stał przedemną. Mój wzrok i namiętność, z jaką się zerwałem, mieszały go jeszcze bardziej. Mały wąsik pod wargą drżał zdradliwie... ten młody oficer, to dziecko musiało panować nad sobą, żeby nie wybuchnąć płaczem.

— Niech pan wybaczy — wyjąkał wkońcu — chciałbym zobaczyć raz jeszcze panią...

Bezwiednie objąłem go — obcego człowieka! — i poprowadziłem, tak jak się prowadzi chorego. Popatrzył na mnie z wdzięcznością, nieskończenie ciepło... Już w tej pierwszej sekundzie nasze dusze porozumiały się ze sobą... Poszliśmy do umarłej... Leżała w białej bieliźnie. Czułem, że moja obecność przeszkadza mu... cofnąłem się, żeby go zostawić samego z nią. Przystępował pomału bliżej, drżącym, powolnym krokiem... po jego ramionach widziałem, jak w nim wszystko drgało i targało się — szedł tak, jak ktoś, kto idzie przeciw burzy... i naraz runął przed łóżkiem na kolana... tak samo, jak ja przedtem...

Byłem w tej chwili przy nim, podniosłem go i poprowadziłem do krzesła. Nie wstydził się już, tylko szlochał głośno. Nie umiałem mu nic powiedzieć — tylko gładziłem go po jasnych, miękkich,

jak u dziecka włosach. Wziął mnie za rękę... delikatnie, a jednak bojaźliwie... i naraz spostrzegłem jego wzrok wlepiony we mnie...

— Niech mi pan powie prawdę, doktorze — wyjąkał — czy zabiła się sama?

— Nie — odpowiedziałem.

— A czy... ktoś jest winien jej śmierci?

— Nie — powiedziałem znowu, chociaż dławilo mnie w gardle, żeby krzyknąć: Ja! ja! ja!... i ty! My dwaj! I jej upór, jej nieszczęsny upór! — Ale zapanowałem nad sobą. Powtórzyłem jeszcze raz.

— Nie... nikt nie jest winien... Przeznaczenie!

— Nie mogę w to uwierzyć — jęczał — nie mogę w to uwierzyć. Jeszcze przedwczoraj była na balu, uśmiechała się, dawała mi znaki... Jak to jest możliwe, jak się to mogło stać?

Zacząłem kłamać. Jemu także nie zdradziłem jej tajemnicy. Jak dwaj bracia rozmawialiśmy przez te wszystkie dni ze sobą, opromienieni niejako uczuciem, które nas łączyło... i którego nie wyznaliśmy sobie wzajemnie, ale czuliśmy, że całe nasze życie było z nią związane... Niekiedy prawda dławiała mnie w gardle, ale zaciskałem zęby i nigdy nie przeszła mi przez usta — nie dowiedział się nigdy, że jego dziecko nosiła pod sercem...

A jednak mówiliśmy tylko o niej podczas tych dni, kiedy się ukrywałem u niego... Bo — o tem zapomniałem panu powiedzieć — szukano mnie... Jej mąż przyjechał, kiedy trumna już była zamknięta... Nie chciał wierzyć orzeczeniu lekarskiemu... Ludzie przebąkiwali rozmaicie... i szukano mnie... Ale ja nie mogłem się zdobyć na to, żeby

go zobaczyć, tego, o którym wiedziałem, że cierpiała z jego powodu... ukrywałem się przez cztery dni, nie wychodziłem z domu, nie wychodziliśmy obydwaj z mieszkania... jej ukochany zamówił mi kabinę pod fałszywym nazwiskiem, żebym mógł uciec... Jak złodziej dostałem się na okręt w nocy, żeby mnie nikt nie poznał... wszystko zostawiłem, co posiadałem... Mój dom z całą pracą tych siedmiu lat, cały dobytek wszystko stoi otworem dla każdego... a rząd holenderski już pewnie wymazał mnie z listy swych urzędników, bo bez urlopu opuściłem moje stanowisko... Ale nie mogłem już żyć dłużej w tym domu, w tym mieście... w tym świecie, gdzie wszystko mi ją przypominało... uciekłem, jak złodziej w nocy tylko — dlatego, żeby o niej zapomnieć...

Ale... kiedy przyszedłem na pokład... o północy... mój przyjaciel był ze mną... Wciągnano właśnie windą coś w górę.. coś prostokątnego, czarnego... jej trumnę... słyszy pan: jej trumnę!... Ściga mnie aż tu, tak, jak ja ją ścigałem... i musiałem przy tem stać, udawać nieznanomego, bo on, jej mąż był z nią... towarzyszył jej do Anglii... Może chce tam dać zrobić sekcję zwłok... Zabrał ją... teraz należy znowu do niego... Już nie do nas, do nas obydwóch... Ale ja jeszcze żyję... Nie odstąpię jej aż do ostatniej chwili... on się nigdy nie dowie, nie może się dowiedzieć... Potrafię obronić jej tajemnicę przeciw wszelkim usiłowaniom... przeciw temu łotrowi, przed którym uciekła ze świata... Nie, nie, nigdy się nie dowie... jej tajemnica należy do mnie... do mnie!...

Czy pan rozumie teraz, dlaczego nie mogę widzieć ludzi... słuchać ich śmiechów... patrzeć, jak flirtują i łączą się w pary... Bo tam na dole, w magazynie, między pakami herbaty i workami orzechów. stoi ukryta trumna... Nie mogę się tam dostać, bo drzwi są zamknięte, ale zdaje mi się, że ją widzę i myślę o niej ustawicznie, podczas kiedy tu grają walce i tango... Pewnie, że to głupota z mej strony, bo morze kryje w swych falach miliony umarłych, a w każdej piędzi ziemi, po której się stąpa, gnije jakiś trup... ale mimo to nie mogę tego znieść, jak urządzają tu zabawy i tak głośno się śmieją... Czuję ciągle tę umarłą, wiem czego chce odemnie... wiem, mam jeszcze jeden obowiązek, jeszcze nie skończyłem wszystkiego... jeszcze jej tajemnica nie jest uratowana... jeszcze mnie nie zwolniła z danego słowa...

\*

Z pokładu słyhać było odgłos ciężkich kroków i pluskanie wodą, to marynarze zaczęli szorować podkład. Zerwał się, jak złapany na gorącym uczynku, mamrocząc:

— Idę już... idę...

To była męka patrzeć na niego. Na jego zmęczone zapuchnięte oczy, czerwone z pijaństwa czy z łez. Unikał mojego współczucia, odczuwałem w jego zgarbionej postaci — wstyd, niesłychany wstyd, że się zdradził przedemną, przed tą nocą. Mimowoli powiedziałem:

— Czy mogę przyjść do pana popołudniu do kabiny?...

Spojrzał na mnie — ironiczny, ostry, cyniczny wyraz skurczył jego wargi.

— Aha... pański wspaniały obowiązek „niesienia pomocy”... aha... tą sentencją doprowadził mnie pan do gadania. Ale nie, mój panie, dziękuję. Niech pan sobie nie wyobraża, że jest mi teraz lepiej, od czasu, jak rozdarłem moje wnętrze przed panem... Mojego złamanego życia nie może mi nikt załatać... za darmo służyłem holenderskiemu rządowi... moją emeryturę djabli wzięli, wracam do Europy ogołocony ze wszystkiego, jak pies... pies, który skomlać biegnie za trumną... wkońcu to przecież obala człowieka, a mam nadzieję, że już zbliżam się do końca... Nie, dziękuję panu za chęć odwiedzenia mnie. Mam już w kajucie innych towarzyszy, kilka dobrych starych flaszek whisky, które mnie czasem pocieszają, a potem mojego przyjaciela, do którego się niestety nie zwróciłem na czas: — mój poczciwy browning... ten mi lepiej pomoże, niż wszystkie gadania... Ostatecznym prawem człowieka, które nam pozostaje, jest zdechnąć, jak się komu podoba.. a przytem można się obejść bez czyjejkolwiek pomocy...

Popatrzył jeszcze raz na mnie ironicznie, prosto wyzywająco, ale czułem, że był to tylko wstyd, bezgraniczny wstyd. Potem zgarbił się jeszcze więcej, odwrócił się bez pożegnania i szedł, dziwnie ciągnąc nogi za sobą, przez jasny pokład aż do kabin. Nie zobaczyłem go więcej. Daremnie szukałem go w nocy i następnej nocy na zwykłym miejscu. Nigdzie go nie było i mógłbym

przypuścić, że to był sen, albo jakieś fantastyczne zjawisko, gdyby mi między pasażerami nie był wpadł w oko jakiś pan z krepą na ramieniu, holenderski kupiec en gros, który, jak mi opowiadano, stracił żonę na jakąś gorączkę podzwrotnikową.

Widziałem go, jak chodził tam i napowrót, poważny i strapiony, zdala od nich, a ta myśl, że znałem jego najtajniejszą troskę, napawała mnie tajemniczym strachem. Schodziłem mu z drogi kiedy przechodził koło mnie, żeby nie zdradzić wzrokiem, że więcej wiedziałem o jego losach niż on sam.

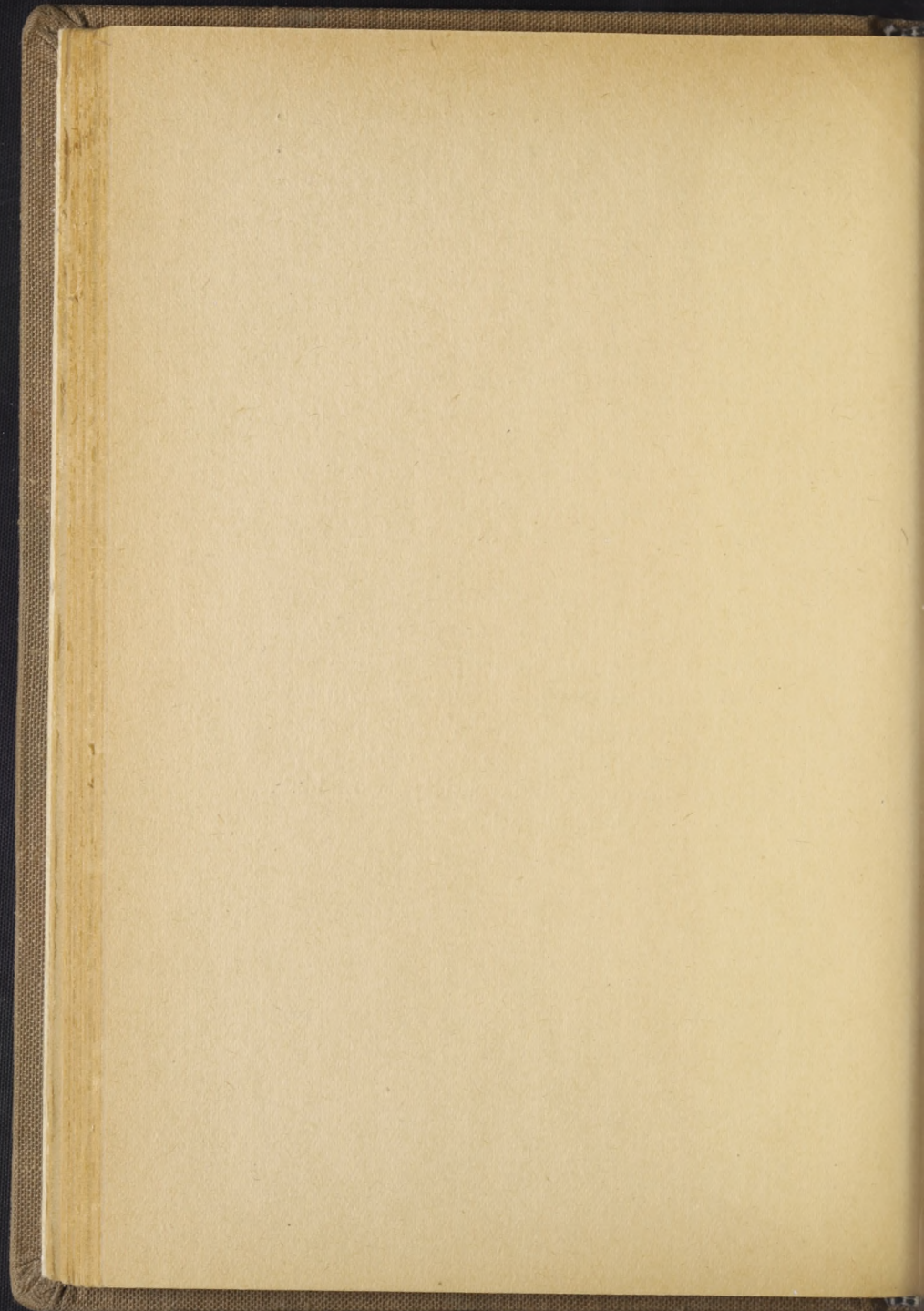
\*

W Neapolu, w porcie zdarzył się ten dziwny wypadek. Większość pasażerów opuściła okręt, ja sam byłem tego wieczoru w operze, a potem w jednej z jasnych kawiarni na via Roma. Kiedy wracaliśmy łódką do okrętu, spostrzegłem, że kilka łodzi z pochodniami i lampami acetylenowymi obszukiwało dookoła statek, a na górze na ciemnym pokładzie był jakiś tajemniczy ruch, widać było żandarmów i karabinierów. Zapytałem jednego marynarza, co się stało. Odpowiedział wymijająco, ale w taki sposób, że od razu poznać można było, że ma nakazane milczene. A także i następnego dnia, kiedy okręt bez znaku, że zaszedł jakiś wypadek, wpłynął dalej spokojnie do Genui, nie można się było niczego dowiedzieć. Dopiero we włoskich gazetach czytałem potem romantycznie zredagowaną wiadomość o rzekomem nieszczęściu, które miało się wydarzyć w porcie neapolitańskim.

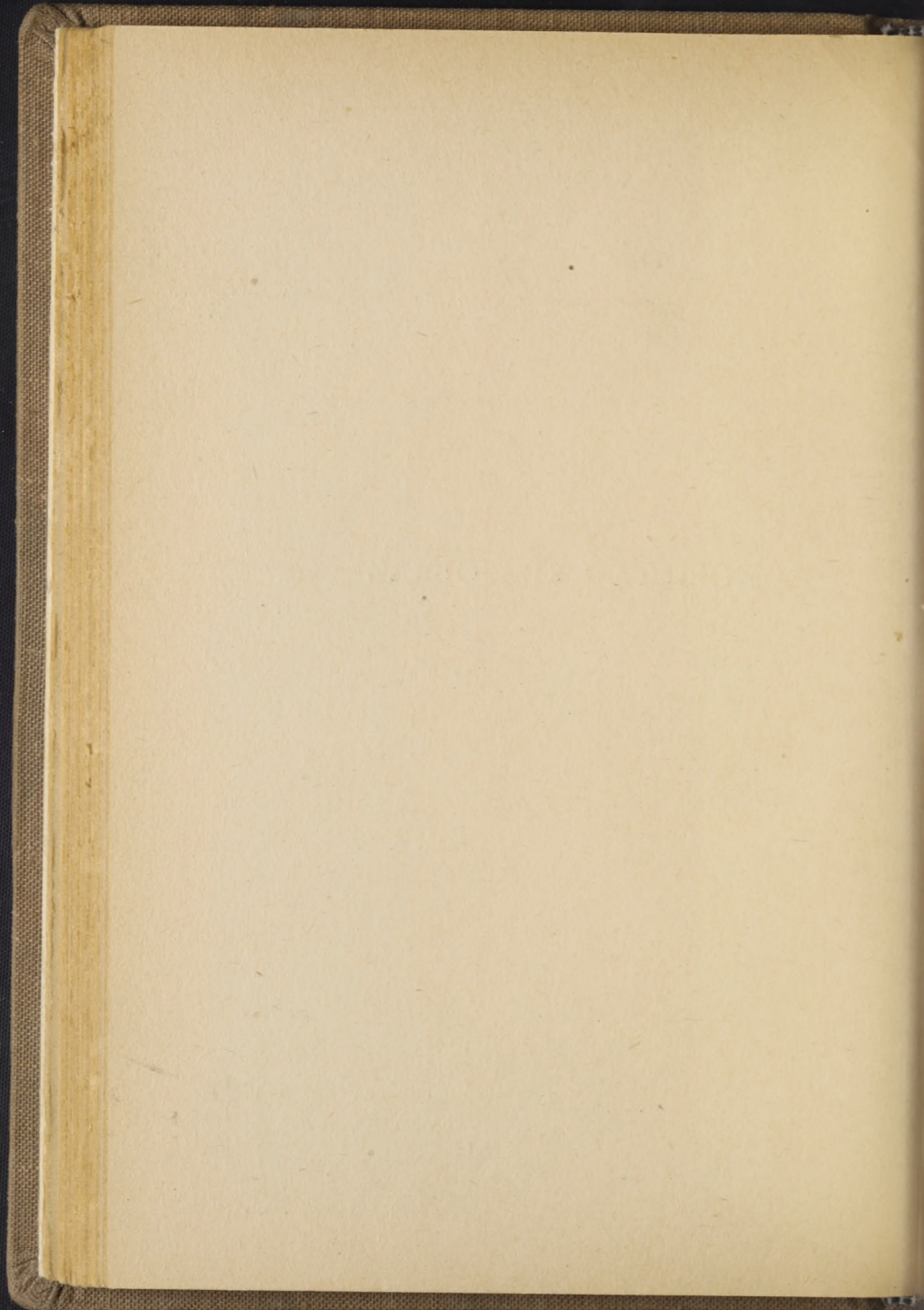


Nocną porą, żeby nie niepokoić pasażerów, miano zabrać do przygotowanej łodzi trumnę z ciałem znakomitej damy z holenderskich kolonij i spuszczano ją właśnie po drabinie ze sznurów w obecności męża, kiedy coś ciężkiego spadło naraz z pokładu i trumnę z niosącymi ją i mężem porwało razem i strąciło do morza. Jedna gazeta opowiadała, że jakiś obłąkany rzucił się ze schodów na trap, inna niewinniała go i pisała, że trap zerwał się sam pod zbyt wielkim ciężarem; w każdym razie Towarzystwo Okrętowe zrobiło wszystko, żeby ukryć prawdziwy stan rzeczy. Uratowano nie bez trudu tragarzy i męża zmarłej. Metalowa trumna jednak poszła na dno i nie można jej było odnaleźć.

W innej notatce komunikowano, że znaleziono w porcie trupa mniejwięcej czterdziestoletniego mężczyzny, co nie zdawało się pozostawać dla czytających w żadnym związku z romantycznym wypadkiem. Ale mnie się zdawało, gdy przeczytałem ową pobieżną notatkę, że jak upiór patrzy na mnie z drukowanych liter księżycowo biała twarz w błyszczących okularach.



KOBIETA I KRAJOBRAZ



Było to podczas owego upalnego lata, które przez brak deszczu i posuchę spowodowało fatalny nieurodzaj i długo pozostało w pamięci znikającej ludności. Już w czerwcu i w lipcu przeciągnęło tylko parę przelotnych burz ponad spragnionemi wody polami, ale od kiedy kalendarz przechylił się w stronę sierpnia, nie spadła wogóle ani jedna kropla i nawet tu, w wysoko położonych dolinach Tyrolu, gdzie ja, tak samo, jak wielu innych, miałem nadzieję znaleźć ochłodę, żarzyło się powietrze, szafranowe od ognia i kurzu. Od wczesnego ranka już patrzyło z jasnego nieba słońce, żółte i tępe, jak oko w gorączce, na wygasły krajobraz, aż w miarę godzin dusząca para podniosła się stopniowo z mosiężnego kotła Południa, i zalała dolinę. Gdzieś w dali wznosiły się wprawdzie potężne Dolomity, a śnieg błyszczał na nich czysty i jasny, ale ból sprawiało wprost patrzeć na nie, schnąc z pragnienia i myśląc o wietrze, który je może w tej samej chwili okrążał z szumem, podczas kiedy tu w kotlinie, gorąco cisnęło się w dzień i w nocy i wchłaniało wilgoć tysiącem ust. Stopniowo zamierał w tym znikającym świecie więdnących roślin, pragnących liści i wyschniętych strumieni także i wewnątrz każdy ruch, godziny wlokły się leniwie i próżniaczo. Ja tak samo, jak inni, przebywałem te dni bez końca prawie ciągle w pokoju, napół rozebrany przy zasłoniętych oknach,

w bezwolnem czekaniu na zmianę, na ochłodę, w tępych bezsilnych marzeniach o deszczu i burzy. Ale niebawem ustąpiło i to życzenie, pozostał stan tępy i bezwolny, taki jak tych wyschniętych, spragnionych traw i duszny sen nieruchomego, chmurami pary otoczonego lasu.

Ale z dnia na dzień robiło się coraz goręcej, a deszczu ciągle jeszcze nie było. Od rana do wieczora paliło słońce, a jego żółte promienie zdawały się nabierać obłądu. Tak było, jakby całe życie chciało ustać, wszystko ucichło, bydło nie ryczało, z białych pól nie szedł żaden głos, prócz śpiewnego, cichego tonu rozlewającego się gorąca, brzęczącego wrzenia kipiącego świata. Chciałem pójść do lasu, gdzie niebieskie cienie drżą między drzewami, chciałem się tam położyć i uciec od tych uporczywych promieni słońca, ale już tych parę kroków było mi za wiele. Siedziałem na krześle przy wyjściu z hotelu przez godzinę, albo dwie, wciśnięty w wąski cień, który dach rzucał na żwir. Raz posunąłem się dalej, kiedy mały kwadrat cienia skurczył się, a słońce przypelzało już do moich rąk. Potem pozostałem już tak oparty, tępo patrząc w tępe światło bez poczucia czasu, bez życzeń, bez woli. Czas topniał w tym upale, godziny rozgotowywały się, rozpływały w bezmyślnych gorących marzeniach. Nie czułem nic, prócz palącego przyływu powietrza do porów, i szybkich uderzeń gorączkowo bijącej krwi

Nagle zdawało mi się, jakgdyby poprzez naturę przeszedł oddech, cicho, całkiem cicho, jakgdyby się skądś podnosiło gorące, tęskne westchnienie.

Mozolnie próbowałem wstać. Czy to nie był wiatr? Zapomniałem już, jak to było, za długo nie piły już zasychające płuca tego ożywczego chłodu, a tam, gdy byłem wciśnięty w kął, gdzie dach rzucał cień na mnie, nie czułem żadnego powiewu. Ale drzewa tam nad przepaścią musiały odczuwać czyjaś obecność, bo naraz zaczęły się kołysać lekko, i jak gdyby szepcąc, pochylały się do siebie. Cienie między niemi ruszały się niespokojnie. Jak żyjące stworzenia pierzchały raz tu, raz tam; nagle podniósł się gdzieś daleko głęboki, drgający ton. Naprawdę... wiatr nadszedł. Szept, szelest, szum, głęboki ton, jak na organach, a naraz silniejsze, potężne wstrząśnienie. Jak gonione nagłym przestachem leciały chmury kłębiącego się kurzu przez ulicę, wszystkie w jednym kierunku. Ptaki, które gdzie się dotąd ukrywały, zaznaczyły się czarnymi linjami w powietrzu, konie otrząsały nozdrza z piany, a daleko w dolinach ryczało bydło. Coś potężnego budziło się i musiało już być niedaleko, ziemia już o tem wiedziała, las i zwierzęta, a także i niebo zaciągnięte lekką szarą zasłoną.

Drżałem ze wzburzenia. Moja krew była porażniona. gorąca, moje nerwy przeżyły się, nigdy nie odczuwałem tak jak teraz rozkoszy wiatru, błogosławionej rozkoszy burzy. Burza nadciągała. Rosła, wzbierała, zapowiadała się. Pomału pchał wiatr w drugą stronę białe kłęby dumy, ziajał i dyssał poza górąmi, jakgdyby toczył ktoś olbrzymi ciężar. Niekiedy przycichały te tony, jakby zmęczone. Wtedy jodły drżały ciszej, jak gdyby chciały nasłuchiwać, a ja drżałem wraz z niemi. Gdzie

tylko spojrzalem, bylo to samo oczekiwanie, jak we mnie. Ziemia rozszerzala swoje szczeliny, jak male, pragnace usta; czulem to samo i we wlasnej skorzce. Pora za pora sie otwierala i wyprzezala, zeby szukać chłodu i zimnego, przejmujacego dreszczem deszczu. Mimowoli moje palce kurczyly sie, jakgdyby chcialy pochwycić chmury i zerwac je przedzej w usychajacy swiat.

Ale szly juz, pchane niewidzialna reką, leniwe, zaciemnione, okragle, jak nabrzmiale wory; widadc bylo, ze byly czarne i ciezkie od deszczu, bo łomotaly z gluchym pomrukiem, jezeli gdzieś uderzily jedna o druga, a czasem przeleciala cicha błyskawica po ich czarnej powierzchni, jak gorejaca zapalka. Zapalaly sie wtedy niebiesko i groźnie, cisnely sie coraz blizej i robily sie coraz ciemniejsze. Ołowiane niebo opuszczalo sie coraz nizzej i nizzej, jak zelazna kurtyna teatralna. Caly widokrag byl juz czarny, wypełniony goracem, zduszonem powietrzem; czas stanal — nastapila ostatnia chwila oczekiwania, niema i grozna. Przyduszone bylo wszystko czarnym ciezarem, zwisajacym nad dolina, ptaki nie swiergotaly juz, bez tchu staly drzewa, a nawet male trawki nie odwazily sie drzec. Niebo zamykalo w metalowej trumnie goracy swiat, w ktorym wszystko skamienialo w oczekiwaniu pierwszej błyskawicy.

Bez tchu stalem i ja ze splecionemi rekami i przylalem sie w sobie w cudownym, slodkim strachu, ktorzy mnie ubezwladniat. Slyszalem poza soba spieszacych sie ludzi, wracali z lasu, wychodzili z drzwi hotelowych, ze wszystkich stron uciekali, słu-



żące zapuszczały żaluzje, zamykały z trzaskiem okiennice, wszystko ruszało się, przygotowywało, cisnęło. Ja tylko stałem nieruchomy, niemy, bo we mnie było wszystko zduszone i oczekujące okrzyku, który już czułem w piersiach, okrzyku rozkoszy przy pierwszej błyskawicy.

Wtem usłyszałem tuż poza sobą westchnienie, gwałtownie wyrzucone z udręczonej piersi, a z niem razem tęskne, błagalne słowa:

— Ach, żeby już raz nareszcie deszcz zaczął padać!

Tak dzikim, żywiołowym był ten wykrzyk, jak gdyby wydawała go sama spragniona ziemia swojemi popękanemi wargami, krajobraz umęczony pod ciężarem ołowianego nieba. Odwróciłem się. Za mną stała młoda dziewczyna — ona to widocznie wypowiedziała te słowa, bo jej usta, te blade, delikatnie zarysowane usta, były jeszcze na pół otwarte, łaknące, a jej ramię oparte o drzwi drżało zlekka. Nie do mnie mówiła. Jak nad przepaścią pochyliła się nad krajobrazem, a jej oczy patrzyły wprost w ciemność ponad jodłami. Czarne było i puste to spojrzenie, skamieniałe, jak przepaść bez dna, zwrócone do ciemnego nieba. Szło ku górze, sięgało głęboko w skłębione chmury i wiszącą nad światem burzę. Mogłem więc spokojnie ją obserwować, jak jej pierś się podnosiła, jak coś w niej drgało, jak wzdłuż szyji, która wynurzała się z wyciętej sukni, przechodziło drżenie, aż wkońcu i usta zadrżały, otworzyły się spragnione i znowu wyrzekła:

— Ach, żeby już raz nareszcie deszcz zaczął padać!

A mnie zdawało się to westchnieniem całego dyszącego świata. Coś somnambulicznego było w jej posągowej postaci, w jej roztopionym wzroku. I kiedy tak stała biała, w białej sukni na tle ołowianego nieba, zdawała się być pragnieniem, oczekiwaniem całej wysychającej natury.

Coś syknęło cicho koło mnie w trawie. Coś dziobnęło twardo o gzyms. Coś zgrzytnęło zcicha w gorącym zwirze. Wszędzie dał się słyszeć ten cichy, brzęczący ton. I naraz zrozumiałem, poczułem, że były to krople, spadające ciężko, pierwsze, odrazu parujące krople, błogosławione wysłanki wielkiego, szumiącego, oziębiającego deszczu.

Zaczęło się.

Błogosławione upojenie, zapomnienie wszystkiego przyszło na mnie. Byłem podniecony, jak nigdy, Podskoczyłem i złapałem jedną kroplę na rękę. Ciężka, zimna plusnęła mi na palce. Zdjąłem kapelusz, żeby silniej odczuć wilgotne powietrze na włosach i czole, drżałem już z niecierpliwości, żeby się dać otoczyć szumem deszczu, czuć go na sobie, na gorącej skórze, w otwartych porach, aż do głębi wzburzonej krwi. Rzadko jeszcze padały te pluskające krople, ale czułem już ich spadającą obfitość, słyszałem je już, jak płynęły i szumiały przez otwarte tamy, widziałem, jak niebo wali się ponad kłębowiskiem spalającego się świata.

Ale to ciekawe!... Krople nie padały szybciej. Można je było rachować. Jedna, jedna, jedna, jedna, spadały jedna po drugiej, zgrzytały, syczały,

szumiały zcicha po prawej i po lewej stronie, ale nie chciały się zjednoczyć w jedną wielką, szumiącą muzykę deszczu. Nieśmiało kropiły w powolnym tempie, coraz wolniej, aż naraz... przestały. Zdawało się, że naraz zatrzymało się tykanie minutowej wskazówki zegarka i czas stanął. Czekałem, czekałem, ale nic się nie zmieniło. Niebo wisiało czarne, nieruchome, z zachmurzonym czołem, chwilami panowała śmiertelna cisza, ale potem zdawało się, jakby lekki, ironiczny blask po niem przechodził. Od zachodu rozjaśniało się, ściany chmur rozsuwały się zwolna i z cichym grzmo-tem rozsuwały się dalej. Coraz płytszą stawała się ich czarna głębia, w bezsilnym, niezaspokojonym rozczarowaniu leżał cały krajobraz pod rozjaśniającym się horyzontem. Gniewnie przebiegały jeszcze ostatnie dreszcze po drzewach, które schylały się i kurczyły, ale wkońcu ich pożądliwie w górę wzniesione ramiona opadły już jak martwe. Coraz bardziej przejrzystą stawała się zasłona z chmur, zła, groźna jasność wisiała nad bezbron-ny światem.

Nic się nie stało. Burza przeciągnęła dalej.

Drzałem na całym ciele. Czułem wściekłość, nierozumne oburzenie bezsilności, rozczarowania, zdrady. Byłbym chciał krzyczeć, albo szaleć, przyszła mi ochota coś rozbić, i niebezpieczna potrzeba zemsty. Czułem w sobie mękę całej zdradzonej natury, czułem pragnienie małych trawek, upał ulic, zduszony dym lasu, ostry żar wapiennych skał, pragnienie całego oszukanego świata. Nerwy paliły się we mnie, jak druty, czułem, jak

drgają z elektrycznego napięcia, jak dużo drobnych płomyków żarzy mi się pod wyprężoną skórą. Wszystko zadawało mi ból, wszystko było otoczone małemi płomykami, a wzrok — na cokolwiek padł — parzył się. Głębia istoty mojej była wzburzona, czułem, jak wiele zmysłów, zazwyczaj śpiących w tępych mózgu, otwierało się, jakby małe nozdrza, któremi czułem — żar. Nie wiedziałem już, co z tego było mojem własnem wzburzeniem, a co wzburzeniem świata; cienka błonka czucia między mną a światem była zerwana. I kiedy, tak zgorączkowany patrzyłem w dolinę, która się stopniowo zapełniała światłami, czułem, że każde małe światełko we mnie wnikało, każda gwiazda paliła mnie aż do krwi. Było to to samo bezmierne gorączkowe wzburzenie od zewnątrz i od wewnątrz, które tak namiętnie i gorąco wokoło mnie się kłębiło, pozornie we mnie wciśnięte, a jednak coraz bardziej rosnące i żarzące się. Miałem uczucie, jakby to tajemnicze, żyjące jądro, zamknięte w poszczególnych przedmiotach paliło się w wewnętrznej głębi mojej istoty. Wszystko odczuwałem w magicznem rozbudzeniu zmysłów, gniew każdego najdrobniejszego listka, tępe spojrzenie psa, który ze spuszczonego ogonem skradał się koło drzwi. Wszystko odczuwałem, a wszystko, co odczuwałem, bolało mnie. Prawie fizycznym stawał się we mnie ten ból, a gdy dotknąłem ręką stołu, czerewo zatrzeszczało sucho pod palcami, jak zagiew.

Gong oznajmił hałaśliwie czas obiadowy. Głęboko wdzierał się we mnie ten metalowy dźwięk,

który mnie także zabolął. Odwróciłem się. Gdzie podzieli się ci wszyscy ludzie, którzy tu przedtem przebiegali z lękiem i wzburzeniem? Gdzie była ona, która tu stała, jak obraz spragnionej natury? Wszyscy zniknęli. Stałem sam wpośród milczącej natury. Jeszcze raz objąłem wzrokiem cały kraj-obraz. Niebo było teraz całkiem puste, ale nie czyste. Na gwiazdach leżał rozpięty zielonawy welon, a ze wschodzącego księżyca błyszczał zły blask, jak kocie spojrzenie. Trupia bladeść osiadła tam w górze, szydercza i niebezpieczna; głęboko w dole jednak pod tą niepewną sferą szarzała ciemna noc, fosforyzująca, jak tropikalne morze, z umęczonym, zmysłowym oddechem rozczarowanej kobiety. W górze wisiała jeszcze ostatnia szydercza Jasność, w dole zmęczona i ciężka. Ciemność zawisała pośrodku między niebem a ziemią.

Znowu wołał gong. Obrzydliwym był mi ten martwy dźwięk! Nie byłem głodny, nie pragnąłem widoku ludzi, ale i ta samotna cisza tu w tem parnem, dusznem powietrzu. była straszna. Cały strop niebieski ciążył mi na piersiach i czułem, że nie mogę już dłużej wytrzymać tego ołowianego ciśnienia. Wszedłem do sali jadalnej. Siedzieli już wszyscy przy małych stolikach. Mówili cicho, ale dla mnie mimo to za głośno. Wszystko stawało się męczarnią, co drażniło moje przeczułone nerwy. Dźwięk noży i widelców, stukanie talerzami, każdy ruch, każdy oddech, każde spojrzenie. Musiałem panować nad sobą, żeby nie popełnić jakiegoś szaleństwa, bo czułem z uderzeń pulsu, że mam gorączkę. Każdemu z tych ludzi po kolei musiałem

się przypatrzeć i do każdego z nich czułem nienawiść, gdy ich widziałem tak wygodnie rozpartych, żarłocznych, gdy we mnie żarzyło się wszystko. Zazdrość mnie opanowała, że inni są tacy pewni siebie, syci, bez udziału w męce świata, bez zrozumienia dla cichego szaleństwa, które się odbywało w piersi ginącej z pragnienia — ziemi.

Kelner przyniósł mi jedzenie. Spróbowałem jeden kąsek, ale nie byłem w stanie go przełknąć. Wstręt miałem do jadła. Zanadto byłem przepełniony dusznością, parą, wyziewami cierpiącej, chorej, przemęczonej natury.

Obok mnie posunął ktoś krzesło. Drgnąłem. Każdy odgłos bolał mnie teraz, jak dotknięcie rozpalonem żelazem. Spojrzałem w tę stronę. Siedzieli tam obcy ludzie, których nie znałem. Jakiś starszy pan z żoną, spokojni, porządni mieszczanie, o okrągłych oczach. Ale naprzeciw nich, napół do mnie plecami zwrócona, młoda dziewczyna, zapewne córka. Tylko kark jej widziałem, biały i szczupły, a nad nim jak hełm stalowy, obfitość czarnych, prawie granatowych włosów. Siedziała bez ruchu i po tem odrętwieniu poznałem ją. Była to ta sama dziewczyna, która przedtem stała na tarasie, pragnąc, oczekując deszczu, jak biały spragniony kwiat. Jej małe, chorobliwie szczupłe palce bawiły się niespokojnie nożem, ale tak, że nie słychać było żadnego dźwięku, i ta cisza wokoło niej była dla mnie dobrodziejstwem. Ona także nie mogła jeść. Raz tylko jej ręka wyciągnęła się po szklanekę. Ach, i ona czuje także tę gorączkę natury, pomyślałem uszczęśliwiony, sądząc po tym

szybkim, pragnącym ruchu, i z sympatycznym współczuciem skierowałem spojrzenie na jej szyję. Jedną, jedyną istotę odczuwałem teraz, która także żarzyła się w pożarze całego świata i chciałem, żeby się dowiedziała o pokrewieństwie naszych dusz. Chciałem krzyknąć do niej:

— Czy rozumiesz mnie? Czy rozumiesz mnie? Ja tak samo jestem podniecony jak ty, ja także cierpię! Czy rozumiesz mnie? Czy rozumiesz mnie?

Wlepiłem oczy w jej plecy, gładziłem w myślach jej włosy, przesywałem ją spojrzeniem, wołałem ją ustami, tuliłem ją do siebie, patrzyłem i patrzyłem, wyrzucałem z siebie całą moją gorączkę, ażeby ją odczuła. Ale nie odwracała się. Siedziała, jak posąg skamieniała, chłodna i obca. Nitk nie odczuwał wraz ze mną. W niej także świat nie oddychał. Paliłem się sam.

Ach, ta duszność zewnątrz i wewnątrz, nie mogłem jej już znieść! Tłusta i słodka para i dym z ciepłych potraw drażniły mnie, każdy szmer przesywał mi nerwy. Czułem, jak krew we mnie pulsuje i czułem się blizkim omdlenia. Chciałem się jaknajprędzej stąd oddalić, wszystko we mnie spragnione było chłodu, a ta bliskość ludzi dusiła mnie.

Obok mnie znajdowało się okno. Pchnąłem je, pchnąłem na oścież. Tam na dworze było znowu tak tajemniczo, to samo niespokojne drganie, co w mojej krwi, tylko roztopione w bezgraniczności nocnego nieba. Żółto-biały błyszczał księżyc, jak rozpalone oko w pierścieniu czerwonej pary, a ponad polami przechodziły blade, jak upiór, gorące wyziewy. Gorączkowo ćwierkały świerszcze. Zda-

wało się, że powietrze jest napięte metalowymi strunami, które wydawały z siebie przenikliwe tony. Niekiedy dawało się słyszeć ciche skrzeczenie ropuchy, psy zaczynały wyc gdzieś głośno, płacząliwie, gdzieś daleko ryczały zwierzęta; przypomniałem sobie, że podczas takich nocy gorączka zatruwa krowom mleko. Natura także była chora, nurtowało w niej także to ciche szaleństwo, patrzyłem z okna jakby w zwierciadło własnych uczuć.

Znowu posunięto obok mnie krzesłami. I znowu drgnąłem. Obiad się skończył, ludzie wstawali hałaśliwie, także moi sąsiedzi wstali i przeszli koło mnie. Najpierw ojciec, syty i zadowolony z miłym, przyjaznym uśmiechem, potem matka, a wkońcu córka. Dopiero teraz ujrzałem jej twarz. Była żółtawo blada, tego samego matowego chorego koloru, co księżyc, wargi jej były napół otwarte, jak przedtem. Szła cicho, a jednak nie lekko. Coś sennego, bezsilnego było w niej, coś, co mi dziwnie przypominało własne uczucie. Czułem potrzebę bliskości jej, pragnęłem, żeby musnęła mnie swą białą suknią, albo żebym przynajmniej poczuł zapach jej włosów, kiedy będzie przechodziła.

W tej chwili spojrzała na mnie. Czarny i bezdenny przeszył mnie jej wzrok i pozostał we mnie, głęboki i wyzywający, tak, że tylko ten wzrok czułem, a jej jasna twarz znikła poza nim i widziałem tylko ciemność przed sobą, w którą rzuciłem się, jak w przepaść. Zrobiła jeszcze jeden krok naprzód, ale jej wzrok mnie nie opuszczał, tylko wbił się we mnie, jak czarna lanca; czułem jego wdzieranie się coraz głębiej. A teraz jego koniec dotarł



do mego serca i pozostał w niem. Przez jedną, dwie sekundy, podczas których czułem się bezsilnie porwany czarnym magnesem jej źrenic, zatrzymała swój wzrok na mnie, a ja wstrzymałem oddech. Poczem przeszła obok mnie. I w tej chwili czułem, jak krew tryska we mnie, jakby z rany, i wzburzona przechodzi przez całe ciało.

Co — co to było? Zbudziłem się nagle. Czy gorączka mieszała mi tak wszystkie zmysły, że w przelotnem spojrzeniu przechodzącej dziewczyny tak się całkowicie zgubiłem? Ale zdawało mi się, że wyczułem w tem spojrzeniu to samo ciche szaleństwo, tę samą bezrozumną, schnącą z pragnienia żądzę, która mi się teraz ukazała we wszystkim, blasku czerwonego księżyca, w łaknących wargach ziemi, w krzyczącej męce zwierząt, tę samą, która we mnie drżała. Ach, jak bałamutnie mieszało się wszystko podczas tej dusznej, fantastycznej nocy, jak wszystko roztopione było w tem jednym uczuciu oczekiwania i niecierpliwości. Czy ja byłem obłąkany, czy świat?

Poszedłem za nią do czytelnicy. Usiadła tam z rodzicami i zagłębiła się w fotelu. Jej wzrok był niewidoczny pod napół przymkniętymi powiekami. Czytała książkę, ale nie wierzyłem jej, że czyta. Byłem pewien, że jeżeli czuła tak samo, jak ja, jeżeli cierpiała wraz z bezmyślną męką duszącego się świata, nie mogła odpoczywać w cichych rozmyślaniach i że to było tylko chowaniem się, ukrywaniem przed obcą ciekawością. Usiadłem naprzeciw niej i wlepiłem w nią oczy; czekałem daremnie i gorączkowo, czy nie wróci to spojrzenie, któ-

rem mnie oczarowała, czy nie wyjawi mi swej tajemnicy. Ale nie ruszała się. Ręka przerzucała obojętnie w książce kartkę za kartką, wzroku nie podnosiła. A ja czekałem naprzeciw niej, czekałem coraz niecierpliwiej, jakaś zagadkowa siła woli wyteęzała się we mnie, żeby fizycznie złamać to udawanie w obecności tych ludzi, którzy spokojnie rozmawiali, palili i grali w karty; zaczęła się niema walka. Czułem, że się broni, że nie pozwala sobie podnieść oczu, ale im więcej się opierała, tem silniejsze, tem zuchwalsze było moje pragnienie. A byłem silny, bo razem ze mną czekała cała łaknąca ziemia. I tak, jak w moje pory wciskała się jeszcze ciągle parna duszność nocy, tak samo moja wola wciskała się w jej wolę i czułem, że musi już niedługo spojrzeć na mnie — musi!...

W drugiej sali zaczął ktoś grać na fortepianie. Tony toczyły się, jak perły, cicho w dół i w górę, lekko, spieszenie, gdzieś w kącie głośno śmiało się towarzystwo z jakiegoś niemądrego dowcipu. Słyszałem wszystko, czułem wszystko, co się działo, ale nie przerywałem ani na chwilę mojej gry. Rachowałem teraz głośno sekundy, kiedy z oddalenia przez hypnozę chciałem podnieść jej uparcie pochyloną głowę. Minuta za minutą upływały — ciągle przez ten czas perliły się tony fortepianu — i już czułem, że siły mnie opuszczają — wtem podniosła głowę i spojrzała na mnie, wprost na mnie. I znowu było to samo spojrzenie, niekończące się, czarne, straszne, wysysające. Pragnienie, które piło mnie bez oporu. Wlepiłem oczy w te źrenice, jak w czarny otwór aparatu fotograficznego i czu-

łem, że najpierw wciągał moją twarz do wnętrza i że oddzielał się od siebie. Ziemia usuwała mi się z pod nóg, tak, iż odczuwałem całą słodycz oszałamiającego upadku. Wysoko, wysoko ponad sobą słyszałem jeszcze. dźwięczące pasaże, toczące się jeden za drugim, ale już nie czułem, gdzie się to wszystko działo, krew mi odpłynęła — oddech zatrzymał się. Już czułem, jak mnie dławi, przez tę minutę, godzinę, czy wieczność — wtedy spuściła znowu powieki. Wypląnąłem z wody, jak topielec, trzęsiony gorączką.

Rozejrzałem się. Naprzeciw mnie siedziała młoda szczupła dziewczyna, pochylona nad książką, nieruchoma jak obraz, tylko jej kolano drżało pod cienką suknią. Wiedziałem, że ta rozkoszna zabawa — między mojem oczekiwaniem a jej oporem — znowu się zacznie, że muszę z nieustannem natężeniem pożądać, ażeby potem utonąć w czarnych płomieniach jednego spojrzenia. Włosy lepiły mi się na skroni; krew gotowała się we mnie. Nie mogłem już tego dłużej wytrzymać. Wstałem, nie odwracając się i wyszedłem.

W dali przed oświetlonym hotelem była noc. Doliny nie było widać, a niebo błyszczało wilgotne, jak czarny, mokry mech. I tu także nie było ochłody, jeszcze wciąż nie. Jak wszędzie, tak i tu także to samo kojarzenie się pragnienia z upojeniem, które czułem we krwi. Mgła niezdrowa, wilgotna, jak wyziew człowieka w gorączce, leżała na polach, ziała drgały ognie i jak duchy migały w rzadkiem powietrzu, a naokoło księżycy leżał żółty pierścień i nadawał mu zły blask. Czułem się zmęczony, jak

nigdy. Pleciony fotel, niesprzątnięty podczas dnia, stał tu jeszcze zapomniany na dworze, rzuciłem się nań. Byłem, jak połamany, wyciągnąłem się i pozostałem tak bez ruchu. I przytulony do miękkiego oparcia z trzciny, teraz już nie stawiając oporu, odczułem po raz pierwszy tę duszność, jako coś cudownego. Nie męczyła mnie już, przytulała się tylko czule i rozkosznie do mnie, nie broniłem się już przed nią. Tylko oczy miałem zamknięte, żeby niczego nie widzieć, żeby silniej odczuć naturę, to życie, które mnie otaczało. Ssać, jak polip, czepiała się mnie teraz tysiącem ust — noc. Leżałem i czułem, że ulegam, oddaję się czemuś, co mnie obejmowało, głaskało, otaczało, co piło moją krew, i po raz pierwszy miałem zmysłowe uczucie, jak kobieta, która się roztopia w słodkiej ekstazie — oddania. Coś niewidzialnego dotykało mojej skóry i stopniowo pod nią przenikało, rozluźniało moje członki, a ja się nie broniłem przeciwko tej rozkoszy zmysłów. Pozwalałem się opanować temu nowemu uczuciu i odczuwałem tylko, że ta noc i to spojrzenie przedtem, ta kobieta i ten krajobraz, to było jedno i to samo i że słodko było szukać w tem zapomnienia. Czasem zdawało mi się, jakby ona była tą ciemnością, a to ciepło, które dotykało moich członków—jej własnem ciałem, roztopionem w nocy, tak jak moje. I jeszcze we śnie ją odczuwałem i gubiłem się w tej czarnej fali rozkosznego zapomnienia...

Naraz coś mnie przestraszyło. Z rozbudzonem zmysłami dotykałem wszystkiego wokoło siebie, nie pojmując, gdzie się znajduję. Aż wkońcu zoba-

czyłem, poznałem, że leżałem tu oparty z zamkniętymi oczyma i — spałem. Spałem może od godziny albo od kilku godzin, bo światła w hotelu były już pogaszone, wszyscy już dawno udali się na spoczynek. Wilgotne włosy lepiły mi się do skroni, zdawało mi się, że jak gorąca rosa opadł na mnie ten sen — bez marzeń.

Obałamucony wstałem, żeby rozeznąć się w ciemnościach. W dali coś grzmiało, a czasem przelatywała po ciemnym niebie błyskawica. W powietrzu czuło się smak ognia i iskier. Zdradliwe światła błyszczały od czasu do czasu poza górami, a we mnie faszoryzowało wspomnienie i przedsmak tego, co może przyjść. Byłbym chętnie został, żeby przyjść do siebie, ale było już późno i zdecydowałem się pójść na górę.

W hall'u hotelowym było już pusto. Krzesła stały jeszcze w nieładzie w bladym świetle jednej lamki tak, jak je porzucono. Upiorną wprost była ta nieożywiona pustka, i na jednym z krzeseł widziałem w myśli postać tej dziwnej istoty, która mnie swym spojrzeniem wyprowadziła z równowagi. Jej wzrok żył jeszcze w głębi mojej jaźni, czułem, jak błyszczący patrzył na mnie z ciemności. Tajemniczo przeczuwałem go jeszcze w tych ścianach, a jego obietnice migwały mi we krwi, jak błędne ogniki. A jeszcze ciągle było tak duszno! Zaledwie przymknąłem oczy, czułem purpurowe iskry pod powiekami. Jeszcze błyszczał we mnie biały, żarzący się dzień, jeszcze gorączkowała we mnie ta migotliwa, wilgotna, iskrząca się fantastyczna noc.

Ale nie mogłem pozostać tu, wszędzie było ciemno i pusto. Szedłem schodami na górę, ale właściwie nie chciałem iść. Czułem w sobie jakąś przeszkodę, której nie umiałem zwyciężyć. Byłem zmęczony, a jednak czułem, że było jeszcze za wcześnie, żeby położyć się do łóżka. Jakieś tajemnicze, jasnowidzące przeczucie obiecywało mi jeszcze jakąś przygodę. Idąc po schodach, miałem wrażenie, że moje przeczulone nerwy przenikały wszystkim zapory, wszystkie ściany i drzwi, i tak jak przedtem w naturę, tak samo teraz starałem się teraz starałem się wnikać w ten wielki, ciemny dom, czułem miarowy oddech wszystkich ludzi, śpiących poza temi ścianami, ich niewinny spokój i ciszę, ale także jakiś magnetyczny pociąg jakiejś niewidocznej siły. Przeczuwałem coś, co było tak samo rozbudzone, jak ja. Czy spojrzenie tej dziewczyny, czy też ten burzliwy krajobraz wywołało we mnie to dziwne obłąkanie? Zdawało mi się, że czuję coś miękkiego przez mury i ściany, mały płomyk niepokoju drgał we mnie i wabił mnie i nie gasł. Niechętnie wchodziłem na górę, stawiałem na każdym schodku i wsłuchiwałem się w siebie, nie tylko uchem, ale wszystkimi zmysłami. Wszystko we mnie czyhało na coś niesłychanego, na coś osobliwego, bo wiedziałem, że ta noc nie mogła się skończyć bez cudu, ta duszność bez błyskawicy. Jeszcze raz, stojąc tu na schodach i nasłuchując, byłem tym światem, który się przeciągał w swem omdleniu i wołał o burzę. Ale nic się nie ruszało. Tylko cichy oddech pulsował w tym cichym domu. Zmęczony i rozczarowany wchodzi-

łem na ostatnie stopnie i czułem strach przed moim pustym pokojem, jak przed trumną.

Klamka niepewnie błyszczała w ciemności, wilgotna i ciepła. Otworzyłem drzwi. W głębi było otwarte okno; wyglądało, jak wycięty kwadrat nocy, w którym poruszały się wierzchołki jodeł pod lasem. Ciemno było wszędzie, zewnątrz i wewnątrz, świat i pokój, tylko — dziwnym i nie dającym się wytłomaczyć trafem. na futrynie okna błyszczało coś drobnego, szczupłego, jak zapomniany pas światła księżycowego. Przystąpiłem bliżej, żeby się przyjrzeć, co to tak jasno świeci w tej bezksiężycowej, czarnej nocy. Przystąpiłem bliżej, wtedy poruszyło się. Zdumiałem się, ale nie przestraszyłem, bo byłem jakoś dziwnie przygotowany na najfantastyczniejsze zdarzenia, wszystko już urzędem przemyślałem i prześniłem.

Żadne spotkanie nie byłoby mnie zdziwiło, Ona tam stała, ona, o której myślałem, przy każdym kroku w tym śpiącym domu, ona, której bezsenność moje nerwy przeczuły poprzez deski i ściany. Tylko jako słaby blask widziałem jej twarz i jak mgła leżał na niej nocny strój. Opierała się o okno i kiedy tak stała, całą postacią zwrócona do krajobrazu, zdawała się być, jak w bajce: Ofelją nad stawem. Przystąpiłem jeszcze bliżej, nieśmiało, ale wzburzony do głębi. Musiała usłyszeć szmer, bo odwróciła się. Jej twarz była w cieniu. Nie wiedziałem, czy mnie zobaczyła, czy mnie usłyszała, bo nie zdradziła się ruchem. Wokoło nas była cisza. Na ścianie tykał mały zegar. Cisza była zupełna, aż naraz powiedziała ledwie dosłyszalnym głosem:

— Tak się boję...

Czy mówiła do mnie? Czy mówiła przez sen? Był to ten sam głos, ten sam drgający ton, który dziś popołudniu drżał przed zbliżającymi się chmurami, wtedy, kiedy mnie jej wzrok jeszcze nie dostrzegł. Dziwne to było, a jednak nie byłem ani zdumiony, ani zmieszany. Zbliżyłem się do niej, żeby ją uspokoić i wziąłem ją za rękę. Była jak żagiew gorąca i sucha, a dotknięcie jej palców skruszyło się miękko w moim uścisku. Bez oporu zostawiła mi swą rękę. Wszystko w niej było osłabłe, bezbronne, obumarłe! I tylko usta jej wyszeptaly jeszcze raz, jakby z oddalenia:

— Tak się boję! Tak się boję!

A potem westchnęła:

— Ach, jak parno!

Było tak cicho a jednak słowa brzmiały z oddali, wyszeptane, jak tajemnica, obchodząca tylko nas oboje.

Ale mimo to czułem, że nie mówiła do mnie.

Wziąłem ją za ramię. Drżała lekko, jak drzewa popołudniu przed burzą, ale nie broniła się. Chwyliłem ją silniej, poddała się. Jej ręce opadły na mnie, słabe bez oporu, jak ciepła spadająca fala. Miałem ją teraz blisko przy sobie, tak, że mogłem oddychać parnym oddechem jej skóry i wilgotnym zapachem jej włosów. Nie ruszałem się — ona milczała. Jakie to wszystko było dziwne! Płonałem z ciekawości, a moja niecierpliwość stopniowo wzrastała. Dotknąłem wargami jej włosów i ust — nie broniła się. Usta były suche i gorące, a kiedy je całowałem, otwarły się nagle, żeby pić z moich



ust, ale nie z pragnieniem namiętności, tylko z cichym pragnieniem dziecka. Czułem, że usycha z pragnienia — i tak, jak jej usta, przycisnęło się jej wiotkie, gorące ciało do mnie tak, jak przedtem na dworze przycisnęła się do mnie noc — bez siły, ale pełna cichej, pijanej żądz. I kiedy ją tak trzymałem w objęciach — czułem przy sobie ciepłą wilgotną ziemię, łaknącą deszczu odprężenia, bezsilną i żarzącą się. Całowałem ją i zdawało mi się, jakbym pił z niej całą rozkosz wielkiego, dusznego, oczekującego świata, jakgdyby to gorąco, co paliło jej policzki, było wyziewem tych spalonych pól, jakgdyby z jej miękkich, ciepłych piersi szedł oddech natury.

Ale kiedy moje wędrujące usta chciały przywrzeć do jej powiek, do jej oczu, kiedy się wspiałem, żeby ujrzeć jej twarz i widząc ją, tem silniej odczuwać rozkosz, zobaczyłem zdumiony, że jej powieki były zamknięte. Grecka maska z kamienia bez oczu, —zemdlona, leżąca, jak nieżywa Ofelja, niesiona przez wodę, blade oblicze na tle ciemnych fal. Przeraziłem się. Po raz pierwszy odczułem rzeczywistość w tem fantastycznym zdarzeniu. Dreszczem przejęła mnie myśl, że obejmuję istotę nieprzytomną, upojoną, chora, którą jak czerwony księżyc przypędziła do mnie duszność nocy, istotę, która nie wiedziała co robi, która mnie może nie chciała. Zaciążyła mi w ramionach. Cicho chciałem to ciało bezwolne złożyć na łóżku, żeby nie kraść rozkoszy, korzystając z jej odurzenia, nie brać czegoś, czego może ona sama nie chciałaby dać, tylko ten demon w niej, który był panem jej krwi.

Ale kiedy tylko uczuła, że mój uścisk się rozluźnił, zaczynała cicho jęczeć.

— Nie odchodź ode mnie! Nie odchodź ode mnie!

Błagała — i coraz goręcej przywierały jej usta i tuliło się jej ciało do mnie. Bolesnie naprężona była jej twarz z zamkniętymi oczami, drżąc czułem, że pragnie się zbudzić, ale nie może, że jej upojone zmysły pragną się wyrwać z tego zamroczenia i krzyczą, chcąc odzyskać świadomość. Ale właśnie to, że pod tą ołowianą maską coś się rwało, coś chciało się wydrzeć z tego oczarowania — było dla mnie niebezpieczną pokusą, żeby ją zobaczyć rozbudzoną, mówiącą, jako żywą istotę, nietylko jako lunaticzkę; i za wszelką cenę chciałem jej ciało, które dotychczas tylko sennie odczuwało rozkosz, zmusić do rozbudzenia. Porwałem ją, trzęsłem nią, przywarłem zębami do jej warg i wpiłem palce w jej ramiona, żeby nareszcie otworzyła oczy i świadomie czyniła to, do czego ją teraz pchał tylko jakiś nieświadomy popęd zmysłowy. Ale przeginała się tylko i jęczała w tym bolesnym uścisku.

— Więcej! więcej! — wyjąkała żarliwie z zapałem, z takim szalonym zapałem, że mnie to samego wprawilo w szal. Czułem, że była już bliska rozbudzenia się, bo jej zamknięte powieki drżały niespokojnie. Chwyciłem ją silniej, i nagle uczułem, jak po jej policzkach spływała łza. Im silniej ją przyciskałem do siebie tem gwałtowniej falowały jej piersi, jęczała, jej członki kurczyły się, jakby chciały rozerwać coś olbrzymiego, tę obręcz, która ją objęła snem, i nagle — jak błyskawica przela-

tująca przez ten burzliwy świat — coś w niej się załamało. Odrazu zaciężyła mocno w moich ramionach, jej usta oderwały się od moich, ręce opadły, a kiedy ją wsparłem na łóżku, leżała, jak martwa. Przeraziłem się. Mimowoli dotknąłem jej ramię i jej policzków. Były zimne, zmarznięte, kamienne, tylko w skroniach tykała cicho krew. Jak marmur, jak posąg — leżała tak z wilgotnymi od łez policzkami, tylko oddech cicho poruszał jej rozszerzonymi nozdrzami. Niekiedy przechodziło po niej ciche drganie, opadająca fala wzburzonej krwi, ale pierś falowała już coraz ciszej. Coraz bardziej ludzkie, coraz jaśniejsze stawały się jej rysy. Spazm przeszedł. Drzemała. Spała.

Siedziałem na brzegu łóżka, pochylony nad nią. Leżała spokojnie, jak dziecko, oczy miała zamknięte, lekki uśmiech wokoło ust, ożywiony snąc miłym snem. Schyliłem się nad nią całkiem blisko, tak, że mogłem obserwować każdą linię jej twarzy i czułem każde tchnienie jej oddechu i im bliżej jej się przypatrywałem, tem dalszą mi się wydawała i bardziej tajemnicza. Gdzie były teraz zmysły tej dziewczyny leżącej tu, jak skamieniała, przynaganej do mnie gorącym przyplływem dusznej nocy i teraz wyrzuconej na brzeg, jak nieżywa? Kim była ta kobieta, którą obejmowałem ramionami, skąd przychodziła, do kogo należała? Nie wiedziałem o niej nic i czułem tylko, że mnie nic z nią nie łączy. Patrzyłem na nią, gdy zegar pospiesznie tykał sekundy i starałem się czytać w jej niemiernym obliczu, lecz nie mogłem się niczego doczytać. Miałem ochotę zbudzić ją z tego niezwykłego snu w

poblizu mnie, w moim pokoju, i jednocześnie obawiałem się tego obudzenia, jej trzeźwych zmysłów, jej pierwszego spojrzenia. I siedziałam tak niemo pochylony nad nią przez godzinę, może przez dwie, czuwając nad snem tej obcej istoty, jakby nie była kobietą, która się do mnie w niezwykle sposób zbliżyła, tylko jakby była sama tą Nocą, tą tajemnicą spragnionej, udręczonej natury, która mi się objawiła. Zdawało mi się, że leży tu cały gorący świat z nabrzmiętymi zmysłami, jak gdyby cała ziemia podniosła się w swej męce i wysłała ją, jako wysłanniczkę tej dziwnej, fantastycznej nocy.

Coś zabrzęczało poza mną. Zerwałem się, jak złoczyńca. Jeszcze raz zabrzęczało okno, jak gdyby waliła weń jakaś olbrzymia pięść. Skoczyłem. Poza oknem działo się coś dziwnego! Przeobrażona Noc rozszalała. Słychać było szum i straszny huk. Coś podnosiło się aż do czarnej wieży nieba, coś rzuciło się na mnie z nocy, zimno, wilgotno, dziko uderzając: — wicher. Wyskakiwał z ciemności gwałtowny i silny, jego pięści szarpały okna, biły dom. Jak straszna czeluść otwarła się ta ciemność przedemną, chmury pędziły i stawały z szaloną szybkością czarne, wysokie ściany, coś huczało potężnie między niebem a światem. Uporczywa duszność ustąpiła pod powiewem powietrza, wszystko płynęło, rozciągało się, ruszało się w szalonej ucieczce z jednego końca nieba na drugi. A drzewa, silnie zakorzenione w ziemi, jęczały pod niewidzialnym, szumiącym, gwizdającym biczem burzy. I naraz biała błyskawica rozdarła czarną otchłań, rozłupując niebo aż do ziemi. A za nią

zahuczał grzmot, jakgdyby zapadły się wszystkie chmury w przepaść.

Poza mną ruszyło się coś. Zerwała się. Huk piorana zdał sen z jej powiek. Zmieszana patrzyła wokoło siebie.

— Co to znaczy? Gdzie jestem?

A głos jej był całkiem inny, niż przedtem. Strach drżał w nim jeszcze, ale dźwięk był teraz czysty, ostry i jasny, jak odświeżone powietrze. Znowu rozdarła błyskawica ramy krajobrazu, zobaczyłem razjaśnione kontury jodeł, trzęsionych burzą, chmury, jak oszalałe zwierzęta, goniące po niebie, pokój, oświetlony gipsowo białym światłem, a bielszą, niż wszystko, jej bladą twarz. Jej ruchy były naraż inne, swobodne. Patrzyła na mnie uparcie, w ciemności czułem jej spojrzenie, czarniejsze, niż noc.

— Kto tu jest? Gdzie ja jestem? — wyjąkała przerażona, zasłoniła odkryte piersi.

Zbliżyłem się, żeby ją uspokoić, ale cofnęła się.

— Czego pan chce odemnie? — krzyknęła głośno.

Szukałem słów, żeby przemówić do niej, uspokoić ją, ale wtedy dopiero uprzytomniłem sobie, że nie znałem jej imienia, ani nazwiska. Znowu błyskawica rzuciła światło na pokój. Ściany, jakgdyby natarte fosforem, oślepiały białością: biała stała przedemną, w strachu odpychając mnie ramionami, a w jej już rozbudzonem spojrzeniu była bezgraniczna nienawiść. Daremnie chciałem uspokoić ją w ciemności, która spadła na nas znowu wraz z grzmotami, wyjaśnić jej wszystko, ale wyrwała

się gwałtownie i wypadła z pokoju. A razem z trzaskiem zamykających się za nią drzwi trzasnęła piorun, jakgdyby wszystkie nieba spadły na ziemię.

Szum wzmagał się, strumienie spadały z niebotycznych wyżyn, jak wodospady, a burza kołysała niemi na wszystkie strony, jak mokremi linami. Niekiedy przysłała kiść lodowato zimnej wody i słodkiego pachnącego powietrza w otwarte okno, gdzie stałem, aż włosy mi się zmoczyły i woda się ze mnie lała strugami. Ale byłem szczęśliwy, że czułem ten czysty żywioł, zdawało mi się, że to moja duszność rozchodzi się w tych błyskawicach, byłbym krzyczał z rozkoszy. Zapomniałem o wszystkim, zachwycony, że znowu mogę oddychać, czuć się świeży i wchłaniać w siebie ten chłód, jak ziemia. Czułem błogosławiony dreszcz, który mną potrzasał, jak drzewami, syczącymi pod mokrą różgą deszczu. Demonicznie piękna była ta rozkoszna walka nieba i ziemi, gigantyczna noc poślubna. Błyskawicami chwyciło niebo drgającą ziemię, grzmotami rzucało się na nią i w tej jęczącej ciemności odczuwało się szalone padanie sobie w objęcia Góry i Dołu, tak jak dwojga kochanków. Drzewa jęczały z rozkoszy i coraz bardziej żarzącymi się błyskawicami spletała się dal, widać były gorące żyły nieba, jak sypały iskrami i mieszały się z płynącymi po drogach strumieniami. Wszystko pękło i rozpadało się, Noc i Świat.

Cudowny nowy powiew, w którym mieszał się zapach pól z ognistym oddechem nieba, wciskał się we mnie. Trzytygodniowy żar rozszalał się w

tej walce, ale i we mnie wszystko się rozprężyło. Zdawało mi się, że deszcz wchodzi z szumem w moje pory, a wiatr przewiewa moje piersi i nie miałem już świadomości samego siebie i mojego przeżycia, ale czułem się teraz Światem, Orkanem, Dreszczem, Nocą. A potem już wszystko stopniowo ucichło. Błyskawice niebieskie okrażały już tylko horyzont, a grzmoty groziły bardziej po ojcowski, przestrzegając, a szum deszczu już się tylko rytmicznie dawał słyszeć w słabnącym wicherze, wtedy i na mnie przyszło zmęczenie i uspokojenie.

Jak muzykę czułem brzmienie kołyszących się nerwów i roztopiona słodycz wchodziła w moje członki. Ach, spać teraz razem z naturą, a obudzić się — z Nią! Padłem na łóżko. W łóżku znalazłem jeszcze miękkie ślady obcych kształtów. Chciałem sobie przypomnieć tę dziwną przygodę, ale nie rozumiałem jej już. Deszcz poza oknami szumiał i zmywał moje myśli. Odczuwałem wszystko teraz inaczej, niż sen. Ciągle chciałem sobie jeszcze przypomnieć sobie coś z tego, co się zdarzyło, ale deszcz szumiał, cudowną kołyską była ta łagodna, rozbrzmiewająca noc, zapadłem w nią, zasypiając jej snem.

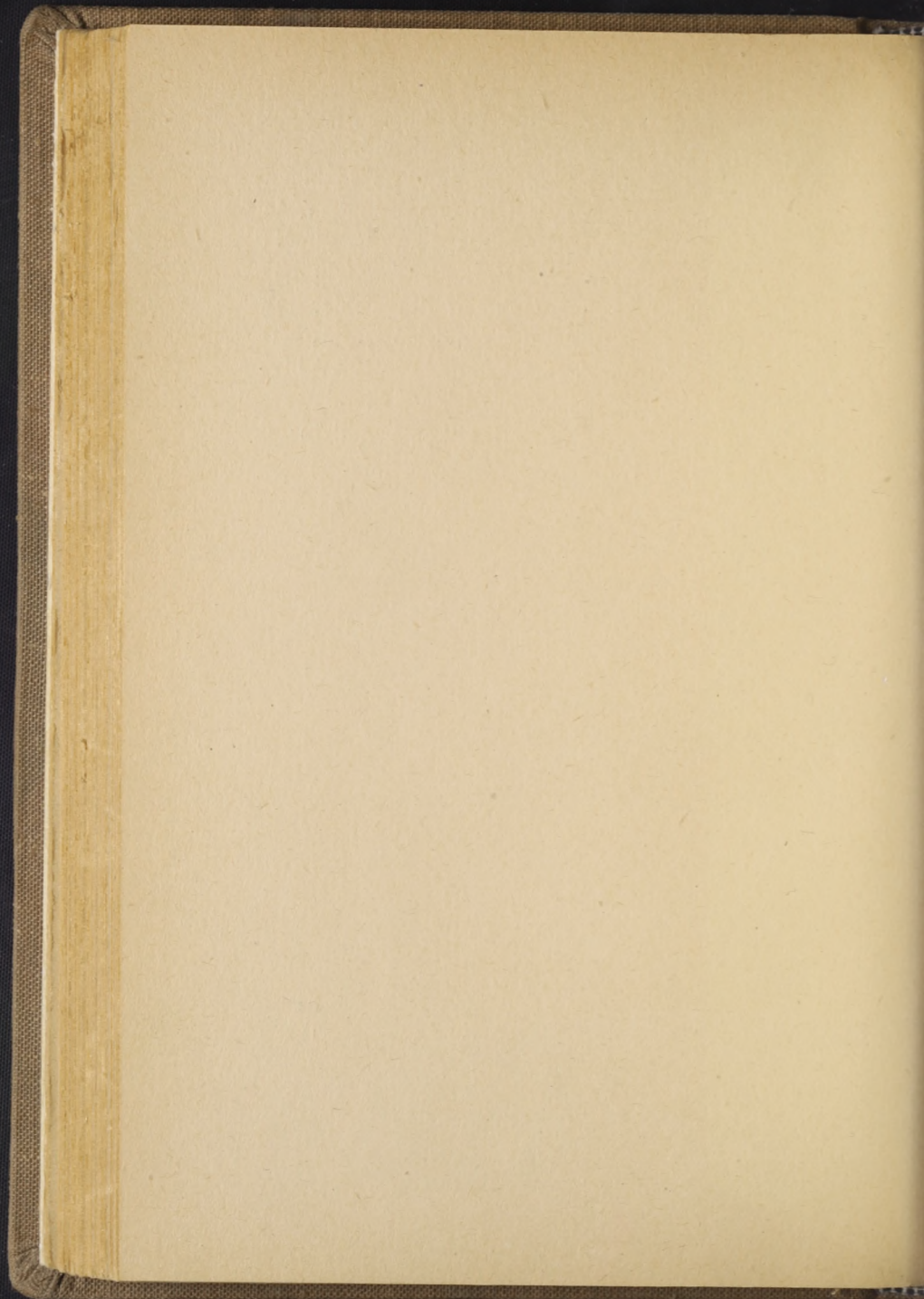
Nazajutrz, kiedy podeszłem do okna, zobaczyłem inny świat. Jasny, pogodny pejzaż z silnymi konturami w bezbrzeżnym słonecznym blasku, a wysoko ponad nim jaśniejące zwierciadło ciszy, sklepienie horyzontu, niebieskie i dalekie. Jasno, dokładnie pociągnięte były granice, bezmiernie daleko i wysoko rysowało się niebo, które wczoraj ryło się głęboko w pola i użyźniało je. Teraz jednak

było odległe, nigdzie nie dotykało się już tej pachnącej, uspokojonej, nakarmionej ziemi — swojej wczorajszej oblubienicy. Niebieska przepaść jaśniała chłodno między nimi, spoglądali na siebie bez pragnień, zimno i obco: Niebo i Ziemia.

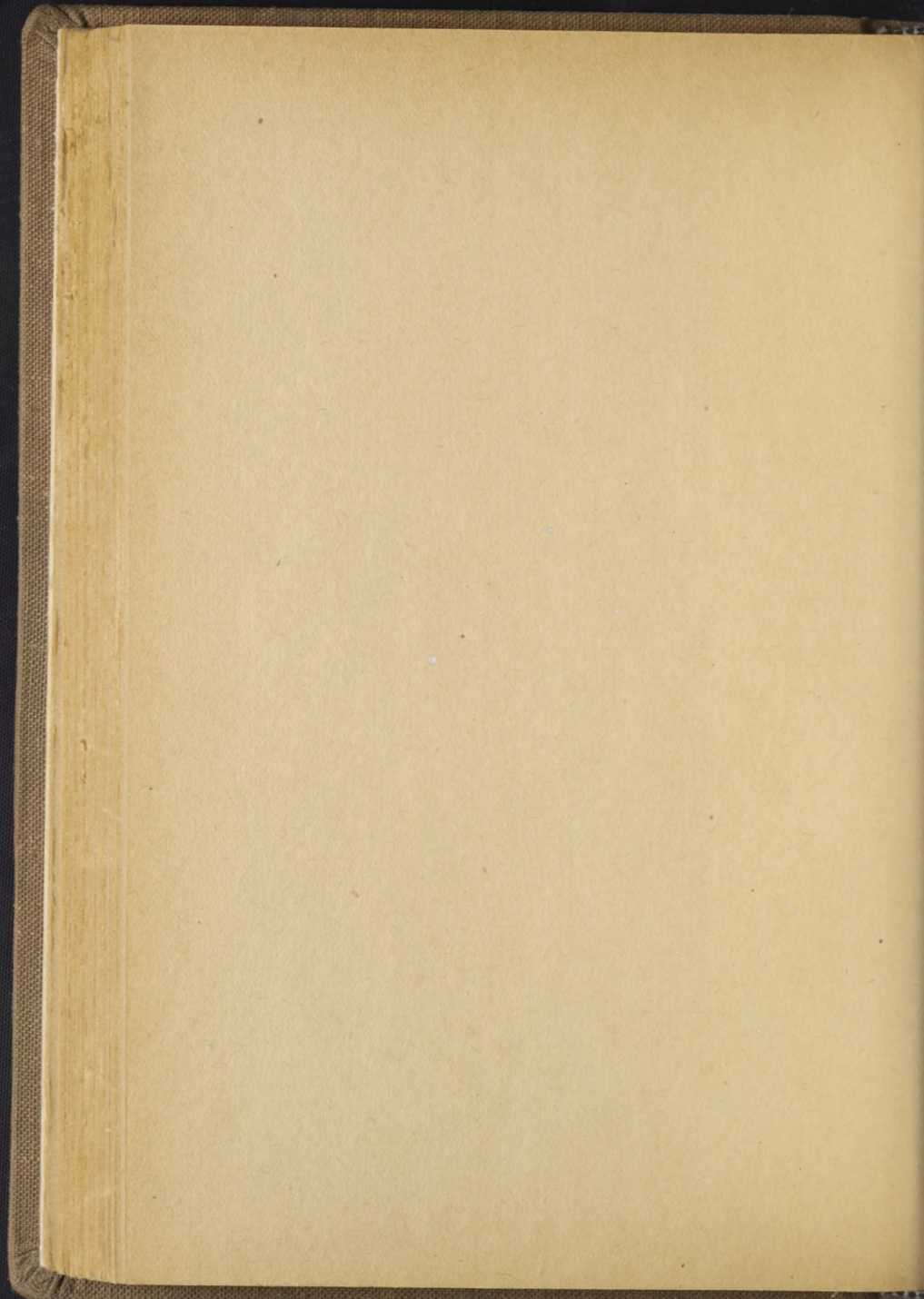
Wszedłem do sali. Byli już wszyscy. Inaczej zachowywali się, niż podczas tych dusznych, upalnych tygodni. Wszystko było ożywione, ruchliwe. Śmiechy brzmiały głośno, głosy melodyjnie, przygnębienie, które pętało, skończyło się, dusząca wstęga, która ich oplotała — prysła. Usiadłem między nimi, bez nieprzyjaznych myśli, albo ciekawości, poszukałem wzrokiem także i tej, której obraz zniknął mi podczas snu; siedziała przy sąsiednim stoliku, między matką a ojcem. Była wesoła, poruszała się swobodnie i słyszałem, jak się śmiała dźwięcznie i niefrasobliwie. Objąłem ją wzrokiem. Nie spostrzegła mnie. Opowiadała o czymś, co ją cieszyło, bo między wyrazami perlił się jej dziecinny śmiech. Wkońcu spojrzała raz także przelotnie w moją stronę i naraz jej śmiech ucichł mimowoli. Popatrzyła na mnie uważniej. Coś ją zastanowiło, brwi podniosły się wysoko, surowo i ciekawie. Stopniowo jej twarz nabierała natężonego wyrazu, tak jakgdyby sobie koniecznie coś chciała przypomnieć i nie mogła. Wpatrywałem się w nią, pełen oczekiwania, czy nie powita mnie jakiś znak wzburzenia, albo zawstydzienia z jej strony. Ale już odwróciła głowę. Po chwili wróciło jej spojrzenie, żeby się upewnić. Jeszcze raz badała moją twarz. Przez sekundę, przez jedną jedyną, długą sekundę, czułem twardą, metalową sondę jej wzro-



ku zapuszczającą się we mnie głęboko, ale potem oczy jej uspokojone odwróciły się odemnie, i po swobodnem, jasnem jej spojrzeniu, po lekkim, prawie wesołem zwróceniu jej głowy poznałem, że nic więcej o mnie już nie wiedziała, że nasza wspólnota rozpadła się wraz z magiczną ciemnością nocy. Obcy i dalecy byliśmy znowu dla siebie, jak niebo i ziemia. Mówiła dalej do rodziców, poruszała swobodnie dziewczymi łokciami i wesoło błyszcząły jej zęby w uśmiechu między wąskimi wargami, z których jeszcze przed kilkoma godzinami piłem pragnienie i duszność całego świata.



FANTASTYCZNA NOC.



Następujące zapiski znaleziono w zapieczętowanej paczce w biurku barona Fryderyka Michała R..., który jesienią 1914 roku padł pod Rawą Ruską, jako porucznik pułku dragonów. Ponieważ rodzina, sądząc z tytułu i pobieżnego przejrzania manuskryptu przypuszczała, że to jakaś literacka praca ich krewnego, oddała te notatki mnie do przejrzenia i ewentualnego ogłoszenia drukiem. Ja osobiście nie sądzę, żeby kartki te zawierały jakąś wymyśloną historję, tylko przeciwnie, opowiadanie prawdziwego we wszystkich drobiazgach zdarzenia, które zaszło w życiu zabitego. Daję do druku tę duchową spuściznę autora, bez żadnych zmian i dodatków, a przemilczam tylko jego rzeczywiste nazwisko.

\*

Dziś rano przyszło mi na myśl, żeby spisać sobie wszystko, co się wydarzyło podczas owej fantastycznej nocy, celem dokładniejszego zrozumienia zdarzeń, następujących po sobie w naturalnym porządku. W tej chwili czuję niedający się wytłómaczyć przymus, żeby opisać tę przygodę, chociaż wątpię, czy potrafię choćby w przybliżeniu przedstawić osobliwość tych wszystkich zająć. Brak mi wszelkich artystycznych zdolności, nie mam wprawy w literackich rzeczach i oprócz kilku humorystycznych prób w Theresianum nie próbowałem

nigdy moich sił na tem polu. Naprzykład nie wiem nawet, czy istnieje jakaś specjalna technika, która uczy, w jakim porządku należy przedstawiać zewnętrzne rzeczy, a jednocześnie ich wewnętrzne odzwierciedlenie: pytam się także siebie, czy potrafię znaleźć dla każdej myśli właściwe słowo lub dla każdego słowa właściwą myśl i uzyskać w ten sposób tę równowagę, którą zawsze odczuwałem u każdego dobrego pisarza. Ale piszę to wszystko tylko dla siebie, a w każdym razie nie w tym celu, by uczynić dla innych zrozumiałem to, czego sam nie umiem sobie wytłómaczyć. Ma to być jedynie próba, żeby w pewnej mierze zakończyć raz to zdarzenie, które boleśnie fermentuje we mnie, postawić je przed sobą i oświetlić ze wszystkich stron.

Nie opowiadałem nikomu o tej historii, z jednej strony czując, że nie potrafię wytłómaczyć, o co mi właściwie chodzi, z drugiej zaś — ze wstydu, że byłem takim przypadkowym zdarzeniem do tego stopnia wstrząśnięty i wzburzony. Bo była to właściwie ot, tylko przygoda. Ale już kiedy to piszę, czuję odrazu, jak bardzo trudno jest niewyćwiczonemu w pisaniu dobrać słowa w ich właściwym znaczeniu; i jaka dwuznaczność i możliwość niezrozumienia łączy się z najprostszym wyrazem. Bo jeśli nazywam to, co przeżyłem „ot tylko przygodą”, to wyobrażam to sobie jedynie w względnym pojęciu tego słowa, w przeciwieństwie do wielkich dramatycznych wydarzeń, które wywierają wpływ na przeznaczenie całych narodów, a z drugiej strony rozumiem to także w znaczeniu czasowem, bo to przeżycie nie trwało dłu-

żej, niż krótkich sześć godzin. Dla mnie jednak było to w ogólnem znaczeniu małe, nic nie znaczące i wcale nieważne zdarzenie tak niesłychanie wielkiem, że jeszcze dziś — w cztery miesiące po owej fantastycznej nocy płonę cały na myśl o tem, i muszę wyteńczyć wszystkie duchowe siły, ażeby to wszystko zrozumieć. Codziennie, co godzinę, powtarzam sobie wszystkie szczegóły, bo ta „mała przygoda” stała się w mojem życiu zwrotnym punktem, nieświadomie oddziaływa na wszystko, co mówię, co robię, moje myśli zajmują się jedynie powtarzaniem tego, co przeżyłem, żeby stwierdzić, że to przeżycie stało się już moją własnością. I naraz rozumiem już to, czego jeszcze nie przeczuwałem świadomie, kiedy przed dziesięciu minutami brałem pióro do ręki, że tylko dlatego opisuję teraz to zdarzenie, żeby je niejako całkiem napewno utrwalić, przeżyć jeszcze raz w myśli i jednocześnie objąć duchowo.

Nieprawdą i fałszem jest to, co przedtem powiedziałem, że chcę raz skńczyć z tem zdarzeniem, opisując je, przeciwnie, chcę to, co zbyt prędko przeżyłem, tylko jeszcze raz mieć przed oczyma, zatrzymać je przy sobie, pełne gorącego oddechu, żeby je móc w każdej chwili przeżyć na nowo. Nie obawiam się już teraz, żebym kiedy choć na chwilę zapomniał to duszne popołudnie, tę fantastyczną noc, nie potrzebuję żadnych drogowskazów, żadnych kamieni milowych, ażeby we wspomnieniach odnaleźć drogę tych kilku godzin, krok za krokiem, nawet z zamkniętymi oczyma. Zawsze, we dnie i w nocy mogę się napowrót znaleźć w tem otocze-

niu i widzę każdy szczegół z tem jasnowidzeniem, jakie daje tylko serce, a nie pamięć. Mógłbym tu, na tym papierze, narysować kontury każdego listka we wiosennie zazielenionym krajobrazie, czuję jeszcze teraz w jesieni, delikatny, dymiący pył kwiecia kasztanów. Jeżeli zatem jeszcze raz te chwile opisuję, to nie dzieje się to z obawy, żeby je zatracić, tylko z radości, że je odnajduję. I jeżeli teraz przedstawię sobie zmiany tej nocy dokładnie tak jak po sobie następowały, będę musiał pannaować nad sobą, bo zawsze, jeżeli tylko pomyślę o szczegółach, rodzaj pijaństwa porywa mnie i muszę pomału, po kolei wywoływać obrazy wspomnień, żeby się nie mieszały w barwnem upojeniu. Jeszcze ciągle przeżywam z ogniem namiętności owe wydarzenia, z dnia 7 czerwca 1913 roku, kiedy w południe wziąłem dorożkę...

Ale czuję, że jeszcze raz muszę się zatrzymać. bo zawsze na nowo przeraża mnie obosieczność i wielostronność każdego wyrazu. Teraz, kiedy po raz pierwszy mam coś opowiadać w związku ze sobą, spostrzegam, jak trudno jest te ślizgające się po sobie zdarzenia, które przecież oznaczają życie, ująć w ścisłą formę. Właśnie napisałem, że „w dniu 7 czerwca 1913 roku wziąłem dorożkę”. Ale już to samo powiedzenie nie jest dość wyraźne, bo kto wziął dorożkę? — Ja. — Już to słowo jest fałszem, bo tym „ja”, którym byłem wtedy, dnia 7 czerwca 1913 roku, nie jestem już dawno, pomimo, że dopiero cztery miesiące upłynęły od tego czasu, pomimo, że mieszkam w mieszkaniu tego dawnego „ja” i piszę jego własną ręką. Jestem zupełnie in-



ny, niż ten ówczesny człowiek i właśnie dlatego patrzę na niego teraz od zewnątrz całkiem obco i zimno i mogę go opisać, jako towarzysza zabaw, kolegę, przyjaciela, o którym wiem wiele istotnych rzeczy, ale którym już nie jestem. Mógłbym o nim mówić, ganić go, albo wydać na niego wyrok, nie czując wogóle, że nim kiedyś sam byłem.

Człowiek, którym byłem wtedy, nie różnił się prawie niczem zewnętrznie i wewnętrznie od większości ludzi, należących do jego sfery, którą u nas w Wiedniu nazywano „dobrem towarzystwem”, bez szczególniejszej dumy, tylko dlatego, że się to samo przez się rozumiało. Zaczynałem trzydziesty szósty rok życia, moi rodzice pomarli młodo i zostawili mi majątek, jeszcze przed ukończeniem mojej pełnoletności, który okazał się dostateczny, żeby raz na zawsze usunąć z mojego życia wszystkie myśli o zarobku i karierze. W ten sposób nieoczekiwanie odjętą mi została troska o przyszłość, o którą się wtedy bardzo niepokoiłem. Skończyłem uniwersyteckie studia i stałem właśnie przed wyborem zawodu; pewno dzięki naszym stosunkom rodzinnym i mojej już wcześniej okazującej się skłonności, pełniłbym dziś służbę państwową; ponieważ majątek moich rodziców przypadł mi, jako jedynemu spadkobiercy i zapewniał mi niezależność bez pracy, w ramach nawet dość daleko idących i luksusowych żądań. Nie byłem nigdy dręczony ambicją, postanowiłem więc najpierw przez parę lat przypatrywać się życiu i czekać, aż mnie samemu przyjdzie ochota znalezienia sobie jakiegoś pola działania. Tymczasem przypatrywałem się życiu

i czekałem, bo wobec tego, że nie miałem żadnych szczególniejszych pragnień, osiągałem wszystko w ciasnem kole moich życzeń; rozkoszny Wiedeń, który, jak żadne inne miasto, kształci ludzi na bezczynnych widzów, chodzących na przechadzkę, ubierających się elegancko i tworzących sobie z tego cel w życiu, i doprowadza to wykształcenie do artystycznego wykończenia, pozwolił mi zapomnieć zupełnie o braniu czynnego udziału w jakiejś; poważnej pracy. Byłem dobrze urodzony, przystojny młody człowiek — więc nieszkodliwe wzruszenia gry, polowania, odświeżanie się w podróżach i wycieczkach, to wszystko stało mi do dyspozycji—to też wkrótce zacząłem prowadzić dalszą budowę tej mojej spokojnej egzystencji z coraz to większą troskliwością i z coraz większym artyzmem. Zbierałem rzadkie szkła, mniej z wrodzonej namiętności, niż raczej tylko z zadowolenia, że w granicach nieuciążliwego zatrudnienia osiągam pewne wydoskonalenie i znawstwo; zdołałem moje mieszkanie włoskimi sztychami barokowemi, szczególnego rodzaju i pejzażami w rodzaju Canaletta, a już samo wyszukiwanie ich u handlarzy starożytności albo kupowanie na licytacjach połączone było z pewnem niebezpiecznym ryzykiem. Niektóre tylko rzeczy robiłem z upodobania, ale zawsze ze smakiem, byłem zawsze tam, gdzie można było słyszeć dobrą muzykę, bywałem też w atelier naszych malarzy. Nie mogłem się uskarżać na brak powodzenia u kobiet, i tu także z tą tajemną żyłką zbieracza, wskazującą niejako na wewnętrzną bezczynność, zebrałem sobie wiele drogich chwil god-

nych wspomnienia, i powoli od prostego użycia doszedłem do wielkiego znawstwa. Przeżywałem wiele zdarzeń, które mi mile zapełniały dzień i pozwalały mi odczuwać bogactwo mojej egzystencji, i coraz więcej zaczynałem lubić tę letnią, miłą atmosferę ożywionej, a jednak niczem nie wstrząśniętej młodości, prawie bez nowych życzeń, bo już drobnostki mogły w cichym powietrzu dni bez troski rozwijać się w radość. Dobrze wybrany krawat sprawiał mi już przyjemność, ładna książka, wycieczka samochodem, albo godzina spędzona z kobietą, czyniły mnie już prawie szczęśliwym. Szczególnie podobało mi się w moim sposobie życia to, że nie wpadał nikomu w oko tak jak zwykle angielskie ubranie. Zdaje mi się, że mnie lubiano i chętnie widziano w towarzystwie i większość tych, którzy mnie znali, nazywali mnie: szczęśliwym człowiekiem.

Nie umiem już teraz powiedzieć, czy ten ówczesny człowiek, którego sobie staram uprzytomnić, odczuwał sam swoje szczęście, bo teraz, kiedy po owym zdarzeniu, wymagam dla każdego uczucia o wiele wyraźniejszego określenia, wydaje mi się każda ocena rzeczy minionych wprost niemożliwa. Ale prawie z pewnością mogę twierdzić, że nie miałem się za nieszczęśliwego, bo ani moje życzenia, ani moje wymagania co do życia nie pozostawały nigdy niespełnione. Ale właśnie to przyzwyczajenie otrzymywania wszystkiego od losu, czego zażądałem, tworzyło stopniowo brak napięcia. To, co się wtedy w niektórych chwilach połowicznego samopoznania tęsknie we mnie odbywało, nie

było właściwie życzeniem, tylko życzeniem życzeń, pragnieniem silnego, niepohamowanego, ambitnego i nienasyconego pożądanego, żeby intensywniej żyć, a może także i cierpieć. Udało mi się wykluczyć wszystkie przeszkody i z tego braku przeszkód osłabła moja żywotność. Spostrzegłem, że pożądam coraz mniej i coraz słabiej, że przyszedł na mnie rodzaj odrętwienia, że — może najlepiej to w ten sposób wyrazić: — byłem chory na duchową impotencję, na niemożność wzięcia w posiadanie życia. Spostrzegłem ten zanik najpierw w drobiazgach. Zastanowiło mnie, że coraz rzadziej bywam w teatrze, albo w towarzystwie na specjalnie zajmujących przedstawieniach lub zebraniach, że zamawiam sobie książki, które mi zachwalano i zostawiam je potem tygodniami na biurku nierozcięte, że wprowadzicie dalej mechanicznie kompletuję moje zbiory, kupuję szklanki i antyki, ale nie ustawiam ich na właściwym miejscu i nie cieszę się zbytnio, jeżeli uda mi się po długim szukaniu nabyć coś niespodzianie.

Naprawdę uświadomiłem sobie to zmniejszenie owego napięcia dopiero przy pewnej sposobności, którą sobie doskonale przypominam. Zostałem wtedy w lecie we Wiedniu, poprostu wskutek niewytłomaczonego lenistwa, kiedy naraz dostałem z pewnego miejsca kapielowego list od kobiety, z którą od lat łączył mnie bardzo bliski stosunek i o której myślałem szczerze, że ją kocham. Wzburzona pisała mi na czternastu kartkach, że poznała tam w ostatnich czasach jakiegoś mężczyznę, który stał się jej wszystkim, że mają zamiar pobrać się w jesie-

ni i że między nami musi być wszystko skończone. Że wspomina czas wspólnie ze mną przeżyty bez wyrzutów sumienia, nawet radośnie, że myśl o mnie będzie jej towarzyszyć w jej nowem życiu, jako naj-milsze wspomnienie przeszłości i że ma nadzieję, że jej przebaczę. Po tych rzeczowych objaśnieniach przepełniony był jej list dalej wzruszającemi zakłęciami, żebym nie miał do niej żalu i nie cierpiał z powodu tej nagłej zmiany, żebym nie próbował jej wiązać, i nie wyrządził sobie nic złego. Coraz goręcej namawiała mnie, żebym poszukał pociechy u kogo innego, kto więcej zasługuje na moją miłość. Prosiła, żebym jej zaraz odpisał, bo jest w wielkiej obawie, jak przyjąłem tę wiadomość. A jako dopisek było jeszcze szybko skreślone ołówkiem:

— Bądź rozsądny, staraj się mnie zrozumieć, przebacz mi!

Czytałem ten list, najpierw bardzo zdziwiony wiadomością w nim zawartą, ale kiedy go przejrzałem jeszcze po raz drugi, teraz już z pewnym wstydem, który, kiedy go sobie uprzytomniłem, prędko zamienił się w wewnętrzne przerażenie. Bo żadne z tych silnych, a jednak naturalnych uczuć, które jak przypuszczała ta kobieta, rozumiały się same przez się — nie odezwało się we mnie. Nie cierpiałem, odczytując tę niespodziewaną wiadomość, nie miałem do niej żalu, a już ani przez jedną sekundę nie myślałem, żeby jej albo sobie uczynić coś złego. I ta oziębłość uczuć była we mnie czemś tak niezwykłym, że mnie samego przestraszyła. Porzuciła mnie kobieta, która była moją towarzyszką od lat,

której gorące ciało dobrze znałem, której oddech w długich nocach gasł w moim oddechu, a we mnie nic się nie poruszyło, nic nie broniło się przeciwko temu, nic nie starało się ją napowrót zdobyć, nic z tego wszystkiego, co zdrowy instynkt tej kobiety uważał za zupełnie naturalne u normalnego, prawdziwego mężczyzny — nic nie odezwało się we mnie. W tej chwili po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jak daleko już we mnie postąpił ów proces odrętwienia — ślizgałem się bowiem przez życie, jak po płynącej zwierciadlanej wodzie, nie zapuszczając nigdzie korzeni, i czułem dobrze, że to zimno miało w sobie coś umarłego, coś trupiego, wprawdzie nieprzenikniętego jeszcze zgniłym oddechem zepsucia, ale że była to już bez ratunku skostniała, nieludzko zimna nieczułość, chwila, która wyprzedza umieranie i zewnętrznie widoczny rozkład.

Począwszy od tego epizodu zacząłem w sobie obserwować to osobliwe odrętwienie uczuć, tak jak chory obserwuje swoją chorobę. Kiedy niedługo potem umarł mój przyjaciel i postępowalem za jego trumną, wsłuchiwałem się w siebie, czy się nie odezwie we mnie jakiś smutek, jakiś żal, że człowiek bliski mi od lat dziecinnych zniknął na zawsze. Ale nic nie czułem, nic, zdawało mi się, że jestem ze szkła, przez które tylko przeświecają przedmioty i chociaż wyszukiwałem sobie racjonalne powody, żeby się zmusić do odczuwania smutku lub radości, jednak moje serce milczało. Ludzie mnie opuszczali, kobiety przychodziły i odchodziły, nie odczuwałem tego inaczej, tylko jak ktoś, kto, siedząc w ciepłym pokoju, odczuwa deszcz, który siecze o szyby.

Między mną a tem czemś bezpośrednio była szklana ściana, której nie miałem siły roztrzaskać wołą.

Pomimo, że jasno orjentowałem się w moim stanie, nie sprawiało mi to niepokoju, bo jak już powiedziałem, przyjmowałem rzeczy, które mnie samego dotyczyły, teraz już także z pewną obojętnością. Nie miałem dosyć siły do cierpienia. Wystarczyło mi, że ten brak na zewnątrz był tak mało widoczny, jak cielesna impotencja mężczyzny, która się dopiero ujawnia w pewnych chwilach, i siliłem się okazywać sztuczną namiętność w podziwianiu i przesadzaniu wzruszenia, żeby w ten sposób ukryć, jak bardzo czułem się wewnątrznie obojętny i obumarły. Na zewnątrz żyłem dalej życiem przyjemnym, niepohamowanym, nie zmieniając moich przyzwyczajzeń; tygodnie, miesiące prześlizgiwały się gładko i wyrastały pomału w lata. Pewnego ranka zobaczyłem w lustrze siwe pasmo włosów na skroniach i czułem, że moja młodość chce się przedostać pomału w inny świat. Ale to, co inni nazywali młodością, u mnie dawno już przeszło. Pożegnanie nie było zbyt bolesne, bo mojej własnej młodości także nie lubiłem.

Wskutek tej wewnętrznej nieruchliwości dni stawały się coraz podobniejsze do siebie, pomimo zmiany zajęć i zdarzeń układały się jedne obok drugich, rosły i żółkły, jak liście drzew. I tak samo, jak inne, rozpoczął się i ów dzień, który chcę sobie jeszcze raz przedstawić. Wstałem wtedy, dnia 7 czerwca 1913 roku, trochę później, niż zwykle, z tem drzemiacem jeszcze we mnie z dziecinnych i ze szkolnych lat uczuciem — „niedzieli”, wziąłem ka-

piel, przeczytałem gazetę, przerzuciłem jakąś książkę, potem zwabiony ciepłym, letnim dniem, który wcisnął się do mego pokoju, wyszedłem się przejść, jak zwykle na corso, na Graben. Witałem się ze znajomymi i z przyjaciółmi, zamieniłem z niektórymi z nich kilka słów, poczem zjadłem obiad u znajomych. Na popołudnie nie chciałem się z nikim wiązać, bo lubiłem mieć w niedzielę kilka niezajętych godzin, któremi mogłem potem rozporządzać, jak mi się podobało, dogadzając fantazji, lub jakiejś chwilowej zachciance. Kiedy potem, wracając od znajomych, przechodziłem przez Ring, odczułem piękność miasta w słońcu i byłem uszczęśliwiony jego letnią krasą. Ludzie zdawali się być wszyscy weseli i niejako rozkochani w ruchu barwnej ulicy, dużo rzeczy wpadało mi w oko, a przedewszystkiem rozkrzewione drzewa w szacie nowej zieloności, jak bukiety odcinające się od asfaltu. Pomimo, że tędy prawie codziennie przechodziłem, niedzielny tłum wydawał mi się dziś, jak cud i zatęskniłem za większą ilością zieloności, światła i kolorów. Przypomniałem sobie z ciekawością Prater, gdzie teraz z końcem wiosny, a z początkiem lata drzewa stoja, jak olbrzymi lokale w zielonej liberji po prawej i po lewej stronie powozów, mijających się z błyskawiczną szybkością w głównej aleji, i nieruchome podają wystrojonym ludziom białe pęki swych kwiatów. Przyzwyczajony by ulegać w tej chwili każdemu zachceniu, zawołałem na pierwszą dorożkę, jaką spotkałem i wskazałem woźnicy, jako cel — Prater.

— Na wyścigi, jaśnie panie, prawda? — zapytał z przesadnym ugrzecznieniem.



Przypomniałem sobie dopiero, że dziś było „derby”, dzień wyścigowy najbardziej „fashionable”, gdzie cały high - life wiedeński dawał sobie rendez-vous. To dziwne, myślałem sobie, wsiadając do dorożki, jakżeby to było możliwe przed kilkoma laty, żebym zapomniał o takim dniu! I znowu, jak chory, który przy poruszeniu czuje swoją ranę, uczułem przez to zapomnienie, jak stężała już obojętność, w którą popadłem.

Kiedy wjechaliśmy w główną aleję Prateru, była już dosyć pusta: wyścigi już się musiały dawno rozpocząć, bo brak już było wspaniałych pojazdów, tylko jeszcze kilka dorożek spieszyło się z trzaskiem podków końskich, by naprawić opóźnienie. Woźnica obrócił się na koźle i zapytał, czy ma jechać prędzej, ale powiedziałem mu, żeby dał koniom iść wolno, bo mi nic nie zależało na tem, czy przyjadę na czas. Za dużo wyścigów już widziałem i za dużo ludzi na wyścigach, ażeby mi miało zależeć na tem, czy się spóźnię, czy nie. Wolałem się miękko kołysać w powozie i wchłaniać w siebie słodkie, niebieskie, szumiące powietrze, jak na pokładzie okrętu i patrzeć spokojnie na piękne, szeroko rozkrzewione drzewa kasztanowe, które czasem podawały ciepłemu wiatrowi kilka płatków swego kwiecica do zabawy, a on je lekko podnosił i obracał niemi w powietrzu, zanim pozwolił im upaść w aleję. Miło było dawać się tak kołysać, i z zamkniętymi oczyma przeczuwać wiosnę, bez natężenia odczuwać siebie, jakby niosły mnie skrzydła; właściwie było mi żal, kiedy się dorożka zatrzymała u wjazdu do Freudenau. Najchętniej byłbym wrócił i dawał się dalej

kołysać w miękkim, ciepłym, wiosennym powietrzu. Ale już było za późno, dorożka zatrzymała się przed placem wyścigowym. Głuchy szum i brzmienie tysięcy odgłosów powitało mnie. Z za wysokich stopni trybun szedł huk, jak od morza, a nie widząc poruszających się tłumów, które wydawały ten zduszony szum, przypomniałem sobie Ostendę, kiedy się z niżej położonego miasta wychodzi małemi, bocznymi uliczkami na plażę i czuje się wiatr, słony i ostry, i słyszy głuchy huk, zanim wzrok rozleje się na tę szeroką, szarą, pieniającą się płaszczynę z grzmiącymi falami. Właśnie musiał się odbywać wyścig, ale pomiędzy mną a murawą, po której teraz galopowały konie, stała barwna, hucząca chmura, szarpana jakby wewnętrzną burzą to w jedną, to w drugą stronę: nieprzejrzana ilość widzów i graczy. Nie mogłem widzieć toru, czułem jednak, że start już się musiał odbyć, grupa jeźdźców musiała się już rozwinąć i kilku wspólnie dobijało się o pierwszeństwo, bo już zrywały się wzburzone głosy i wołania z tłumu tych ludzi, którzy przeżywali ten dla mnie niewidoczny bieg. Po kierunku ich głów odczuwałem zakręt, do którego konie i jeźdźcy musieli przybyć teraz na podłużnym owalu murawy, bo coraz jednoliciej, coraz bardziej skupiając się cisnął się ów tłum chaotyczny i podniecony, jakby jedna szyja ludzka w stronę niewidocznego celu. I z tej jednej wytężonej szyji ryczał i grzmiał tysiącami głosami coraz wyżej podchodzący przypływ. I przypływ ów podnosił się i wzbierał, już wypełniał cały plac aż po obojętnie niebieskie niebo. Przypatrywałem się kilku twarzom. Były wykrzywione jakby

przód, nozdrza wydęte, jak u konia. Doznawałem wewnętrznym skurczem, oczy miały nieruchome i błyszczące, usta zagryzione, brodę podaną nadziwnego wrażenia, patrząc na tych podnieconych ludzi. Obok mnie stał na krześle jakiś pan, elegancko ubrany, o twarzy zresztą zapewne poczciwej, teraz jednak opętanej jakimś szałem, wywijał laską w powietrzu, jakby coś poganiał, jego całe ciało — niewymownie śmieszny widok dla patrzącego! — wykonywało ruch postępującego szybko naprzód, stojąc na krześle kołysał się nieustannie na piętach, jak w strzemionach w dół i w górę, prawą ręką popędzał ciągle laską, jak prętem w próżni, a w lewej miętosił kurczowo jakąś białą karteczkę. I coraz więcej tych białych karteczek latało w powietrzu, szumiały jakby bryzgając pianą ponad tym szaro burzącym się wylewem, który wzbierał i grzmiał. Teraz musiało być kilka koni tuż obok siebie na zakręcie, bo naraz zgiełk skryształizował się tylko w dwa, trzy, cztery nazwiska, ciągle powtarzane przez poszczególną grupę ludzi, jak okrzyki wojenne, a te okrzyki zdawały się wentylem dla ich obłąkania.

Stałem pośród tego grzmiącego, huczącego morza, zimny, jak skała i mogę jeszcze dziś powiedzieć dokładnie, co odczuwałem w tej chwili. Najpierw śmieszność tych wszystkich karykaturalnych gestów, ironiczną pogardę dla prostackiego wybuchu, ale także jeszcze coś innego, do czego się tylko cicho przyznawałem przed sobą: — jakąś niewyraźną zażdość takiego podniecenia, takiej siły namiętności, życia, które było w tym fanatyzmie. Coby się musiało stać, myślałem sobie, żeby mnie opanowało ta-

kie wzburzenie, taka gorączka, żeby moje ciało tak się paliło, a głos wydierał mi się z gardła? Nie mogłem sobie wyobrazić żadnej sumy pieniędzy, która byłaby w stanie mnie rozgrzać do tego stopnia żadnej kobiety, któraby mnie w ten sposób potrafiła podniecić. Nie, nic nie było takiego, co by we mnie odrętwiałym taki ogień rozpaścić mogło. Przed skierowaną ku mnie lufą pistoletu moje serce nie biłoby na sekundę przed śmiercią tak dziko, jak serca tego tysiąca, dziesięciu tysięcy ludzi naokoło mnie — dla garści pieniędzy. Teraz jeden koń musiał być już blisko mety, bo ze zgiełku tysiąca głosów brzmiało, jak wysoko napięta struna, już tylko jedno imię — a potem nagle krzyk ten ustał. Muzyka zaczęła grać, tłum się załamał. Bieg był skończony, walka była rozstrzygnięta, napięcie rozeszło się w zmaczone, już tylko słabo falujące poruszenie. Tłum, przed chwilą jeszcze rozpalony namiętnością gry, rozpadł się setki pojedynczych, biegających, śmiejących się, rozmawiających ludzi, znowu wynurzyły się spokojne twarze z poza maski podniecenia; z chaosu gry, która na sekundę stopiła tysiące ludzi w jedną żarzącą się bryłę, tworzyły się znowu towarzyskie grupy, które łączyły się, rozwiązywały, ludzie, których znałem i którzy witali się ze mną, obcy, którzy się sobie wzajemnie chłodno i grzecznie przypatrywali. Kobiety oglądały nawzajem swoje nowe toalety, mężczyźni rzucali pożądlive spojrzenia, zaczynała znów działać światowa ciekawość, która jest właściwem zatrudnieniem ludzi bez zajęcia, szukano, rachowano, kontrolowano się wzajemnie: kto jest obecny, jak kto jest ubrany? Ci

wszyscy ludzie, zaledwie zbudzeni z upojenia, nie wiedzieli już, co było celem ich towarzyskiej łączności? Przechodziłem wśród tego niezajmującego tłumu, kłaniałem się, witałem i oddychałem z przyjemnością — bo to przecież była atmosfera mojej egzystencji — zapach perfum i elegancji, który unosił się nad tem kalejdoskopijnem zamieszaniem, i jeszcze radośniej wchłaniałem w płuca lekki wietrzyk, który przychodził z gajów Prateru, z letniego rozgrzanego lasu i rzucał pachnącą falę między ludzi, jakby bawił się rozkosznie, dotykając białych muślinów kobiet. Kilku znajomych chciało ze mną mówić. Djana, piękna aktorka, uśmiechała się zapraszająco do mnie z łoży, ale nie miałem ochoty pójść nigdzie. Nie zajmowała mnie wcale rozmowa z tymi wiatowymi ludźmi, a już nudziło mnie poprostu oglądanie w nich samego siebie, jak w zwierciadle. Chciałem tylko ogarnąć wzrokiem całe widowisko, to zmysłowe podniecenie, które się wzmagało z każdą godziną (bo podniecenie innych jest najprzyjemniejszym widowiskiem dla obojętnego widza). Kilka pięknych kobiet przechodziło koło mnie, patrzyłem arogancko, ale bez istotnego pożądanego na ich piersi, które drżały przy każdym kroku pod cienką gazą, uśmiechałem się w duchu z ich na pół-przykrego, na pół-miłego zakłopotania, kiedy się czuły przezemnie tak zmysłowo szacowane i bezczelnie rozbierane. W rzeczywistości nie nęciła mnie żadna, ale sprawiało mi pewną satysfakcję udawać przed nimi pożądanego. Igraszki z uczuciem, z ich uczuciem, robiły mi przyjemność, czułem rozkosz, dotykając w myślach ich ciała, czułem magnetyczne

drżenie w oczach, bo jak każdy wewnętrznie zimny człowiek czułem specjalną erotyczną rozkosz, wzbudzając gorączkę i niepokój w innych. Lubiłem odczuwać ten ciepły puch jakim bliskość kobiety działa na zmysły, rozjarzenie, podniecie, ale nie wzruszenie. W takim usposobieniu byłem także i dziś. Odbierałem spojrzenia i oddawałem je lekko, jak piłki, używałem, nie biorąc, dotykałem kobiet, nic nie odczuwając, lekko tylko rozgrzany rozkoszą gry.

Ale i to mnie wkrótce znudziło. Wciąż przechodzili ci sami ludzie, znałem już na pamięć ich twarze i ich gesty. Opodal stało krzesło. Usiadłem na niem. W grupach naokoło budził się znowu nowy ruch, niespokojnie tłoczyli się i potracali przechodzący, widocznie nowy bieg miał się rozpocząć. Mnie to nic nie obchodziło, siedziałem wygodnie, niejako ukryty w kłębach dymu, unoszącego się z mojego papierosa; biały i kędzierzawy podnosił się w górę, gdzie stawał się coraz jaśniejszy i jako mały obłoczek znikał w wiosenno-niebieskiem niebie.

W tej chwili rozpoczęło się to niesłychane, to jedyne zdarzenie, które jeszcze dzisiaj decyduje o moim życiu. Mogę dokładnie oznaczyć godzinę, bo właśnie popatrzyłem na zegarek, na którym wskazówki krzyżowały się, przypatrywałem się im z tą ciekawością, charakterystyczną dla ludzi bez zajęcia, jak przez czas jednej sekundy zakrywały jedna drugą. Było trzy minuty po kwadransie na trzecią owego popołudnia 7 czerwca 1913 roku. Patrzyłem zatem z papierosem w palcach na białą tarczę zegarka, zajęty zupełnie tą dzieciinną zabawą, kiedy

usłyszałem tuż poza moimi plecami głośny śmiech jakiejś kobiety, ów ostry, podniecony śmiech, pełen ciepłej zmysłowości. Mimowoli odwróciłem głowę i już chciałem spojrzeć się na tę kobietę, ale zapanowałem nad sobą. Zatrzymała mnie dziwna rozkosz, jakiej często doznawałem podczas zabawy, albo podczas nieszkodliwego, psychologicznego eksperymentu. Nie chciałem jeszcze zobaczyć owej śmiejącej się kobiety, nęcił mnie przedsmak rozkoszy, chciałem zajmować się nią w fantazji, wyobrazać sobie, jak wygląda jej twarz, jej usta, jej szyja, jej kark, jej piersi, i wywołać w myśli obraz żywej, oddychającej kobiety. Stała teraz widocznie tuż poza mną. Ze śmiechu wywiązała się rozmowa. Słuchałem z ciekawością. Mówiła z lekkim węgierskim akcentem, bardzo szybko i ruchliwie, szeroko wymawiając samogłoski, jak w śpiewie. Bawiło mnie, żeby stworzyć w wyobraźni postać do tej rozmowy i możliwie najbujniej wyposażyć ten obraz mojej fantazji. Dałem jej ciemne włosy, ciemne oczy, duże zmysłowe usta z białymi silnymi zębami, mały wąski nosek, ale o drgających nozdrzach. Na lewy policzek położyłem jej małą, czarną muszkę, do ręki dałem jej szpicrutę, którą uderzała się po nogach, śmiejąc się lekko. Mówiła, a każde jej słowo dodawało nowy szczegół do jej obrazu, tworzącego się z błyskawiczną szybkością w mojej wyobraźni: szczupła dziewczęca pierś, ciemno zielona suknia z ukośnie przypiętą brylantową klamrą, jasny kapelus z białą kitą. Coraz wyraźniejszy stawał się jej portret, i już widziałem tę kobietę, która stała poza moimi plecami. Ale nie chciałem się obrócić,

chciałem tę grę fantazji jeszcze przedłużyć, jakiś lekki dreszcz rozkoszy towarzyszył tym śmiałym marzeniom, zamknąłem oczy, pewien, że kiedy podniosę powieki i zwrócę się do niej, zewnętrzny obraz odpowie w zupełności wewnętrznemu.

W tej chwili postąpiła o krok. Mimowoli otworzyłem oczy i zirytowałem się. Nie zgadłem — wszystko było inne, sprzeciwiające się w złośliwy sposób obrazowi mojej fantazji. Nie miała zielonej sukni, tylko białą, nie była wcale szczupłą, tylko pełna i szeroka w biodrach, na różowej twarzy nie rysowała się nigdzie muszka wymarzona przeze mnie, a zamiast czarnych włosów błyszcząły czerwono-złote z pod jasnego kapelusza. Żadne z moich przypuszczeń nie zgadzało się z jej obrazem, ale kobieta ta była piękna, wyzywająco piękna, pomimo, że zrażony w głupiej ambicji i psychologicznej próżności broniłem się przed uznaniem tej urody. Ale i ów opór we mnie odczuwał silny zmysłowy urok, który był w tej kobiecie, sex - appel wabił w jej silnej, a jednocześnie miękkiej kobiecości. Śmiała się znowu głośno, widać było jej białe silne zęby i musiałem przyznać, że ten gorący zmysłowy śmiech zgadzał się przedziwnie z wybujałością jej istoty; wszystko w niej było takie wyzywające: wysoko sklepione piersi, naprzód podana broda, ostre spojrzenie, śmiało zarysowany nos, ręka, która silnie opierała się na parasolce. Tu był ów kobiecy żywioł, owa pierwotna siła, owa przenikliwa pokusa, ucieleśniona pochodnia namiętności. Obok niej stał elegancki, trochę już podstarzały porucznik i mówił coś do niej. Słuchała go, uśmiechała się, śmiała się,



sprzeciwiała mi się, ale wszystko tylko mimochodem, bo jednocześnie drżały jej nozdrza i ślizgał się jej wzrok po wszystkich, dla wszystkich; ściągała na siebie uwagę, uśmiech, spojrzenie każdego, kto przechodził, całego tłumu mężczyzn wokoło. Jej spojrzenie ciągle wędrowało, to przeszukiwało trybuny, ażeby potem naraz przesłać ukłon, z radością kogoś poznając, to spoglądało w prawo, to w lewo; ona zaś, uśmiechnięta, słuchała ciągle tego, co do niej mówił ów porucznik. Tylko mnie nie widziała, gdyż zasłonięty przez jej towarzysza stałem w miejscu, gdzie mnie jej wzrok nie mógł dosięgnąć. To mnie irytowało. Wstałem — nie widziała mnie. Zbliżyłem się — teraz spojrzała znowu w górę na trybuny. Wtedy, zdecydowany na wszystko przystąpiłem do niej, uchyliłem kapelusza przed jej towarzyszem i ofiarowałem jej moje krzesło. Popatrzyła na mnie zdziwiona, uśmiech odbił się w jej oczach i rozchylił jej wargi. Ale podziękowała tylko krótko i przyjęła krzesło, nie siadając. Oparła tylko miękko na oparciu swe pulchne ramię, obnażone aż do łokcia, przegięta, żeby lepiej uwydatnić kształty swego ciała. Nęciła mnie. Cofnąłem się aż do trybuny, skąd mogłem patrzeć na nią swobodnie i niepostrzeżenie, oparłem się na lasce i oczyma poszukałem jej oczu. Spostrzegła to, obróciła się zlekka w moją stronę, ale tak, że ten ruch zdawał się być zupełnie przypadkowym, nie broniła mi patrzeć. Odpowiedziała mi spojrzeniem, nie zobowiązując się do niczego. Bezustanku krążył jej wzrok wokoło, wszystkiego dotykał, niczego nie chwycił — czy byłem tylko jedynym, któremu przy

spotkaniu posyłała swój promienny uśmiech, czy też otrzymywał go od niej każdy? Tego nie mogłem się dowiedzieć i właśnie ta niepewność podniecała mnie. W chwilach, kiedy jej wzrok opromieniał mnie, jak rozpryskująca się rakietą, zdawał się być pełen obietnic, ale oczy jej odpowiadały bez wyбору na każde inne spojrzenie, cieszyła ją ta gra kokieterji, przytem jednak nie zaniedbywała rozmowy ze swym towarzyszem, pozornie nią zajęta. Coś bezczelnego było w tych namiętnych błyskach jej oczu: mistrzostwo kokieterji czy namiętności. Przystąpiłem o krok bliżej, zaraziłem się jej zimną bezczelnością, nie patrzyłem jej dłużej w oczy, tylko zacząłem wzrokiem dotykać jej ciała, rozerwałem spojrzeniem jej suknie, widziałem ją naga. Szła za moim wzrokiem, nie obrażając się, uśmiechała się kącikami ust do porucznika, ale widziałem, że ten uśmiech zrozumienia nie potępiał moich zamiarów. A kiedy spoglądałem na jej nogę, małą i drobną, wystającą z pod sukni, spojrzała po sobie z góry na dół, niedbale i badawczo. W następnej chwili podniosła jakby przypadkiem nogę i postawiła ją na szczelbu ofiarowanego krzesła, tak że zobaczyłem przez ażurową falbanę pończochę aż do nasady kolana, jednocześnie jednakże jej uśmiech do towarzysza stawał się, jak mi się zdawało, czy to ironiczny, czy złośliwy. Widocznie bawiła się mną tak samo bez udziału uczucia, jak ja bawiłem się nią, i choć pełen nienawiści, musiałem podziwiać wyrafinowaną technikę jej zuchwalstwa, bo kiedy z fałszywą tajemniczością poddawała mi zmysłowość swojego ciała, jednocześnie słuchała z pozornem za-

interesowaniem swojego towarzysza, dawała i brała jednocześnie, choć wszyskciem tem tylko się bawiła. Właściwie byłem rozgoryczony, bo nienawidziłem właśnie takiej zimnej, złośliwie wyrachowanej zmysłowości, ponieważ czułem, jak rodzaj ten pozostaje w kazirodczo bliskim pokrewieństwie z moją własną, świadomą obojętnością. Ale w każdym razie byłem podniecony, może więcej wskutek nienawiści, niż wskutek pożądania: — Chcę ciebie, ty piękne zwierzę — mówiły jej moje nietajone ruchy, i mimowoli musiały się moje usta poruszyć, bo uśmiechnęła się z lekką pogardą, odwróciła głowę odemnie i zakryła suknią odkrytą nogę. Ale w następnej chwili powędrowały znowu jej błyszczące, ciemne źrenice tam i napowrót. Widać, że była tak samo zimna jak ja i dorównywała mi zupełnie, obydwójce bawiliśmy się na zimno, jedno gorączką drugiego, ale przyjemnie było tak podczas dusznego popołudnia patrzeć na tę grę.

Naraz naprężenie w jej twarzy zgasło, ów błysk w oczach przestał się tlić, a drobna zmarszczka gniewu skurczyła jej przed chwilą jeszcze śmiejące się usta. Popatrzyłem w tym samym kierunku, co ona: niski, gruby pan, w przydługim ubraniu kierował się wprost ku niej. Twarz i czoło, które nerwowo ocierał chustką, miał wilgotne ze wzburzenia, kapelusz w pośpiechu krzywo wsadzony na głowę pozwalał widzieć z boku dużą łysinę, (miałem wrażenie, że jeżeliby zdjął kapelusz, musiałby odsłonić duże krople potu na czaszce i odrazu poczułem wstręt do niego). W palcach, na których błyszczały pierścionki, trzymał mnóstwo karteczek.

Parskał poprostu z podniecenia i mówił, nie zważając na żonę, do towarzyszącego jej oficera. Poznałem w nim odrazu fanatyka sportu, jakiegoś handlarza koni, lepszej kategorii, dla którego gra na wyścigach była jedyną emocją w życiu. Jego żona musiała mu zrobić jakąś uwagę, (przeszkadzała jej swoją obecnością) bo poprawił sobie kapelusz, widocznie na jej rozkaz, uśmiechnął się do niej jowialnie i poklepał ją z dobroduszną czułością po ramieniu. Wściekła, podniosła wysoko brwi, zrażona tą małżeńską poufałością, która była jej przykra w obecności oficera, a może jeszcze bardziej — w mojej obecności. Widocznie usprawiedliwił się, powiedział parę słów po węgiersku do oficera, na co ten odpowiedział, uśmiechając się uprzejmie, ale potem wziął żonę pod ramię, czule, choć z pewną uniżonością. Czulem, że ona wstydzi się tej poufałości wobec nas i cieszyłem się z jej poniżenia z uczuciem ironji, zmieszanej ze wstrętem. Ale w tej chwili zapanowała nad sobą, przytuliła się miękko do jego ramienia i rzuciła szydlerce spojrzenie w moją stronę, które mówiło:

— Widzisz, do niego należę, nie do ciebie!

Czulem niesmak i byłem wściekły. Właśnie chciałem się od niej odwrócić i odejść, żeby jej pokazać, że żona takiego ordynarnego grubasa nie interesuje mnie wcale. Ale urok jej był jednak silniejszy. Zostałem.

Przenikliwie zadźwięczał w tej chwili sygnał na rozpoczęcie nowego biegu. Tłum jakby się przeobraził, popłynął znowu ze wszystkich stron do barjery. Musiałem zużyć trochę siły woli, żeby się nie dać

porwać wraz z innymi, bo chciałem właśnie w tem zamięszaniu pozostać w pobliżu niej, z myślą, że może się nadarzy sposobność jakiegoś zdecydowanego spojrzenia, dotknięcia, lub jakiejś mimowolnej beczelności, pchałem się wciąż wytrwale za nią pomiędzy wszystkimi spieszącymi się ludźmi. W tej samej chwili przepychał się jej małżonek właśnie na drugą stronę, chcąc zdobyć jakieś dobre miejsce na trybunie i naraz zderzyliśmy się z taką siłą, że jego słabo trzymający się kapelusz spadł mu z głowy, a karteczki rozsypały się szerokim łukiem i jak motyle — czerwone, niebieskie, żółte, białe — rozleciały się po ziemi. Przez chwilę patrzył na mnie osłupiały.

W pierwszej chwili chciałem się wytłómaczyć, ale jakaś zła wola zamykała mi usta, patrzył na mnie: popatrzyłem na niego zimno z obrażającą prowokacją. Jego wzrok zatrzymał się na mnie przez sekundę niepewnie, pełen bojaźni i wściekłości, lecz załamał się tchórzliwie pod moim wzrokiem.

Z niedającą się opisać trwogą popatrzył mi przez chwilę w oczy, potem odwrócił się, ale musiał sobie widocznie przypomnieć o karteczkach, by schylił się, żeby je pozbierać i podnieść wraz z kapeluszem. Żona jego usunęła się z pod jego ramienia i z nietajoną złością, cała czerwona ze wzburzenia spojrzała na mnie; widziałem nie bez satysfakcji, że byłaby mnie najchętniej zbiła. Ale nie ruszałem się z miejsca, zimny i obojętny patrzyłem z uśmiechem, jak jej tęgi małżonek zginał się zdyszany i pełzał u moich nóg, żeby pozbierać karteczki, lecz nie starałem się mu dopomóc. Przy schyleniu się kołnierz odstawał mu, jak pióra podskuba-

nej gęsi, dyszał astmatycznie przy każdym poruszeniu, a wzdłuż czerwonego karku wystąpił mu gruby fałd tłuszczu. Gdym go zobaczył takim zadyszczanym, przyszła mi nieprzyzwoita i nieapetyczna myśl do głowy... wystawiłem go sobie w czułem małżeńskiej tête - à tête, i rozzuchwalony tym obrazem, uśmiechnąłem się wprost w twarz jego żony, która już przestawała panować nad swoim gniewem. Stała teraz blada z pasji — nareszcie wydarłem z niej jedno rzeczywiste, prawdziwe uczucie: nienawiść, niepohamowaną złość. I byłbym najchętniej przedłużył tę scenę w nieskończoność, z zimną rozkoszą patrząc, jak on się męczył, żeby pozbierać swoje karteczki. W gardle siedział mi jakiś krotochwilny djablik, który chciał mnie zmusić do chichotu — miałem ochotę połaskotać laską tę miękka, pełzającą masę ciała... byłem jak opętany złościwością, tryumfujący z poniżenia tej zuchwale bawiącej się kobiety. Ale nieszczęśliwy pozbierał wreszcie wszystkie karteczki, jedna tylko, niebieska, pofrunęła trochę dalej i leżała teraz tuż przy mnie na ziemi. Dysząc ciężko, tłusciuch odwrócił się i szukał krótkowzrocznymi oczyma — szkła siedziały mu na samym końcu spoconego nosa — tę chwilę wykorzystałem, żeby przedłużyć jego śmieszne usiłowania i wiedziony jakąś uczniowską swawolą, posunąłem szybko nogę naprzód i postawiłem ją na owej niebieskiej karteczce, tak że przy najlepszych chęciach nie mógł jej znaleźć, dopóki mi się to spodoba. A on szukał i szukał bezustannie, i zasapany rachował na nowo kolorowe tekturki i nie mógł się dorachować; oczywiście, że jednej — przyciśniętej moją nogą —

brakło mu; już chciał znowu rozpocząć szukanie, kiedy jego żona, która z zaciętym wyrazem twarzy unikała mego ironicznego spojrzenia, nie mogła dłużej pohamować swej niecierpliwości:

— Lajos! — zawołała na niego gwałtownie, a on podskoczył, jak koń, który usłyszał głos trąbki bojowej.

Popatrzył jeszcze raz na ziemię — miałem uczucie, że mnie łaskocze ukryty pod podeszwą bilet, zaledwie mogłem stłumić śmiech — a on tymczasem odwrócił się i posłusznie poszedł za nią. Pociągnęła go za sobą z pewnym ostentacyjnym pospiechem oddaliła się odemnie zginęła w tłumie.

Pozostałem w tyle, bez najmniejszej ochoty towarzyszenia im. Epizod ten był dla mnie skończony.

Przedemną znowu cisnęli się ludzie, podniecenie znowu się wzmagало i potężna fala ludzka tłoczyła się do barjery, ale ja zupełnie nie patrzyłem w tę stronę, nudziło mnie już to wszystko. I myślałem o tem, żeby pojechać do Kriau, albo wrócić do miasta. Ale zaledwie podniosłem nogę, żeby zrobić pierwszy krok, zobaczyłem niebieski bilecik, który leżał zapomniany na ziemi. Podniosłem go i trzymałem lekko w palcach, nie wiedząc, co mam z nim począć. Wpadło mi na myśl, żeby ją oddać „Lajosowi”, coby mogło odrazu posłużyć jako pretekst do zapoznania się z jego żoną, ale zorientowałem się, że ona mnie już zupełnie nie interesuje, że ta przelotna gorączka, którą odczułem jeszcze przed chwilą, oziębla już dawno w mojej zwykłej obojętności.

Nie żądałem od żony „Lojasa” niczego, oprócz jej

spojrzenia — grubas ten był mi zanadto wstrętny, bym miał ochotę z nim się dzielić jego fizyczną własnością, — doznałem przez chwilę tylko pewnego dreszczyka, a teraz czułem już mdłą ciekawość i miłe odprężenie.

Za mną stało moje dawne krzesło, teraz puste, Usiadłem wygodnie i zapaliłem papierosa. Patrzyłem, jak dym ulatuje i myślałem o promenadzie w Meranie, gdzie siedziałem przed dwoma miesiącami i patrzyłem na rozpryskujący się wodospad. Miałem tam całkiem to samo uczucie, co tu. Taki sam potężny, wzrastający szum, który nie ogrzewał i nie ziębił, takie samo bezmyślne brzmienie w milczącym krajobrazie. Ale teraz namiętność gry dosięgła zenitu, znowu unosiła się piana kapeluszy, parasolek, okrzyków, chusteczek ponad czarnym przyływem ludzi, znowu mieszały się głosy, znowu drgał okrzyk z olbrzymiej paszczy tłumu — ale inaczej zabarwiony. — Słyszałem jedno nazwisko tysiąc, dziesięć tysięcy razy, wykrzykiwane tryumfalnie, przenikliwie, z ekstazą, z rozpaczą:

— Cressy! Cressy! Cressy!

I znowu urwały się te okrzyki, jak za wysoko napięta struna (jak przez powtarzanie nawet namiętność staje się nudna!) Muzyka zaczęła grać, tłum się przerzedził. Wystawiano tablice z numerami koni, które zwyciężyły. Mimowoli spojrzałem na nie. Na pierwszym miejscu błyszczała siódemka. Spojrzałem na niebieską karteczkę, o której zapomniałem, że ją trzymam w palcach.

I tu także siódemka. Roześmiałem się. Kartka



wygrała. Lajos postawił na dobrego konia. A więc moja złośliwość pozbawiła nawet pieniędzy małżonka pięknej pani; odrazu wrócił mi dobry humor, zajmowała mnie tylko myśl, na jaką szkodę naraził go mój flirt z jego żoną. Obejrzałem dokładnie niebieską tekturową karteczkę: był to bilet „Zwycięstwo” na dwadzieścia koron, Lajos postawił 1:1 „Zwycięstwo”. Mogła z tego być pokaźna sumka. Nie myśląc dłużej, szedłem, podrażniony ciekawością i dałem się popychać przez spieszące się tłumy aż do kas. Zostałem wtłoczony w jakiś „ogonek”, podałem kartkę, a czyjeś dwie kościste ręce podsunęły mi na marmurowej płycie dwadzieścia sztuk papierowych dwudziestokoronówek.

W tej chwili, kiedy mi podano pieniądze, prawdziwe pieniądze, dziewięć niebieskich papierków — śmiech uwiązał mi w gardle. Doznałem nieprzyjemnego uczucia. Mimowoli usunęłem się, żeby nie dotknąć tych obcych pieniędzy. Najchętniej byłbym zostawił je na marmurowej płycie, ale za mną tłoczyli się już ludzie, niecierpliwili się, żeby im wyplacono ich pieniądze. Nie pozostało mi nic innego, jak z niemilem uczuciem, wzdrygającymi się palcami wziąć te papierki, palące, jak niebieskie płomyki pod ręką, którą mimowoli trzymałem od siebie zdaleka, tak jakby ta ręka, która je wzięła, nie należała do mnie. W tej chwili przejrzałem całą fatalność sytuacji. Mimowoli z żartu zrobiło się coś, co nie powinno się było zdarzyć porządnemu człowiekowi, dżetelmanowi, porucznikowi rezerwy — i nie ważyłem się nawet przed sobą samym nazwać to postępowanie właściwym mianem. Bo nie były to

zatajone, ale podstępnie wyłudzone, poprostu *ukradzione* pieniądze. Obok mnie brzęczały i syczały głosy, ludzie tłoczyli się i popychali do kas i od kas. Ja stałem jeszcze ciągle nieruchomy z ręką wyciągniętą zdala od siebie. Co miałem robić? Najpierw myślałem o najnaturalniejszej rzeczy, żeby wyszukać tego, który wygrał naprawdę, wytłómaczyć się i oddać mu pieniądze. Ale to było niemożliwe przede wszystkim w obecności owego porucznika. Ja sam byłem przecież oficerem rezerwy i przez przyznanie się do wszystkiego byłbym mógł stracić moją szarżę, bo gdybym nawet znalazł ten bilet przypadkiem, to już odebranie pieniędzy w kasie nie było „fair”. Myślałem także o tem, żeby pójść za instynktem: zgnieść te papierki i wyrzucić je, ale pośród tego tłumu ludzi było to rzeczą podejrzaną i łatwą do skontrolowania. Nie chciałem ani chwili zatrzymać tych obcych pieniędzy przy sobie, albo włożyć je do pugilaresu. Od dzieciństwa wpojone we mnie uczucie uczciwości wzdrygało się przed każdym, choćby przelotnym dotknięciem tych papierków. Precz, precz z temi pieniędzmi, myślałem gorączkowo, precz, precz gdziekolwiek bądź, precz! Mimowoli obejrzałem się i kiedy tak bezradnie oglądałem się wokoło, czy nie znajdę gdzieś jakiegoś ukrycia, jakiejś nieświadomej możliwości ratunku, uderzyło mnie, że ludzie na nowo tłoczą się do kas, jednak już z pieniędzmi w rękach. I ta myśl była dla mnie wybawieniem. Rzucić napowrót te pieniądze w żarłoczne gardło temu złośliwemu przypadkowi, któremu je zawdzięczałem, który teraz łapczywie połykał stawki srebra i papierów — tak,

to była jedyna możliwość — prawdziwe wybawienie!

Pospieszyłem gorączkowo, biegłem poprostu, wciskałem się między tłoczący się tłum. Już tylko dwóch panów stało przede mną, pierwszy z nich stał koło kasy. Aż tu naraz wpadło mi na myśl, że nie znałem nazwy żadnego konia, na którego bym mógł postawić; chciwie zacząłem słuchać, co ludzie mówią obok mnie.

— Czy stawia pan na Ravachola? — pytał ktoś.

— Naturalnie, na Ravachola — odpowiedział jego towarzysz.

— Czy pan nie myśli, że Teddy ma także szanse?

— Teddy? to wykluczone. Na majowych wyścigach zawiódł zupełnie. To był tylko bluff.

Jak ginący z pragnienia połykałem te słowa. A więc Teddy był do niczego, Teddy napewno nie wygra! W tej chwili postanowiłem postawić na niego. Posunąłem pieniądze, powiedziałem dopiero co usłyszaną nazwę „Teddy”, i jakaś ręka rzuciła mi bilety. W jednej chwili miałem teraz dziewięć sztuk biało-czerwonych, tekturowych karteczek w palcach zamiast jednej. Było to połączone jeszcze ciągle z nieprzyjemnym uczuciem, ale w każdym razie nie paliło już mi ręki tak poniżająco, jak przedtem tam te pieniądze.

Czułem się znowu lekki, prawie beztroski, pieniądze znikły, — nieprzyjemna strona tej przygody znikła, cała sprawa stała się napowrót żartem, jak od żartu się zaczęła. Usiadłem znowu na krześle, zapaliłem papierosa i puszczałem dym spokojnie przed siebie. Ale nie mogłem długo usiedzieć, wsta-

łem, chodziłem trochę, potem usiadłem znowu. To dziwne, ale już nie mogłem teraz marzyć tak przyjemnie, jak przedtem. Byłem tak zdenerwowany, że aż wszystko drgało we mnie. Z początku myślałem, że było to tylko nieміłe uczucie możliwości spotkania Lajosa i jego żony między mijającymi mnie ludźmi, ale jakże on mógł przypuszczać, że te nowe bilety, które trzymałem w ręku, należały do nich? Nie drażnił mnie już także niepokój w ludziach, przeciwnie, obserwowałem ich dokładnie, czy nie zaczynają cisnąć się już naprzód. Sam złapałem się na tem, jak raz po raz wstawałem i patrzyłem, czy niema chorągwi, którą wywieszano zawsze, kiedy bieg miał się rozpocząć. A więc to była — niecierpliwość, wewnętrzna gorączka oczekiwania, żeby start się już rozpoczął i żeby ta nieszczęsna sprawa było już raz na zawsze załatwiona.

Chłopak z gazetą wyścigową przebiegł obok mnie. Zatrzymałem go. Kupiłem sobie dzisiejszy program i zacząłem szukać w tych dla mnie w niezrozumiałym żargonie pisanych wyrazach, aż znalazłem wreszcie Teddy, nazwisko jego dżokeja, właściciela stajni i kolory czerwono-białe. Ale dlaczego mnie to tak interesowało? Zirytowany zmiąłem program i rzucałem go na ziemię, wstałem i usiadłem znowu. Naraz zrobiło mi się gorąco, musiałem sobie chustką obetrzeć czoło, a kołnierz uciskał mnie. Bieg się jeszcze nie rozpoczął.

Nareszcie dał się słyszeć głos dzwonka, ludzie cisnęli się naprzód i w tej samej chwili uczułem przerażony, jak mnie to dzwoniene także przestra-

szyło podobnie, jak budzik wyrwało z jakiegoś snu.

Tak nagle zerwałem się z krzesła, że aż się przewróciło, a ja spieszyłem — nie — biegłem gorączkowo naprzód wśród tłumu, trzymając kartki w palcach, jak pożerany trwoga, żeby nie przyjść za późno, nie opuścić czegoś bardzo ważnego. Rozpychając ludzi, dostałem się aż do pierwszej barjery, nie oglądając się na nikogo, chwyciłem krzesło, na którym właśnie chciała usiąść jakaś dama, stojąca koło mnie. Po jej zdziwionem spojrzeniu odczułem niewłaściwość mego zachowania — była to moja dobra znajoma hrabina R., brwi jej podniosły się gniewnie na mój widok — ale ze wstydu udałem, że jej nie widzę, wzrok mój prześlizgnął się po niej — wskoczyłem na krzesło, żeby lepiej zobaczyć łąkę, na której się odbywały wyścigi.

Daleko po drugiej stronie, na tle zielonej murawy stało kilka niespokojnych koni, z trudem trzymany w jednym szeregu przez młodych dżokejów, wyglądających, jak kolorowe pajace. Chciałem rozpoznać mojego konia wśród nich, ale nie miałem w tym wprawy i migało mi tak gorąco i dziwnie w oczach, że między temi kolorowemi plamami nie mogłem znaleźć czerwono-białej.

W tej samej chwili zadzwonił dzwonek po raz drugi, błyskawicznie puściły się konie po zielonym trawniku, jak siedem barwnych strzał, wypuszczonych z łuku. Cudowny musiał być to widok, z estetycznego punktu widzenia, jak te smukłe zwierzęta pędziły w galopie i prawie nie dotykając ziemi, jak piórka przelatywały po zielonej murawie, ale ja nic

podobnego nie czułem, robiłem tylko rozpaczliwe wysiłki, żeby poznać mojego konia, mojego dzokieję i przeklinałem samego siebie, że nie wziąłem ze sobą lornetki. Chociaż się wykręcałem na wszystkie strony, nie widziałem nic, prócz czterech, pięciu barwnych owadów, złączonych w jeden pędzący kłębek; widziałem, jak stopniowo zmieniała się jego forma, jak się to małe stado teraz na zakręcie przedłużało się w klin i kończyło ostrym szpicem na przedzie, gdy tymczasem od tyłu cząstki stada zaczynały się odrywać. Bieg był ostry. Trzy, albo cztery wyciągnięte w galopie konie zlepily się płasko razem, jak kolorowe paski papieru, to wysuwały się jeden naprzód, to drugi. A ja mimowoli wyciągnęłam całe ciało, jakgdybym mógł przez ten naśladowy, giętki, namiętny, naprężony ruch zwiększyć szybkość koni i porwać je ze sobą.

Wokół mnie wzrastało podniecenie, niektórzy wprawni gracze musieli już na zakręcie poznać kolory, bo nazwy koni wyskakiwały teraz z chaosu, jak rakiety. Obok mnie stał jakiś pan z rękami, frenetycznie wzniesionymi i kiedy teraz jedna głowa końska wysunęła się naprzód, krzyczał, tupiąc nogami, przenikliwym i triumfującym głosem:

— Ravachol! Ravachol!

Widziałem, że dzokej na pierwszym koniu miał barwy niebieskie, ale wściekłość mnie opanowała, że to nie mój koń zwyciężył. Drażniło mnie krzykliwe wycie tego wstrętnego człowieka obok mnie:

— Ravachol! Ravachol!

Szalałem z wściekłości, najchętniej byłbym mu wpakował pięść w otwartą jamę jego rozkrzyczanych

ust. Drżałem z gniewu, czułem, że każdej chwili byłbym gotów popełnić jakieś szaleństwo. Ale tam obok pierwszego rwał jeszcze inny koń. Może był to Teddy, może!... może—i ta nadzieja rozpałała mnie na nowo. Rzeczywiście zdawało mi się, że ta ręka, która podniosła się teraz ponad siodłem i opadła znowu na grzbiet konia, błyszczy czerwono, tak, to mógł być on, musiał, musiał!! Ale dlaczego go ten hultaj nie popędza? Jeszcze raz szpicrutą? Jeszcze raz! Teraz dopędzał już pierwszego! Już, już, teraz, tylko jeszcze chwilkę. Dlaczego Ravachol? Ravachol? Nie, nie Ravachol! Nie Ravachol! Teddy! Naprzód, Teddy! Teddy!

Naraz zatrzymałem się gwałtownie. Co — co to było? Kto tak krzyczał? Kto tak krzyczał, jak szalony? Teddy! Teddy! Ja sam tak krzyczałem. Chciałem się powstrzymać, zapanować nad sobą. Wśród tej gorączki nagle uczułem wstyd. Ale nie mogłem oderwać oczu od owych dwóch koni, które były jakby przylepione do siebie. Z pewnością, że to Teddy wisiał przy Ravacholu, bo naokoło mnie dały się słyszeć okrzyki:

— Teddy! Teddy!

A krzyk ten porwał mnie — choć się na chwilę opamiętałem—znów opanowała mnie gorączka namiętności. Teddy powinien być, musiał zwyciężyć! Rzeczywiście na jedną sekundę wysunęła się teraz jego głowa z poza pędzącego tamtego konia, jeszcze sekunda, a już widać było jego szyję — w tej chwili zabrzmiał ostry głos dzwonka i wybuchnął jeden okrzyk radości, rozpaczy, gniewu i zachwytu. Przez jedną sekundę nazwa zwycięskiego konia wy-

pełniła niebo aż pod sklepienie. Potem skądś za-  
brzmiała muzyka.

Gorący, oblany potem, z bijącym sercem wstałem z krzesła. Musiałem na chwilę usiąść, tak mi się w głowie mąciło z zachwytu i podniecenia. Ekstaza, jakiej nigdy dotąd nie czułem, przepływała przeze mnie, bezmyślna radość, że przypadek tak niewolniczo słuchał mego wyzwania, daremnie starałem się oszukać sam siebie, tłómacząc sobie, że się to stało wbrew mej woli, iż ten koń teraz zwyciężył, że ja byłbym raczej wolał stracić te pieniądze. Ale już sam sobie nie wierzyłem. Rwało mnie jakieś nieopanowane uczucie i wiedziałem gdzie, mnie ciągnęło: chciałem sam zobaczyć to zwycięstwo, poczuć je wszystkimi zmysłami, czuć w palcach pieniądze, dużo pieniędzy, dużo niebieskich, szeleszczących papierków, i ów specyficzny dreszcz, idący wzdłuż nerwów. Dziwna, zła rozkosz opanowała mnie, żaden wstyd nie bronił mi już, by jej się poddać. Zaledwie powstałem, spieszyłem już, biegłem do kasy, brutalnie rozpychając łokciami wcisnąłem się między czekających przed okienkiem, roztrąciłem ludzi na bok, jedynie dlatego, żeby już jaknajprędzej zobaczyć przed sobą pieniądze, rzeczywiste pieniądze.

— Cóż to za prostak — mruknął ktoś, odepchnięty przezemnie. Słyszałem, co mówił, ale nie myślałem ani chwili o tem, żeby mu odpowiadać, drżałem z niewytłómaczonej niecierpliwości. Nareszcie przyszła kolej na mnie, moje ręce chwyciły łakomie małą paczkę banknotów. Liczyłem je, drżąc z zachwytu. Było sześćset czterdzieści koron. Porwa-



łem je gorączkowo. Następną myślą moja było: teraz tylko grać dalej, wygrać więcej, znacznie więcej. Gdzie podziałem gazetę wyścigową? Ach, prawda, wyrzuciłem ją! Chciałem kupić nową. Wtedy zobaczyłem z przerażeniem, jak wszystko płynęło w kierunku wyjścia. Kasy zamykano, powiewającą przed chwilą chorągiew — sprzątnięto. Gra była skończona. Ten bieg był ostatni.

Przez sekundę stałem osłupiały. Potem odezwał się we mnie gniew, jakby mi się stała jakaś krzywda. Nie mogłem się z tem pogodzić, że teraz, kiedy we mnie wszystkie nerwy przeżyły się i drgały, kiedy już od lat nie krążyła we mnie krew tak gorąco, jak w tej chwili — teraz właśnie miało być wszystko skończone. Ale nic nie pomogło — poco zwo-  
dniczo pomnażać nadzieję: byłaby to tylko fatalna omyłka, bo coraz prędzej rozpywał się barwny tłum, i zielona podeptana murawa błyszcząca między coraz rzadszemi grupkami ludzi. Czulem, że jestem śmieszny. Poszedłem ku wyjściu. Odźwierny, zrywając z uniżeniem czapkę z głowy, skoczył naprzeciw mnie, powiedziałem mu numer mojego fiakra, zawołał go głośno, składając dłoń w trąbkę, ostrym truchtem zajechały konie. Kazałem woźnicy jechać powoli przez główną aleję. Bo właśnie teraz, kiedy podniecenie już zaczęło ustępować, uczulem chęć, żeby sobie całą scenę jeszcze raz przedstawić.

W tej chwili podjechała druga dorożka; popatrzyłem w tę stronę, ale wnet odwróciłem głowę. W dorożce siedziała owa kobieta ze swoim otyłym małżonkiem. Nie spostrzegli mnie. Ale doznałem wstrę-

tnego, dławiącego uczucia, jak gdybym został na czemś brzydkim przyłapany. I najchętniej byłbym zawołał na woźnicę, żeby popędził konie i jaknajprędzej oddalił się od nich.

Miękko prześlizgiwała się dorożka na gumowych kołach między wieloma innymi pojazdami, które jak łodzie kwiatowe z barwnym, bagażem kobiet przepływały wśród zielonych kasztanów aleji. Powietrze było miękkie i słodkie, niekiedy wionął wśród kurzu lekki zapach wieczornego chłodu. Ale to przyjemne uczucie rozmarzenia już nie wracało, spotkanie z tymi ludźmi, oszukanymi przezemnie, pozostawiło mi przykry niesmak. Przemyślałem jeszcze raz na trzeźwo to całe zdarzenie i nie mogłem zrozumieć sam siebie: ja, dżentelmen, z najlepszego towarzystwa, porucznik rezerwy, ogólnie szanowany, zabrałem, niezmuszony koniecznością, znalezione pieniądze, włożyłem je do pugilaresu i to nawet radością, z rozkoszą! Ja, który jeszcze przed godziną byłem porządnym, nieskazitelnym człowiekiem, ukradłem!... Byłem złodziejem!... I chcąc się sam nastraszyć, podczas kiedy konie szły lekkim kłusem, powtarzałem sobie półgłosem w rytm kopyt końskich:

— Złodziej! Złodziej! Złodziej! Złodziej!

Ale dziwna rzecz: jak trudno opisać to, co się stało, a jednak wiem dobrze, że nie tworzę sobie dopiero teraz dodatkowego obrazu. Każda sekunda uczucia, każde wahanie myśli podczas tych chwil, do dziś dnia tkwi mi w pamięci z taką wyrazistością, jak żadne inne zdarzenie, przeżyte podczas trzydziestu sześciu lat mego życia, a jednak nie mam od-

wagi wytlómaczyć tego nedorzecznego następstwa faktów — i nie wiem, czy jakikolwiek poeta, czy psycholog potrafiłby to logicznie opisać. Mogę tylko wyznaczyć po kolei wszystko w takim porządku, w jakim następowało po sobie.

A więc powiedziałem sobie: „złodziej”. Potem przyszła chwila, chwila, w której się nic nie działo i kiedy tylko — ach, jak to trudno wypowiedzieć — kiedy tylko słuchałem, wsłuchiwałem się w siebie. Wzywałem siebie, oskarżałem się, teraz powinien być oskarżony odpowiedzieć sędziemu. Słuchałem więc i nie usłyszałem — nic. Na rzucenie w twarz tego słowa: „złodziej” — po którym oczekiwałem, że mnie napoi wstydem, niedającym się opisać, — nie odezwało się we mnie nic. Czekałem cierpliwie kilka minut — bo czułem aż nadto dobrze, że to milczenie ma swoją treść — i wyteżyłem z gorączkowem oczekiwaniem słuch, żeby usłyszeć to echo, którego nie było, ten sprzeciw wstrętu, oburzenia, zwątpienia, który musiał nastąpić po tem oskarżeniu siebie. Znowu nic. Nic się nie odezwało. Jeszcze raz powiedziałem sobie to słowo: „złodziej, — już całkiem głośno, żeby obudzić w sobie ubezwładnione sumienie. Ale znowu nie było reakcji. I naraz w błyskawicznym świetle nagłego zrozumienia — tak, jakby ktoś trzymał zapaloną zapałkę ponad ciemną głębię, poznałem że tylko *chciałem* się wstydzić, ale się nie wstydziłem, że w gruncie rzeczy byłem niejako dumny z tego co zrobiłem.

Czy to możliwe? Bronilem się teraz, przerażony tą nieoczekiwaną świadomością. Nie, to nie był

wstyd, nie oburzenie, nie wstręt do samego siebie, to, co tak fermentowało we mnie, ale radość, pijana radość, ponieważ czułem, że w owej chwili byłem po raz pierwszy od lat naprawdę żywy, czułem, że moje uczucia, dotychczas tylko sparaliżowane, jeszcze nie obumarły, że jeszcze gdzieś pod zamuloną powierzchnią obojętności falowały gorące źródła namiętności, które dotknięte czarodziejską różdżką przypadku, raz jeszcze wytrysły, we mnie, w atomie wszechświata, gorzało jeszcze owo tajemnicze wulkaniczne jądro ziemskiej namiętności, które czasem ukazuje się w wirujących falach pożądania, ja także żyłem i byłem człowiekiem, pełnym złych i gorących żądz. Burza tej namiętności otwarła naraz jakieś drzwi, przez które patrzyłem z rozkosznym zawrotem głowy w dół, na Coś nieznanego, co mnie przerażało i uszczęśliwiała zarazem.

I pomału — podczas, gdy powóz toczył się leniwie — zstępowałem stopień za stopniem w głębię własnej duszy, niewypowiedzianie samotny. Podczas kiedy tysiące ludzi falowało koło mnie, rozmawiając i śmiejąc się, ja szukałem siebie, owego utraczonego człowieka we mnie i badałem minione lata, rok po roku. Z zaprószonej i przyćmionych zwierciadeł życia wynurzały się naraz dawno zapomniane rzeczy, przypomniałem sobie, że raz jako uczeń ukradłem koledze scyzoryk i z szatańską radością przypatrywałem się mu, jak się męczył, jak go wszędzie szukał i wszystkich pytał o ów zaginiony scyzoryk. Zrozumiałem naraz owe tajemnicze, burzliwe chwile niektórych seksualnych przeżyć, zrozumiałem, że moja namiętność była tylko jak skarłowa-

ciała, zdeptana przez owe towarzyskie urojenia, despotyczne ideały dżentelmena — ale rozumiałem i to, że także we mnie, tylko głęboko, bardzo głęboko, w zasypanych studniach i kanałach nurtowały gorące prądy życia, tak samo jak u innych. Ach, ja przecież zawsze żyłem, tylko nie miałem odwagi żyć naprawdę, zamykałem się i ukrywałem przed samym sobą: teraz jednak zduszona siła wybuchnęła, życie, to bogate, niewymownie gwałtowne życie, pokonało mnie. A teraz czułem, że pozostawiałem z tem życiem jeszcze wciąż w związku; z radosnem zdziwieniem kobiety, która po raz pierwszy czuje w łonie swem poruszenie dziecka, odczułem rzeczywistość — jakże mam to nazwać inaczej! — niefałszowaną prawdziwość życia, które kiełkowało we mnie, czułem — wstydę się prawie wypowiedzieć to słowo — że ja, ów obumarły człowiek, teraz naraz zakwitłem, że przez moje żyły płynęła niespokojna, czerwona krew, jak w cieple rozwijało się powoli uczucie i jak wyrastało w owoc słodczy, czy goryczy. Cud Tunnhäusera dokonał się ze mną — wśród jasnego światła na placu wyścigowym, wśród tysiącznego tłumu rozpróżnionych ludzi: zacząłem znowu odczuwać, zeschnięty pień zaczął się zielenić i puszczać pąki.

Z przejeżdżającego powozu ukłonił mi się jakiś pan i zawołał mnie po imieniu, widocznie nie dostrzegłem jego pierwszego ukłonu. Zerwałem się zły, że mi ktoś maści ten słodki stan marzenia. Ale gdy spojrzałem — uśmiechnąłem się. Był to mój przyjaciel Alfred, kochany kolega szkolny, obecnie na stanowisku prokuratora. W jednej chwili błysnęła

we mnie myśl: ów człowiek, który pozdrawia cię po bratersku, ma teraz władzę nad tobą, jesteś w jego rękach, skoro tylko się dowie o twojem postępowaniu. Gdyby wiedział wszystko o tobie i twoim uczynku, musiałby cię teraz wytrącić z twojej mieszczańskiej cieplej egzystencji i musiałby cię skazać na trzy, cztery lata przebywania w dusznym świecie poza zakratowanemi oknami, wśród szumowin społeczeństwa, wśród innych złodzieji, których bicz nędzy wpędził do tego brudnego więzienia. Ale tylko przez jedną chwilkę chwyciła mnie zimna trwoga, tylko przez jedną chwilkę zatrzymała bicie mego serca — a potem i ta myśl zmieniała się w fantastyczną bezczelną dumę, i pewien siebie, prawie szyderczo patrzyłem na innych ludzi wokoło. Jakby wasz słodki, koleżeński uśmiech, którym mnie pozdrawiacie, jak sobie równego, zastygł w kącikach waszych ust, gdybyście przeczuwali jakim jestem w istocie! Jak błoto z płaszcza strąciłibyście pogardliwie moje pozdrowienie, ale zanim wy mnie odtrącicie, ja was już odtrąciłem: dziś popołudniu wyrzuciłem się sam z waszego zimnego, skostniałego świata, w którym byłem jednym obracającym się kołem w wielkiej maszynie, — spadłem w głębię, której nie znałem, ale w ciągu jednej godziny czułem się bardziej żywotny, niż podczas lat życia w waszem kole. Nie jestem już waszym, nie należę już do was, jestem poza wami, nie wiem gdzie, w górze czy w dole, ale już nigdy — nigdy już nie wrócę na płaski brzeg waszego mieszczańskiego dobrobytu! Poczulem po raz pierwszy, jaką rozkosz mogą mieć ludzie w dobrem i w złem, ale wy nigdy się o tem

nie dowiecie: ludzie, co wy wiecie o mojej tajemnicy?

W jaki sposób zdołałbym wyrazić to, co w tej chwili czułem, kiedy jako elegancko ubrany dżentelmen przejeżdżałem między rzędami powozów, kłaniając się i witając na wszystkie strony! Bo chociaż uśmiechałem się i poznawałem wszystkie twarze, brzmiała we mnie taka zawrotna i odurzająca muzyka, że musiałem panować nad sobą, żeby nie krzyknąć głośno. Byłem tak przepełniony uczuciem, tak mnie ta wewnętrzna zmora męczyła fizycznie, że dusząc się, musiałem przycisnąć rękę do piersi, w której serce drgało boleśnie. Ale bólu, rozkoszy, przestachu, przerażenia, albo żalu nie czułem oderwanie, wszystko stopiło się w jedno, spostrzegłem tylko, że żyję, że oddycham, że czuję. I to najzwyklejsze, stare uczucie, którego od lat nie doznawałem, upoiło mnie. Nigdy, ani przez jedną sekundę w ciągu trzydziestu sześciu lat życia nie czułem się sam tak zachwycająco, jak teraz w ciągu tej jednej godziny.

Naraz powóz stanął niespodzianie, woźnica zatrzymał konie, obrócił się do mnie z kozła i zapytał, czy ma jechać do domu. Zbudziłem się z moich marzeń z zawrotem głowy i podniosłem oczy: ze zdumieniem zobaczyłem, jak długo musiałem marzyć, jak zapomniałem o czasie. Zrobiło się ciemno, kasztany zaczynały wydzielać wieczorny zapach. A poza ich wierzchołkami srebrzył się już zlekka zaćmiony, księżyc. Dość już było, dosyć. Ale teraz, aby nie do domu, aby nie wracać w zwykłe otoczenie!... Zapłaziłem. Kiedy wyostałem pugilares i trzymałem ban-

knoty w palcach, przebiegł mnie lekki, elektryczny prąd od stawów aż do końców palców: jeszcze się trochę widać wstydziłem. Woźnica dziękował mi z taką przesadą, że aż się uśmiechnąłem: — Gdybyś ty wiedział!... Konie ruszyły, odjechał. Patrzyłem za nim, tak jak się patrzy z okrętu na brzeg, gdzie się było szczęśliwym.

Stałem tak przez chwilę, marzący i bezradny, w pośród rozmawiającego, śmiejącego się tłumu. Mogła być godzina siódma i mimowoli zwróciłem się do ogrodu Sachera, gdzie po przejeździe w Praterze zwykle jadałem kolację ze znajomymi i gdzie mnie teraz fjakier pozostawił. Ale zaledwie dotknąłem drzwi parkanu, okalającego elegancką restaurację, coś mnie zatrzymało: nie, nie chciałem wracać jeszcze w mój świat, nie chciałem spłukać banalną rozmową tej cudownej fermentacji, która mnie wypełniała, nie chciałem oderwać się od iskrzącej się magji tej przygody, z którą czułem się związany.

Słysząc było skądś niewyraźną, przytłumioną muzykę, poszedłem poszukać jej źródła, — bo wszystko mnie dziś nęciło, chciałem się dać porwać przypadkowi, i to poddawanie się w falującym tłumie miało swój fantastyczny urok. Krew burzyła się w tej gęstej masie rozgrzanych ciał. Byłem podniecony tym gryzącym, duszącym odorem ludzkiego oddechu, kurzu, potu i tytoniu. Bo wszystko to, co mnie przedtem, wczoraj jeszcze, odtrącało, jako ordynarne, pospolite, plebejuszowskie, to, czego, jako dbający o siebie džentelmen wyniośle unikałem przez całe życie, teraz pociągało mnie magicznie, jakbym w pospolitości po raz pierwszy odczuwał ja-



kieś pokrewieństwo ze sobą samym. Tu, wśród szumowin społeczeństwa, między żołnierzami, służącymi, włóczęgami, czułem się pod pewnym względem tak dobrze, że mi to było zupełnie niezrozumiałe. Wchłaniałem łakomie w sobie odór tego powietrza, przyjemnie było mi dawać się popychać i ścisnąć w skłębionym tłumie i z radosną ciekawością czekałem, dokąd tłum porwie mnie, bezbronno. Coraz bliżej i przenikliwej huczały trąby, dzwonki i bębny muzyki z Wustelprateru, katarynki monotonnie tłukły hałaśliwe polki i walce, z bud służyć było trzask głuchych uderzeń, skądinąd ryczały pijane okrzyki i widziałem już błędne światła kręcących się między drzewami karuzeli jak w czasie mojego dzieciństwa. Stałem na środku placu i słuchałem zgiełku który napełniał mi oczy i uszy: ów hałas, owo piekielne wrażenie wszystkiego wokoło mnie było mi miłe, bo w tym wirze było coś, co zagłuszało we mnie wewnętrzny zamęt. Przypatrywałem się, jak kobiety na huśtawkach z wydetami sukienkami dawały się podrzucać aż do nieba, wydając okrzyki rozkoszy. Przypatrywałem się, jak rzeźnicy, śmiejąc się, walili ciężko młotami w siłomierz, jak obwoływacze z małpiemi ruchami przekrzykiwali chrapliwemi głosami hałas katarynek i jak to wszystko mieszało się z tysiącno-głosowem, nieustannie poruszającym się życiem tego zbiorowiska ludzi, pijane brzmieniem muzyki, blaskiem świateł i rozkoszą ścisnąć w tłumie. Od chwili, kiedy sam ożyłem, odczułem naraz życie innych, czułem żądę miljonowego miasta, jak gorąca i naładowana wylewała się podczas tych

kilku niedzielnych godzin, jak się pobudzała własną bujnością do zwierzęcego, niejako instynktownego i zdrowego użycia. I stopniowo czułem przez ocieranie się, przez nieustanne dotykane ich gorących namiętne cisnących się ciał, jak ich pałaca żądza przechodziła we mnie. Moje nerwy, podrażnione ostrą wonią, prężyły się, zmysły bawiły się zawrotnie tą wrzawą i odczuwały owo odurzenie, które niezaprzeczenie jest skutkiem każdej rozkoszy. Po raz pierwszy od lat, może po raz pierwszy w mojem życiu odczuwałem tłum, odczuwałem ludzi, jako siłę, z której szła rozkosz w moją własną, zamkniętą istotę: jakaś zaporą była zerwana i z moich żył szedł prąd w ich świat i wracał rytmicznie napowrót, czułem, że nowa żądza owładnęła mną, żeby jeszcze stopić tę ostatnią między mną a nimi zaporę, namiętne pożądanie zespolenia się z tą gorącą, obcą, cisnącą się masą. Z rozkoszą mężczyzny tęskniłem do tryskającego źródła tego gorącego olbrzymiego ciała, z rozkoszą kobiety byłem przygotowany na każde dotknięcie, każde zawołanie, każdą pokusę, każdy uścisk — i teraz dopiero zrozumiałem, że żyła we mnie miłość i potrzeba miłości, jak za dawnych, jeszcze mrocznych, chłopięcych lat. Ach, dostać się tylko tam w to życie, być jakoś zespolonym z tą drgającą, roześmianą namiętnością innych, tylko wlać się w ich żyły, stać się całkiem małym, bezimiennym w tłumie, stać się wymoczkim w brudzie tego świata, drżącą z rozkoszy. istotą w bagnie razem z mirjadami innych — ale tylko wejść w to koło, siebie włączyć w to niebo wspólnoty.

Wiem teraz, że byłem wtedy pijany. We krwi

kotłowało wszystko razem: głos dzwonek z karuzeli, dźwięczny śmiech kobiet, który wytryskał pod dotknięciem mężczyzny, chaotyczna muzyka, barwne suknie. Ostro spadał każdy głos na mnie rozedrganym, wokół skroni czułem z fantastycznym rozdrażnieniem każde dotknięcie, każde spojrzenie, (tak, jak podczas choroby morskiej) ale jednak wszystko razem — w zawrotnem zespoleniu. Nie mogę wyrazić w słowach mego skomplikowanego stanu, najprędzej może uda mi się to przez porównanie: byłem przepełniony hałasem, wrzawą, uczuciem, rozpalony, jak maszyna, która pędzi z szaloną szybkością. Rozgorączkowana krew drgała mi w końcach palców, biła w skroniach, dusiła w gardle — po falach chłodnej obojętności wpadłem naraz w gorączkę, która mnie spalała. Czułem, że musiałem teraz niejako wyjść poza siebie, oddać się innym, spospolitować się, zerwać pęta powszedniości — w jakiś sposób uratować, uwolnić się z tej twardej łupiny milczenia, która mnie dzieliła od ciepłego, płynnego, rozbudzonego żywiołu. Od kilku godzin nie mówiłem z nikim, nie czułem żadnego spojrzenia, zwróconego na mnie pytająco, lub współczująco, a teraz pod naciskiem zdarzeń owo wewnętrzne wzburzenie zaprotestowało przeciw temu milczeniu. Nigdy, nigdy nie czułem takiej potrzeby udzielenia się komuś, jak teraz, kiedy poruszałem się wśród tysiąca, dziesięciu tysięcy innych osób, a jednak odcięty od krwi, krążącej w żyłach tego tłumu. Byłem jak ktoś, kto na morzu ginie z pragnienia. A przy tem widziałem, jak na prawo i lewo obcy ludzie, ocierając się o siebie, łączyli się ze sobą. Po-

dobnie, jak kuleczki rtęci, bawiące się niejako, spajają się razem. Czułem zazdrość, widząc, jak młodzi chłopcy, przechodząc, zaczepiali obce dziewczęta i już po pierwszym słowie brali je pod ramię, jak wszyscy się prędko zaznajamiali i łączyli; wystarczyło już jedno pozdrowienie przy karuzeli, jedno spojrzenie w przelocie, żeby obce żywioty stopiły się w rozmowie, może poto by się później rozejść, ale przecież było w tem jakieś łączenie, udzielanie się, było to, do czego moje nerwy teraz się paliły. Jednak ja, zresztą biegły w towarzyskiej rozmowie, zręczny causeur i pewny siebie co do form, umierałem ze strachu, wstydziłem się zagadnąć którąś z tych służących o szerokich biodrach, z obawy, że może mnie wyśmiać, spuszczałem poprostu oczy. jeżeli ktoś spojrział na mnie przypadkiem, a ginąłem z tęsknoty za słowem. Sam nie wiedziałem, czego chcę od tych ludzi, nie mogłem tylko dłużej wytrzymać samotności. Ale wzrok wszystkich omijał mnie, każde spojrzenie przekreślało mnie niejako, nikt mnie nie chciał odczuć. Raz stanął obok mnie jakiś chłopiec, może dwunastoletni, w łachmanach. W jego iskrzących oczach odbijały się jaskrawe światła, tęsknie spoglądał na kołyszące się konie. Jego wążkie wargi były rozchylone, jakby łaknące: widocznie nie miał pieniędzy, żeby pojechać razem z innymi i słuchał tylko ich krzyków i śmiechów. Przysunąłem się gwałtownie do niego i zapytałem — ale dlaczego mój głos drżał przy tem tak silnie i przechodził w dyszkant?

— Czy nie zechciałby pan także raz się przejechać?

Popatrzył na mnie osłupiały, przestraszył się, (dlaczego? dlaczego?) zaczerwienił się i uciekł, nie odpowiedziawszy ani słowem. Nawet to bose dziecko nie chciało przyjąć odemnie radości; musiało być coś tak obcego we mnie, że nie mogłem się nigdzie zmieszać z innymi, tylko pływałem w tym tłumie, jak kropla oliwy na falującej wodzie.

Ale nie ustąpiłem, nie mogłem dłużej pozostać osamotniony. Nogi piekły mnie w zakurzonych laskierkach, gardło było jak zardzewiałe z kurzu i zaduchu. Popatrzyłem naokoło siebie: na prawo i na lewo między płynącymi falami ludzi były małe wysępki zieloności, trzecziorzędne restauracje, z czerwonymi obrusami i z drewnianymi ławkami, na których siedzieli drobno-mieszczanie z niedzielnym cygarem w ustach, przy kuflu piwa. Widok ten nęcił mnie: tu siedzieli ze sobą obcy, nawiązywali rozmowy, tu było trochę spokojniej... Wszedłem, rozejrzałem się, aż znalazłem jeden stolik, gdzie siedziała jakaś mieszczańska rodzina, gruby rzemieślnik z żoną, dwiema córkami i z synkiem. Poruszali głowami do taktu, żartowali ze sobą, a ich swobodne, zadowolone spojrzenia spodobały mi się. Ukłoniłem się grzecznie i zapytałem, czy mogę usiąść. Zaraz ustał ich śmiech, milczeli przez chwilę (jakby każdy z nich czekał, by ten drugi za niego odpowiedział), aż wkońcu żona rzekła zdziwiona:

— Proszę, proszę!

Usiadłem i miałem wrażenie, że moja obecnością stłumiłem ich swobodny humor, bo przykre milczenie zaległo stół. Nie mając odwagi położyć oczu od czerwono kratkowanego obrusa, na

którym wysypano sól i pieprz, czułem, że mnie wszyscy obserwują ze zdziwieniem i wpadło mi na myśl — zapóźno! — że jak na restaurację służby i rzemieślników byłem zanadto elegancko ubrany: w paryskim cylindrze, z perłą w krawacie, że moja elegancja, ów blask luksusu tutaj także położył warstwę nieprzyjaźni między mną a nimi. Milczenie tych pięciorga ludzi przytłaczało mnie coraz bardziej, liczyłem czerwone kratki obrusa, liczyłem ciągle na nowo z zawziętą rozpaczą, bo z jednej strony wstydziłem się wstać, a z drugiej strony bałem się podnieść umęczony wzrok. Wybawienie przyszło w osobie kelnera, który przyniósł wielki kufel piwa i postawił go przedemną. Wtedy mogłem nareszcie podnieść jedną rękę i pijąc, nieśmiało spoglądać ponad brzegiem szklanki; rzeczywiście wszyscy pięcioro obserwowali mnie, wprawdzie bez nienawiści, ale z milczącym zdumieniem. Poznali intruza w ich świecie, czuli naiwnym instynktem swojej klasy, że ja tu szukałem czegoś, co do mego świata nie należało, że nie prowadziła mnie tu ani miłość, ani upodobanie, ani proste zadowolenie ze słuchania walca, z picia piwa i ze spokojnego, niedzielnego popołudnia, ale jakaś tęsknota, której oni nie zrozumieli i której nie dowierzali, tak samo jak ten chłopiec przed karuzelą nie dowierzał mi, że chciałem mu darować pieniądze, tak jak tysiące ludzi bez nazwiska odsuwało się w tłumie z nieświadomą nienawiścią do mojej elegancji i światowej pewności siebie. A jednak czułem, że gdybym był stanie znaleźć teraz szczerze, proste, serdeczne, prawdziwe ludzkie słowo, żeby przemówić do nich, to albo ojciec,

albo matka byliby mi odpowiedzieli, córki byłyby się uśmiechnęły, a ja mógłbym pójść strzelać z chłopcem do tej budy obok i wyprawiać z nim dziecinne psoty. W szczerzej atmosferze małomieszczańskiej rozmowy i chętnie udzielającej się poufałości byłbym wyzwolił się sam. Ale tego początku rozmowy tego pierwszego słowa — nie znalazłem, fałszywy i głupi, ale przemożny wstyd dławił mnie w gardle, siedziałem przy stole, przy tych zwykłych ludziach ze spuszczonei oczyma, jak zbrodniarz, z uczuciem męki, że im moją nienawistną obecnością zatruję ostatnie godziny ich niedzieli. Przykuty do tego stołu pokutowałem za wszystkie lata obojętnej pychy, podczas których przechodziłem bez jednego spojrzenia obok tysięcy, tysięcy takich stołów, obok milionów bratnich dusz, zajęty jedynie względami towarzyskimi, i powodzeniem w owem ciasnem kole elegancji; czułem, że prosta droga, swobodna rozmowa z nimi, teraz, kiedy ich potrzebowałem, w chwili mego wyrzucenia z tamtego koła, była dla mnie zamknięta.

I siedziałem tak zgarbiony, pełen udręczeń, — ja, dotychczas wolny i niezależny! — licząc ciągle czerwone kratki na obrusie, aż nareszcie przyszedł kelner. Zawołałem go, zapłaciłem i wstałem, zostawiając zaledwie zaczęty kufel piwa i ukloniłem się grzecznie — wszyscy odклонili mi się uprzejmie, ze zdziwieniem. I wiedziałem, nie oglądając się, że teraz, zaledwie odszedłem od nich, wróci ich żywa wesołość i ciepły krąg ich rozmowy zamknie się znowu, kiedy tylko ja, to obce ciało, wysunąłem się poza nich.

I znowu rzuciłem się w wir ludzi, ale teraz jeszcze bardziej pożądamy, bardziej rozgorączkowany, bardziej zrozpaczony. Tłum przeredził się się tymczasem pod drzewami, które zlewały się z czarnem niebem, ludzie nie cisnęli się już tak gęsto w światło karuzeli, tylko poruszali się, raczej podobni do cieni, gdzieś na krańcach placu. Huczący, głęboki, tchnący rozkoszą ton mas podzielił się teraz także na wiele drobnych odgłosów, które nagle dawały się słyszeć, kiedy muzyka zaczynała grać gdzieś z szaloną gwałtownością, jakby chciała uciekających jeszcze raz napowrót przywołać. Ukazały się teraz inne twarze: dzieci z balonami i papierowymi serpentynami odeszły już do domów, rozeszły się także szeroko toczące się fale niedzielnych rodzin, widząc było tylko pijanych, słysząc ich wrzaski, widziało się nędznie odzianych obdartych ludzi, wynurzających się z bocznych, ciemnych aleji, niby włóczących się, ale jednak czegoś szukających: przez tę jedną godzinę, podczas której siedziałem jak przykuty do obcego stołu, dziwny ten świat przetoczył się przed moimi oczyma. Ale właśnie ta fosforyzująca atmosfera niebezpieczeństwa podobała mi się bardziej, niż ta dawna, niedzielno - mieszczańska. Podniecony instykt we mnie wietrzył tu podobne napięcie żądy, czułem się podobny do tych wątpliwych postaci, tych wyrzutków społeczeństwa, oni także szukali tu z niepokojnym oczekiwaniem jakiejś niezwykłej przygody, jakiegoś oszołomienia się; zazdrościłem nawet tym obdartusom ich jawnej i swobodnej włóczęgi, gdy ja stałem przyciśnięty do słupa karu-



zeli, oddychając z trudem, niecierpliwiać się, żeby ten ucisk milczenia i tę mękę osamotnienia wyrzucić z siebie, a jednak nie zrobić żadnego ruchu, nie wydać żadnego głosu, nie wymówić żadnego słowa. Stałem tylko i patrzyłem na plac, oświetlony drgającym refleksem kręcących się świateł, stałem i patrzyłem z wyspy światła w ciemność, z niedorzecznym oczekiwaniem patrząc na każdego, kto przyciągnięty jaskrawym światłem na chwilę zwrócił się w tę stronę. Ale oczy ludzkie ześlizgiwały się po mnie zimno, nikt mnie nie chciał, nikt mnie nie wyzwoli z tego straszego stanu...

Wiem, że byłoby szaleństwem chcieć komuś opisać, albo wytłómaczyć to, że ja, kulturalny, elegancki człowiek, należący do najlepszego towarzystwa, bogaty, niezależny, zaprzyjaźniony z elitą milionowego miasta stałem tej nocy przez godzinę oparty o słup jakiejś rozstrojonej, piszczącej, nieustannie się kręcącej karuzeli i słuchałem dwadzieścia, czterdzieści, sto razy tej samej potykającej się polki, tego samego ciągnącego się walca, i patrzyłem na te same idjotyczne głowy końskie z malowanego drzewa, przesuwające się raz po raz koło mnie i nie ruszałem się z miejsca — wskutek zawziętego uporu, wskutek jakiegoś magicznego uczucia, że zmuszę los moją wolą. Wiem, że w tej chwili działałem bezmyślnie, ale w tej bezmyślnej wytrwałości było takie napięcie nerwów, taki stalowy skurcz wszystkich mięśni, jak może czują tylko ludzie, spadający w przepaść, na chwilę przed śmiercią; moje całe pust życie powróciło naraz, jak przyływ wody i spię-

trzyło się we mnie aż do gardła. I mimo to, że tak bardzo dręczyło mnie to bezmyślne szaleństwo, postanowiłem wytrwać tak długo, aż jakieś słowo, jakieś spojrzenie ludzkie mnie wyzwoli: męczarnia ta była dla mnie prawdziwą rozkoszą. Odpokutowywałem coś podczas tego stania pod słupem, nie tyle ową kradzież, ile spleśniałą, duszną pustkę mego dawnego życia i przysiągłem sobie: nie odejdę, póki los mnie sam nie wyzwoli.

Jedne po drugich gasły światła w budach i ciemność pokryła jasną plamę na trawniku, coraz puściej było na owej jasnej wysepce, na której stałem, co chwila patrząc na zegarek. Jeszcze kwadrans, a pstrokate konie staną, czerwone i zielone lampki elektryczne, płonące na ich czołach, zagasną, katarynki ucichną. Z coraz większym niepokojem patrzyłem na opustoszały plac, gdzie zataczało się tylko kilku pijanych chłopów, albo szybko przechodziła jakaś wracająca do domu parka. Ale w cieniu drgało jeszcze ukryte życie, niespokojnie i zaczepnie. Czasem słychać było ciche gwizdanie, kiedy przechodzili mężczyźni. A jeżeli przywabieni wołaniem, skręcali potem w ciemność, słychać było znowu w cieniach nocy szepty kobiet, a czasem wiatr przynosił strzępy śmiechu. I powoli z koła ciemności zaczynały się wysuwać dziwne postacie na jasno oświetlony plac, żeby zaraz potem zniknąć znowu w czerni nocy, kiedy tylko w świetle latarni ukazał się hełm przechodzącego policjanta. Ale zaledwie policjant poszedł dalej, na nowo zjawiały się owe cienie i teraz mogłem już zbliska rozpoznać ich kontury; były

to ostatnie szumowiny nocnego świata, muł, który pozostał po przejściu płynnego strumienia ludzi. Kilka dziewczek, tych najbiedniejszych, politowania godnych istot, które nie miały własnych łóżek, w dzień spały gdzieś na pożyczonych materacach, a nocą włóczyły się bezustannie, owe istoty, które każdemu wzamian za monetę oddawały gdzieś w ciemności swe zużyte, zmalretowane, wychudłe ciała, ścigane przez policję, gnane głodem, albo zmuszane przez jakiegoś łotra, włóczące się zawsze w ciemności, polujące i będące same przedmiotem polowania. Wokoło jasnego placu, jak głodne psy, węszyły za jakimś błakającym się tu jeszcze mężczyzną, od którego za chwilę rozkoszy mogłyby wyciągnąć jedną, albo dwie korony, żeby potem kupić sobie za to kieliszek wódki w jakimś szynku i utrzymać w ten sposób mętnie tłący się płomyk życia, który i tak niedługo zagaśnie w szpitalu albo w więzieniu. Były to szumowiny, ostatnia posoka wezbranej zmysłowości niedzielnych tłumów: — z bezgranicznem przerażeniem patrzyłem na te upiorne postacie, wydobywające się z ciemności. Ale nawet w tem przerażeniu była jeszcze jakaś rozkosz, nawet w tem najbrudniejszym zwierciadle widziałem znowu rzeczy dawno zapomniane i niewyraźnie odczute, tu był ów głęboki, bagnisty świat, w którym przeżyłem kilka chwil przed laty i który teraz fosforyzująco działał znowu na moje zmysły. To dziwne, co ta fantastyczna noc mi naraz odkrywała: wdzieraała się w moją najciemniejszą przeszłość i zrywała zasłonę z moich najtajniejszych

popędów. Przytłumione uczucia z dawno zapomnianych, chłopięcych lat odzywały się we mnie, kiedy to nieśmiałe a jednak trwożliwe zmieszane spojrzenie czepiało się tych postaci, wspomnienie tej chwili, kiedy po raz pierwszy szedłem po trzeszczących, wilgotnych schodach za taką istotą — jakgdyby błyskawica rozdarła nocne niebo, ujrzałem znów ostro każdy szczegół owej zapomnianej chwili: płaski oleodruk ponad łóżkiem, amulet, który nosiła na szyji, czułem każde drgnięcie nerwów z owego czasu, dziwny wstręt i pierwszą dumę chłopca. — Wszystko to zafalowało naraz we mnie. Jakieś jasnovidzenie bez miary opanowało mnie nagle i — jakże mam wyrazić to? — zrozumiałem naraz wszystko, co mnie łączyło z temi istotami: właśnie fakt, że były ostatnimi szumowinami życia, a mój instynkt, podniecony już zbrodnią, czuł się głodny włóczegostwa, tak podobnego do mojego włóczenia się tej nocy. Magnetycznie ciągnęło mnie tam, pugilares z ukradzionemi pieniędzmi palił mnie na piersiach, kiedy czułem tam naprzeciw nareszcie żywe istoty, — coś miękkiego, oddychającego, mówiącego, — które od innych istot, może i ode mnie czegoś żądały, ode mnie, który tylko czekał na to, żeby się oddać, który spalał się w szalonym pożądaniu. I naraz zrozumiałem, że tylko ta gorączka krwi jest raczej najczęściej bojaźnią przed samotnością, przed tą straszną obcością. Przypomniałem sobie, kiedy po raz ostatni doznałem niewyraźnie tego uczucia: było to w Anglii, w Manchester, w jednym z tych stalowych miast, w których na tle ciemnego nieba

huczy ciągle zgiełk, a które jednakże wydzielają jakiś mróz samotności, wciskający się przez pory aż do krwi. Bawiłem tam przez trzy tygodnie u krewnych, wieczorami zawsze sam, włączając się po klubach i barach i wracając znowu do błyszczącego music - hall'u, tylko dlatego, żeby odczuć trochę ludzkiego ciepła. Pewnego wieczoru spotkałem tam taką istotę, której angielski, uliczny żargon ledwie rozumiałem, ale naraz znalazłem się w czymś pokoju, piłem śmiech z obcych ust, tuliłem do siebie miękkie, gorące ciało. I oto nagle zimne, czarne miasto, ciemne, hałaśliwe środowisko stopiło się, jakaś istota, której przedtem nie znałem, która stała na ulicy i czekała na każdego przechodzącego oswobodziła mnie: oddychałem znowu swobodnie i czułem pośród tego stalowego więzienia jasność życia. Jak cudowną była dla samotnych, dla zamkniętych w sobie ta świadomość, że istnieje jakaś podpora, której mogą się w bojaźni ucześcić, choćby podpora ta była zabrudzona skutkiem licznych dotknięć, zbutwiała ze starości, zżarta trującą rdzą. A właśnie o tem, właśnie o tem zapomniałem w chwili najgłębszej samotności, z jakiej wyostałem się tej nocy, zapomniałem, że gdzieś czekają owe ostatnie istoty na to, by przyjąć w siebie każde oddanie się, by każdemu opuszczeniu dać odpocząć na swem łonie, by każdą gorączkę ochłodzić za sumę pieniędzy, która jest zawsze za mała w porównaniu z tem olbrzymiem dobrodziejstwem, jakie wyświadczają swą wieczną gotowością ofiary, ofiarowaniem każdemu wielkiego daru swej ludzkiej obecności. —

Koło mnie zagrała znowu katarynka. Ostatni kawałek, ostatnia fanfara światła, kręcącego się w cieniach nocy, zanim niedziela przejdzie w powszednie dnię tygodnia. Ale już nikt nie przychodził, konie biegały same w szalonym kole, zmęczona kobieta przy kasie składała i liczyła całodzienny zarobek, a chłopiec usługujący stał w pogotowiu, by po ostatnim „kawalku” zatrzasnąć okiennice i zamknąć budę. Tylko ja sam jeden stałem jeszcze, oparty o słup i patrzyłem na pusty plac, gdzie tylko przemykały się owe postacie, podobne do nietoperzy, tak samo szukające, jak ja i tak samo czekające, a jednak była między nami trudna do przebycia obcość. Teraz musiała jedna z nich spostrzec mnie, bo przybliżyła się pomału, widziałem ją blisko z pod spuszczonej powiek: drobne, ułomne, rachityczne stworzenie bez kapelusza, w sukni bez gustu, z pod której wyglądały zniszczone balowe pantofle, wszystko kupione widocznie na „tandencie”, zgiecione, pomięte. Przybliżyła się i stanęła koło mnie, rzucając spojrzenie, jak wędkę, z zapraszającym uśmiechem, który odkrywał jej zepsute zęby. Zabrakło mi oddechu: nie byłem w stanie ani się ruszyć ani popatrzeć na nią, a jednak nie mogłem się stąd oderwać, czułem, jak w hypnozie, że jakiś człowiek krążył koło mnie pożądliwie, że ktoś się o mnie starał, że wreszcie, jeżeli zechce, przestane być sam. Ale nie byłem w stanie się ruszyć, byłem z drewna, o które się opierałem, czułem ciągle — podczas kiedy melodia z karuzeli cichła już ze zmęczenia — bliskość jej woli, która się o mnie starała, i przymknęłem oczy na chwilę, żeby od-

czuć w całej pełni to magnetyczne przyciąganie jakiejś ludzkiej istoty. Kręcąca się karuzela zatrzymała się, melodia walca wydała ostatnie jęczące tchnienie. Podniosłem oczy i zobaczyłem jeszcze, jak postać obok mnie właśnie się odwróciła. Widocznie znudziło ją czekanie na taką drewnianą lalę. Przestraszyłem się. Zrobiło mi się całkiem zimno. Dlaczego dałem jej odejść, tej jedynej ludzkiej istocie, która w ową fantastyczną noc sama się do mnie zbliżyła i była gotowa mi się oddać? Pozamną gasły światła, z trzaskiem zamykano budę. Już był koniec. I nagle — ach, jakże mam teraz opisać ów gorący, gwałtownie powstający wir? — nagle — to przyszło tak gwałtownie, tak gorąco, jakgdyby mi jakaś żyła pękła w piersiach — nagle ze mnie, człowieka dumnego, wyniosłego, uzbrojonego w chłodną, towarzyską godność, wybuchnęło, jak niema modlitwa, jak kurcz, jak krzyk, to dziecinne a dla mnie tak niesłychane życzenie, — żeby ta mała, brudna, rachityczna dziewczka zechciała jeszcze raz zwrócić głowę w moją stronę, tak, żebym mógł do niej przemówić. Bo nie byłem za dumny, żeby pójść za nią — moja duma była podeptana, stratowana, splukana nowymi uczuciami — ale byłem zanadto słaby, zanadto bezradny. I stałem tak, drżący i wzburzony, sam, pod tym męczeńskim palem ciemności, czekając, jak nigdy dotąd nie czekałem od lat chłopiących... Raz tylko — pamiętam — stałem wieczorem przed jakimś oknem, patrząc, jak się jakaś kobieta pomału zaczyna rozbierać i ciągle z tem zwleka i nie przeczuwając, pozosta-

je w częściowem obnażeniu, — stałem, prosząc Boga jakimś mnie samemu nieznanym głosem o cud, żeby to ułomne stworzenie, ta ostatnia szumowina ludzkości jeszcze raz spróbowała zwrócić się do mnie, jeszcze raz obdarzyć mnie spojrzeniem.

I — odwróciła się. Jeszcze raz obejrzała się. Ale musiałem drgnąć tak silnie i uczucia tak się musiały skupić w moim wzroku, że obserwując mnie, popatrzyła na mnie w ciemności, uśmiechnęła się i skinęła głową zapraszająco ku zacienionej stronie placu. I nareszcie poczułem, że ten okropny stan martwoty ustępował ze mnie. Mogłem się znowu ruszać i skinąłem jej głową potakująco.

Niewidzialny układ był zawarty. Szła teraz naprzód przez pusty plac, oglądając się od czasu do czasu, czy idę za nią. A ja szedłem: ołowiany ciężar opadł już z moich kolan, mogłem znowu swobodnie poruszać nogami, magnetycznie pchało mnie naprzód, szedłem nie świadomie, tylko płynąłem niejako za nią, przyciągany tajemniczą siłą. W cieniu ulicy, między budami zwolniła kroku. Stałem obok niej.

Popatrzyła na mnie przez kilka sekund badawczo i niedowierzająco, coś jej odbierało odwagę. Wiadocznie moje dziwne, nieśmiałe zachowanie się, kontrast między tem miejscem a moją elegancją wydawały się jej cokolwiek podejrzane. Obejrzała się parę razy, zawahała się. Potem powiedziała, wskakując na przedłużenie ulicy, czarnej jak głębia kopalni:



— Idźmy tam wgląb, za cyrkiem jest całkiem ciemno.

Nie byłem w stanie jej odpowiedzieć. Okropna ordynarność tego spotkania oszołomiła mnie. Najchętniej byłbym uciekł, wykupił się pieniędzmi, jakąś wymówką, ale moja wola nie miała już żadnej mocy nademną. Miałem takie uczucie, jak na saneczkach, kiedy na zakręcie z szaloną szybkością leci się w dół ze stromego, zaśnieżonego wzgórza, i uczucie trwogi przed śmiercią miesza się jakoś rozkosznie z upojeniem szybkością, i zamiast hamować, pędzi się wdół bez woli. Nie mogłem się już cofnąć, a może i nie chciałem, a teraz, kiedy z zaufaniem przycisnęła się do mnie, wziąłem ją mimowoli za ramię, Było to bardzo chude ramię, nie ramię kobiety, ale raczej ramię skrofolicznego dziecka, i zaledwie dotknąłem go przez cienką materję płaszczyka, poczułem współczucie dla tego nędznego, zdeptanego kawałka życia, który ta noc skierowała w moją stronę. I mimowoli moje palce pieściły jej słabe, chorowite ramiona tak wstydliwie i z takim szacunkiem, jak jeszcze nigdy w ten sposób nie dotykałem kobiety.

Przeszliśmy przez słabo oświetloną ulicę i weszliśmy w zarośla, gdzie pod potężnymi konarami drzew duszno było i ciemno. W tej chwili zauważyłem, że— choć już prawie nie można było rozpoznać żadnych konturów — moja towarzyszka, nie puszczając mego ramienia, obróciła się, a o parę kroków dalej, jeszcze raz. — I dziwna rzecz: podczas kiedy ja w oszołomieniu staczałem się w tę brudną awanturę, moje zmysły były jednak

strasznie czujne i jasne. Z jasnowiedzeniem, któremu nic nie uszło, które każdy ruch wchłaniało świadomie w siebie, zauważyłem, że w tyle, na brzegu drogi, przez którą przeszliśmy, coś, jakby cień, sunęło za nami i zdawało mi się, jakbym słyszał jakiś skradający się krok. I nagle — jak błyskawica, która z trzaskiem oświetla krajobraz, przeszła mnie myśl: — rozumiałem wszystko: miałem tu być zwabiony w pułapkę, kochankowie tej prostytutki czatowali na nas, a ona ciągnęła mnie w ciemność na umówione miejsce, gdzie miałem stać się ich łupem. Z nadziejskim jasnowiedzeniem, jakie się ma tylko w ciągu kilku sekund między życiem a śmiercią ujrzałem wszystko, przemyślałem każdą możliwość. Jeszcze był czas do ratowania się, główna ulica musiała być niedaleko, bo słyszałem stamtąd zgrzyt elektrycznego tramwaju, jadącego po szynach; jeden okrzyk, jedno gwizdnięcie mogło ściągnąć ludzi; wszystkie możliwości ucieczki, ratunku, zabłysły we mnie w ostro zarysowanych obrazach.

Ale dziwna rzecz! — to przerażające zrozumienie sytuacji nie ochłodziło, przeciwnie, podnieciło mnie tylko. Dzisiaj, na jawie, w jasnym świetle jesiennego dnia, nie mogę sam sobie całkiem jasno wytłumaczyć mego dziwaczного zachowania się wówczas: czułem, czułem odrazu każdym nerwem mojej istoty, że niepotrzebnie narażałem się na niebezpieczeństwo, którego przecucie drgało w moich nerwach. Przeczułem coś przykrego: napad, może zabójstwo. Drżałem ze wstrętu, że mogę tu być wmieszany w jakąś zbrodnię, w jakąś

pospolitą, brudną awanturę, ale właśnie dla tego, nigdy niezazanego, nigdy nieprzeczuwanego upojenia nawet śmierć była jeszcze czemś zaciękawiającem. Coś — czy to wstyd przed okazaniem trwogi, czy też słabość — coś pchało mnie naprzód. Coś mnie podniecało, by zstąpić do ostatniej kloaki życia, w ciągu jednego dnia przegrać, przetrwonąć dorobek całej mojej przeszłości. Dzika rozkosz umysłu mieszała się z pospolitą rozkoszą tej przygody. I pomimo, że wszystkiemi nerwami wietrzyłem niebezpieczeństwo i ujmowałem je jasno rozumem, szedłem dalej w zarośla pod rękę z tą brudną praterową dziewczką — dziewczką, która mnie fizycznie bardziej odtrącała, niż nęciła i o której wiedziałem, że ciągnie mnie tu tylko dla swych kamratów. Ale nie byłem w stanie się cofnąć. Siła ciężkości tego zbrodniczego czynu, która się do mnie przyczepiła popołudniu, podczas owej przygody na wyścigach, rwała mnie dalej w dół. I czułem już tylko oszołomienie, odurzenie upadku w nowe przepaści, a może i w ostatnią: w śmierć.

Po kilku krokach moja towarzyszka stanęła. Znowu rozbiegał się jej wzrok niespokojnie wokoło. Potem popatrzyła na mnie z oczekiwaniem:

— No — a ile dostanę?

Ach, tak. O tem zapomniałem. Ale to pytanie nie otrzeźwiło mnie. Przeciwnie. Byłem taki szczęśliwy, że mogłem darować, dać, roztrwonąć — szybko sięgnąłem do kieszeni, wysypałem jej w otwartą rękę wszystko srebro i kilka zmiętych banknotów. I teraz stało się coś tak dziwnego, że dziś jeszcze, kiedy o tem myślę, czuję gorączkę we krwi: albo

to biedne stworzenie było zdumione wysokością otrzymanej sumy — była pewnie przyzwyczajona tylko do drobnej monety za swoje brudne usługi — albo może sposób, w jaki jej dałem te pieniądze, radosny, prawie uszczęśliwiony pośpiech, był dla niej czemś tak niezwykłym, tak nowem, że cofnęła się i poczułem w tej gęstej ciemności, jak jej wzrok mnie szukał z widocznem zdumieniem. Doznałem narzeczcie tego wrażenia, którego mi tak brakowało tego wieczora: ktoś mnie szukał, po raz pierwszy żyłem dla kogoś na tym świecie. I że właśnie ta najniżej upadła istota, ta istota, która swoje biedne, zniszczone ciało obnosiła w ciemności na sprzedaż, jak towar, i która, nie patrząc nawet na kupującego, przysunęła się do mnie i podnosiła wzrok, szukający człowieka we mnie — to spotęgowało tylko jeszcze moje osobliwe upojenie, jasnowidzące a jednocześnie zmacone, świadome a roztopione w magicznem oczarowaniu. I przycisnęła się bliżej do mnie, ale teraz nie w celu spełnienia zapłaconego obowiązku, tylko jak mi się zdawało, z jakąś nieświadomą wdzięcznością, z kobiecą ochotą zbliżenia się. Chwyciłem ją lekko za rękę, chudą, rachityczną rękę dziecka, poczułem obok siebie jej drobne, ułomne ciało i zobaczyłem jak w jasnowidzeniu całe jej życie: wynajęte brudne legowisko w jakiejś przedmiejskiej ruderze, gdzie spała od rana od południa wśród obcych ludzi, widziałem jej kochanka, jak ją dusił, pijanych, którzy się w ciemności na nią rzucali, ten oddział w szpitalu, do którego ją przynieśli, salę uniwersytetu, gdzie pokazano jej zniszczone ciało, obna-

żone i chore, jako przedmiot nauki, młodym i bezczelnym studentom, a potem, jej śmierć w „miejscu urodzenia”, dokąd ją odstawiono i gdzie jej pozwolą zdechnąć, jak zwierzęciu. Opanowało mnie nieskończone współczucie dla nich wszystkich, była to tylko ciepła czułość, bynajmniej nie żadna zmysłowość. Raz po raz głaskałem jej drobne wychudzone ramię. A potem schyliłem się i pocałowałem zdumioną dziewczynę...

W tej chwili usłyszałem jakiś szmer. Jakaś gałąź zatrzeszczała. Skoczyłem w tył. I usłyszałem szeroki ordynarny śmiech mężczyzny:

— Patrzaj no go! Ja sobie zaraz myślałem, że to tak!...

Jeszcze zanim ich zobaczyłem, wiedziałem już co to za jedni. Ani na sekundę nie zapomniałem, że dybano na mnie, ba, nawet tajemnie rozbudzona ciekawość we mnie oczekiwała ich. Jakaś postać wynurzyła się teraz z zarośli, a za nią druga: zdziwale łobuzy, występujący bezczelnie. Znowu taki sam prostacki śmiech:

— To dopiero hrabia, żeby tu świństwa wyprawiać! Fajny kawaler! Ale teraz nie puścimy go!

Stałem bez ruchu. Krew pulsowała mi w skroniach. Nie czułem bynajmniej strachu. Czekałem tylko, co się dalej stanie. Teraz byłem nareszcie na dnie, w ostatniej przepaści ludzkiego poniżenia!... Teraz musi przyjść wstrząśnienie, rozbitcie, koniec, do którego pędziłem napół świadomie.

Dziewczyna odskoczyła odemnie, ale jednak nie zbliżała się do nich. Stała gdzieś pośrodku: widocznie ten przygotowany napad jednak nie był

jej przyjemny. Łotrzyki czekali, a ja się nie ruszałem. Patrzyli na siebie, widocznie oczekiwali z mej strony jakiejś opozycji, jakiejś prośby, jakiejś groźby, jakiejś trwogi.

— Aha, nic nie gada — zawołał nareszcie jeden z nich groźnie.

A drugi przystąpił do mnie i powiedział rozkazującym tonem:

— Pan musi pójść z nami do komisarjatu.

Ciągle jeszcze nie odpowiadałem. Wtedy jeden z nich położył mi rękę na ramieniu, popchnął mnie naprzód i powiedział:

— Naprzód, marsz!

Poszedłem. Nie broniłem się, bo nie chciałem się bronić. Podobało mi się to, co było niesłychane, ordynarne, niebezpieczne. Mój mózg był całkiem jasny, wiedziałem, że łobuzy więcej się bali policji, aniżeli ja, że mogłem się wykupić kilkoma koronami, — ale chciałem zakosztować całej głębi tej okropności, używałem tego świadomego poniżenia, nie broniąc się z rozmysłem.

Bez pośpiechu poszedłem w stronę, w którą mnie popchnęli. Ale to właśnie, że tak cierpliwie milcząc szedłem w kierunku światła, widocznie zbijało z tropu tych hultajów. Szeptali po cichu. Potem zaczęli znowu, może naumyślnie mówić ze sobą głośno.

— Puść go — powiedział jeden z nich, mały, ospowaty, ale drugi odpowiedział z pozorną surowością:

— Nie, tak nie idzie. Jeśli coś takiego zdarzy się któremuś z nas, który nie ma co jeść, to go

wsadzają do kozy. Ale taki fajny kawaler — za to musi być kara!

A ja słyszałem każde słowo i rozumiałem dobrze ich niezręczną prośbę, żebym rozpoczął z nimi jakęś rokowania; zbrodniarz we mnie rozumiał zbrodniarza w nich, rozumiał, że chcieli mnie dręczyć obawą, a ja ich dręczyłem moją uległością. Była to niema walka między nimi a mną i—o, jak dziwną była ta noc! — czułem wpośród śmiertelnego niebezpieczeństwa, tu, w cuchnącej gęstwinie praterowej łąki, między łotrami i dziewczką, po raz drugi od dwunastu godzin szalony urok gry, ale teraz już o najwyższą stawkę, o moją całą obywatelską egzystencję, ba, nawet o moje życie! I oddawałem się tej potwornej grze, tej magji przypadku, z całą naprężoną siłą nerwów.

— Aha, tam już stoi policjant — powiedział za mną jeden głos — tam fajny kawaler nie będzie się miał z czego cieszyć, najmniej tydzień przesiedzi w areszcie.

Miało to brzmieć złowieszczo i groźnie, ale ja słyszałem wahającą niepewność w jego głosie. Spokojnie szedłem w stronę światła, gdzie rzeczywiście błyszczał hełm policjanta. Jeszcze dwadzieścia kroków, a będę musiał stać przed nim. Łotrzy przestali mówić ze sobą; zauważyłem, że szli coraz wolniej, za chwilę będę musieli tchórzliwie zanurzyć się napowrót w ciemność, w swój świat, rozgoryczeni, że im się manewr nie udał i może złość swą wyładują na tę biedaczkę. Gra była skończona — znowu po raz drugi wygrałem, znowu zniweczyłem drugiemu, obcemu, nieznanemu

człowiekowi jego zły zamiar. Już zamigotał zdaleka blady krąg światła latarni; i kiedy się teraz obróciłem, popatrzyłem po raz pierwszy w oczy moim prześladowcom — w ich niepewnym wzroku malowało się rozgoryczenie i jakieś pokorne zawstydzenie. Przystanęli, przygnębieni i rozczarowani, gotowi uciec napowrót w ciemność. Bo ich moc się skończyła, teraz ja byłem tym, którego oni się bali.

W tej chwili — było mi tak, jakby wewnętrzna fermentacja zerwała we mnie wszystkie zapory i jakby gorące uczucie przechodziło w moją krew — ucułem takie nieskończone, *braterskie* współczucie dla tych dwóch ludzi. Czegoż właściwie żądali odemnie, ci głodni biedacy w łachmanach, odemnie, sytego pasożyta? Kilku koron, kilku nędznych koron! Mogli mnie byli tam w ciemności dusić, obrabować, zabić i nie uczynili tego, próbowali tylko w nieudolny, niezręczny sposób nastraszyć mnie, dla zyskania tych drobnych srebrnych monet, które leżały w mojej kieszeni! Jakże wobec tego śmiałem jeszcze dręczyć tych biedaków, ja, złodziej dla kaprysu, z bezczelności, zbrodniarz dla rozkoszy nerwów? I z nieskończonym współczuciem mieszał się nieskończony wstyd, że dla dogodzenia mojej rozkoszy bawiłem się jeszcze ich trwogą, ich niecierpliwością. — Opamiętałem się teraz, właśnie teraz, skoro byłem już zabezpieczony, skoro mnie już chroniło światło bliskiej ulicy, teraz musiałem zastosować się do ich woli, i zamienić w radość rozczarowanie w ich zgorzkniałych, głodnych oczach.



Zwróciłem się nagle do jednego z nich.

— Dlaczego chcecie zrobić doniesienie na mnie?

— spytałem i starałem się oddać w moim głosie zduszony oddech trwogi — co wam z tego przyjdzie? Może mnie zamkną a może i nie. Ale wam to przecież nie przyniesie żadnej korzyści. Dlaczego chcecie mi zepsuć życie?

Obydwoj wytrzeszczyli na mnie oczy, zmieszani. Wszystkiego oczekiwali prędzej; krzyku, pogroźek, pod których wpływem byliby się usunęli, jak warczące psy — tylko nie takiej uległości. Wkońcu jeden z nich powiedział, ale już nie grożąc, tylko niejako tłómacząc się:

— Sprawiedliwość musi być. My spełniamy tylko nasz obowiązek.

Słowa te były widocznie przygotowane na tego rodzaju wypadki. A jednak brzmiało to jakoś fałszywie. Żaden z nich nie miał odwagi popatrzeć mi w oczy. Czekali. A ja wiedziałem, na co czekają. Że będę żebrał o ich łaskę. I że im ofiaruję pieniądze.

Wiem wszystko, co się działo podczas tych kilku sekund. Czuję każdy nerw, który drgał we mnie, każdą myśl, która mi ciążyła pod skronią. I wiem, do czego moja zła wola dążyła wtedy przede wszystkim: dać im czekać, męczyć ich jeszcze dłużej, wykosztować całą rozkosz tego ich przetrzymania. Ale szybko opanowałem się. Zacząłem prosić, bo wiedziałem, że muszę nareszcie rozproszyc ich obawę. Zacząłem grać komedję bojaźni, prosić ich o litość, prosiłem, żeby milczeli, żeby

mnie nie unieszczęśliwili. Spostrzegłem, jak byli zaambarasowani ci biedni dyletanci szantażu, i jak milczenie między nami słabło. Wtedy nareszcie powiedziałem to słowo, którego łaknęli tak długo.

— Dam wam... sto koron.

Wszyscy drgnęli i popatrzyli na siebie. Tak wiele nie oczekiwali już teraz, kiedy wszystko było przecież dla nich stracone. Wkońcu ten ospowaty z niespokojnem wejrzeniem opamiętał się. Dwa razy zaczynał mówić, ale słowa nie chciały mu wyjść z gardła — i czułem, jak się przytem wstydzi:

— Dwieście...

— Ależ, dajcie pokój — wmieszała się teraz nagle dziewczyna — ciescie się, jeżeli wam wogóle coś da. On przecież nic nie zrobił, zaledwie że mnie dotknął. Tego już naprawdę za wiele!

I naprawdę rozgoryczona krzyknęła im to w twarz. A mnie serce biło. Ktoś się nademną litował, ktoś za mną przemawiał, z podłości rodziła się dobroć, z wymuszenia powstawało jakieś poczucie sprawiedliwości. Jakie to było dobrodziejstwo, jak odpowiadało przedziwnie wezbranym uczuciom we mnie! Nie, teraz nie można już bawić się dłużej tymi ludźmi, nie można dręczyć ich w obawie i wstydzie. Dosyć! Dosyć!

— Dobrze, zatem dwieście koron.

Umilkli wszyscy. Wyjąłem pugilares. Pomału, całkiem jawnie otworzyłem go i trzymałem go w rękach. Jednym ruchem byliby mogli mi go wydrzeć i uciec napowrót w ciemność. Ale patrzyli

bojaźliwie w bok. Był między nami jakiś tajemniczy związek, już nie walka i gra, ale jakiś stan prawa, zaufania, jakiś ludzki stosunek. Wyciągnąłem obydwie banknoty z ukradzonej paczki i podałem je jednemu z nich.

— Dziękuję panu — powiedział mimowoli i odwrócił się. Widocznie czuł sam, jak śmiesznem jest dziękować za wymuszone pieniądze. Wstydił się, a ów wstyd — ach, jak dokładnie czułem wszystko podczas tej nocy! — gnębił mnie. Nie chciałem, żeby się ktoś mnie wstydił, mnie, który byłem równy jemu, złodziej tak samo, jak on. Jego upokorzenie dręczyło mnie i chciałem go od tego uwolnić. Broniełem się więc przed jego podziękowaniem.

— To ja muszę wam podziękować — powiedziałem i dziwiłem się sam, ile prawdziwej serdeczności brzmiało w moim głosie. — Gdybyście byli zrobili doniesienie na mnie, byłbym zgubiony. Byłbym się musiał zastrzelić, a wam nicby nie było przyszło z tego. Tak jest lepiej. Ja pójdę teraz tam na prawo, a wy może idźcie na lewo. Dobranoc.

Milczeli znowu przez jakąś chwilę. Potem jeden z nich powiedział:

— Dobranoc.

Potem odszedł drugi, a wkońcu dziewczyna, która przez cały czas pozostawała w cieniu. To pożegnanie miało w sobie ciepły, serdeczny dźwięk, jak rzeczywiste życzenie. Po ich głosach poznałem, że mnie lubili gdzieś tam w ciemnej głębi swej istoty i że tej dziwnej chwili nigdy nie zapomną. Przyjdzie im znów kiedyś na myśl w więzieniu, albo w szpitalu, coś ze mnie żyło dalej w nich, ja

im coś dałem. I ta rozkosz dawania wypełniała mnie, jak nigdy jeszcze żadne inne uczucie.

Szedłem sam nocą w kierunku wyjścia z Prateru. Kamień mi spadł z serca, czułem, jak wypływałem w nieskończony świat z nigdy niezaznaną pełnią uczucia. Wszystko odczuwałem, jak gdyby żyło tylko dla mnie, a sam czułem się połączony ze wszystkim. Czarne drzewa stały wokół mnie, szumiały cudnie, kochałem je. Gwiazdy świeciły z góry, uśmiechałem się do nich. Skądś brzmiały śpiewające głosy, a mnie się zdawało, że śpiewają dla mnie. Wszystko należało do mnie, od chwili kiedy rozbiłem skorupę, otaczającą moją pierś i radość dawania, rozkosz trwonienia, wzrasta we mnie i łączyła mnie ze wszystkim. O, jak łatwo jest stwarzać radość i samemu weselić się z tej radości: trzeba tylko otworzyć w sobie zapory szczerości, a od razu płynie już od człowieka prąd, spada z wysokości do nizin, pieni się w głębi znowu w górę, w nieskończoność.

Przy wyjściu z Prateru zobaczyłem obok przystanku dorożek jakąś przekupkę, zmęczoną, zgarbioną nad małym kramem. Miała w koszu ciastka, spleśniałe od kurzu i trochę owoców, musiała tu już tak siedzieć od rana, pochylona nad temi kilkoma halierzami, i zmorzyło ją zmęczenie. — Dlaczego nie masz i ty się cieszyć, — pomyślałem — skoro ja się cieszę? Wziąłem kawałek jakiegoś sucharka i podałem jej banknot. Chciała go z pośpiechem zmienić, ale ja już odszedłem i widziałem jeszcze tylko, jak się przelękła z radości, jak zgarbiona postać jej naraz się wyprostowała i tylko z otwar-

tych ze zdumienia ust posypało się naraz tysiąc życzeń. Z sucharkiem w palcach zbliżyłem się do konia, który stał zmęczony przy dyszlu, ale już obrócił głowę do mnie i parsknął wesoło. Także i w jego przygnębionych oczach zaświeciła radość, pogłaskałem jego różowe nozdrza i podałem mu sucharek. I zaledwie to uczyniłem, pragnąłem uczynić jeszcze więcej: jeszcze więcej stwarzać radości, jeszcze silniej odczuwać, że wszak można kilkoma srebrnymi monetami, kilkoma kolorowymi papierkami rozproszyc obawę, zabić troskę, rozpalić wesołość. Dlaczego nie było tu żebraków? Dlaczego nie było dzieci, pragnących balonów, które w grubych pękach na wielu sznurkach nosi do domu mrukliwy, siwy dziad o kulach, rozczarowany źle idącym interesem podczas długiego, upalnego dnia? Przystąpiłem do niego:

— Daj mi te balony.

— Sztuka dziesięć halerzy — powiedział z niedowierzaniem, bo co chciał robić teraz o północy elegancki próżniak z kolorowymi balonami?

— Daj mi wszystkie — powiedziałem i podałem mu dziesięć koron.

Zatoczył się, popatrzył na mnie olśniony, potem dał mi drżąc, sznur, trzymający wszystkie balony razem. Czuję, jak silnie ciągnęły mój palec do góry; chciały odlecieć, chciały być wolne, chciały się dostać do nieba. Więc idźcie, idźcie, gdzie chcecie, jesteście wolne! Puściłem sznurki — balony, jak wiele barwnych księżyców podniosły się w górę. Ze wszystkich stron przybiegali ludzie i śmiali się, z ciemności wynurzały się parki, furmani na

kozłach trzaskali z bicza i nawołując się nawzajem, pokazywali palcami, jak teraz te oswobodzone kule przeciągały ponad drzewami ku domom i dachom. Wszyscy spoglądali na siebie wesoło i śmieli się z mego figla.

Dlaczego nigdy dotąd nie wiedziałem, jak łatwo i dobrze jest stwarzać radość! Naraz zapiekły mnie znowu w pugilaresie owe skradzione banknoty, drgały mi w palcach, tak jak przedtem sznurki balonów. I one także chciały odlecieć gdzieś ode mnie. Więc wziąłem je, i te ukradzione Lajosowi, i moje własne, bo już nie odczuwałem żadnej różnicy, — wziąłem je w palce, gotów rzucić każdemu, kto zechce. Przystąpiłem do zamiatacza ulic, który zły zamiatał opustoszałą Praterstrasse. Myślał, że chce go spytać o jakąś ulicę i popatrzył na mnie ponuro; uśmiechnąłem się do niego i podałem mu papierek dwudziestokoronowy. Patrzył, nie pojmując, potem wziął go nareszcie i czekał, czego od niego zażądam. A ja się tylko uśmiechnąłem od niego, powiedziałem:

— Kup sobie za to coś dobrego — i poszedłem dalej.

Rozglądałem się na wszystkie strony, czy kto nie chciał czegoś odemnie, a ponieważ nikt nie przychodził, sam ofiarowałem: prostytutce, która mnie zaczepiła, darowałem jeden banknot, dwa — chłopcu, gaszącemu latarnie, jeden wrzuciłem do otwartego okienka jakiejś pustej piekarni w suterynie, i szedłem tak dalej i dalej, zostawiając za sobą, jak okręt spienioną wodę, zdziwienie, podziękowanie, radość. Wkońcu rzucałem je pojedyncze i mięte

wprost na ulicę, na schody kościoła, i cieszyłem się myślą, że jakaś staruszka, idąc na ranne nabożeństwo, znajdzie takich sto koron i będzie błogosławiła imię Boże, że jakiś biedny student, jakaś dziewczyna ze sklepu, jakiś robotnik, ze zdziwieniem, uszczęśliwieni, odkryją na drodze pieniądze. podobnie, jak ja sam ze zdziwieniem i uszczęśliwiony odkryłem sam siebie.

Nie mogłem już powiedzieć, gdzie i w jaki sposób rozrzuciłem wszystkie banknoty, a wkońcu i moje własne srebrne pieniądze. Było we mnie jakieś oszołomienie, a kiedy ostatnie papierki odleciały, czułem lekkość tak jak gdybym mógł wzlecieć w górę, swobodę, jakiej nigdy nie znałem. Ulica, niebo, domy, wszystko spływało razem we mnie w nowem uczuciu posiadania, należenia do siebie: nigdy, nawet w najgorętszych chwilach mego życia, nie odczuwałem tak silnie tego, że wszystkie te rzeczy istniały naprawdę, że one żyły i że ja żyłem i że ich życie i moje życie to było jedno i to samo, to wielkie, olbrzymie, nigdy dostatecznie nie odczuwane życie, szczęście, które tylko miłość jest w stanie pojąć.

Potem przyszła jeszcze jedna smutna chwila: kiedy, wróciwszy szczęśliwie do domu, wsadziłem klucz do zamku w moich drzwiach, i korytarz, prowadzący do moich pokojów, otworzył się przedemną. Wtedy nagle napadła mnie trwoga, że wracam teraz do mego dawnego życia, skoro wchodzę do mieszkania tego człowieka, jakim byłem aż do tej chwili, skoro kładę się do jego łóżka, skoro nawiązuję na nowo stosunek z tem wszystkim, co

dzisiejsza noc tak pięknie zniszczyła we mnie. Nie, aby tylko nie stać się napowrót tym samym poprawnym, zimnym, nieodczuwającym świata dżentelmenem, jakim byłem wczoraj i dawniej, raczej zapaść się we wszystkie głębiny zbrodni i okropności, ale jednak w prawdę życia... Byłem zmęczony, niewypowiedzianie zmęczony, a jednak bałem się, że zagasną we mnie wszystkie gorące, żywe uczucia, które ta noc rozpałała we mnie, i to wszystko stanie się tylko ulotnem i nieutralonem przeżyciem, jak jakiś sen fantastyczny.

Ale na drugi dzień zbudziłem się wesoly, i nic nie ubyło we mnie z owego płynącego wdzięcznie uczucia. Od tego czasu minęło już cztery miesiące, ale dawna martwota nie powróciła, kwitnę jeszcze ciągle, raduję się każdym rozpoczynającym się dniem. To magiczne upojenie, odkąd naraz straciłem grunt świata pod nogami, odkąd spadłem w nieznaną głębie, i przy tem spadaniu w przepaść czułem odurzony zawrotną szybkość, — owa gorączka ustąpiła naturalnie, ale od tej chwili czuję z każdym tchnieniem własną, gorącą krew, i czuję odnawiającą się codziennie rozkosz życia. Wiem, że stałem się innym człowiekiem, obdarzonym innymi zmysłami, inną wrażliwością i o wiele silniejszą świadomością. Nie śmiem naturalnie twierdzić, że stałem się lepszy; wiem tylko, że jestem szczęśliwszy, bo znalazłem jakiś cel w mojem wyziębłem życiu, sens, na którego określenie nie znajduję żadnego innego słowa, tylko słowo: życie. Od tego czasu nie zabraniam sobie niczego, bo uważam formy mojego „towarzystwa” za chimeryczne, nie



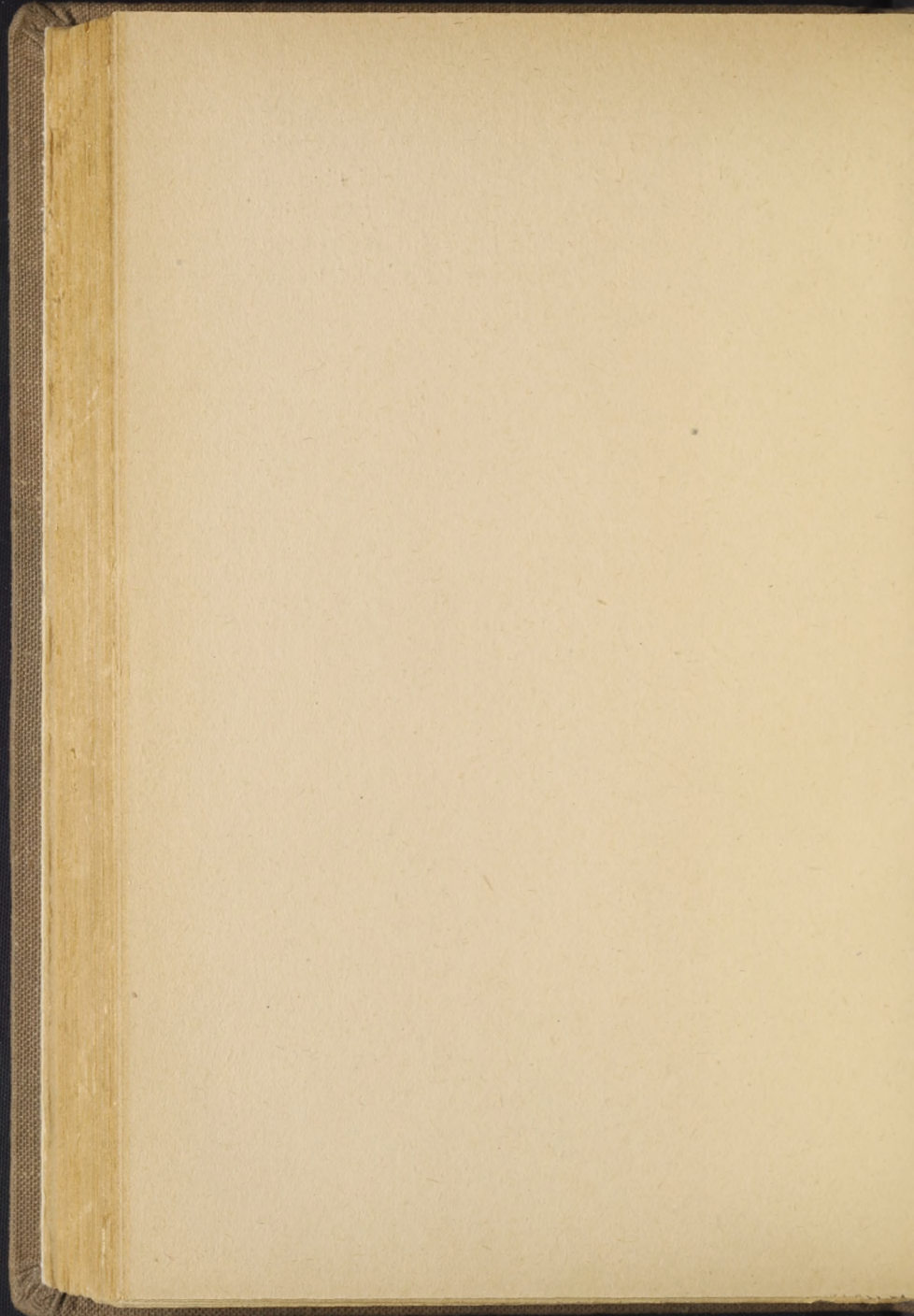
wstydzę się ani innych, ani siebie samego. Słowa, jak honor, zbrodnia, występki, nabrały naraz jakiegoś zimnego, blaszanego dźwięku, nie jestem w stanie wymówić ich bez przerażenia. Żyję, pozwalając sobie żyć, na mocy tej siły, którą wówczas po raz pierwszy tak magicznie odczułem. Dokąd mnie ona pędzi, nie pytam: może w to, co inni nazywają występkiem, — albo może do czego wzniosłego. *Bo wierzę, że tylko taki człowiek żyje naprawdę, któregoś los przeżywa, jako tajemnicę.*

Nigdy jednak — jestem tego pewny — nie kochałem innych goręcej niż teraz, i wiem, że każdy popełnia zbrodnię (jedyną, jaka istnieje), kto jest obojętny dla jakichkolwiek form i kształtów życia. Od czasu, od kiedy zacząłem rozumieć samego siebie, rozumiem także nieskończenie wiele innych rzeczy: łaknące spojrzenie człowieka, stojącego przed jaką wytsawą, przyprawia mnie o wstrząs, skoki psa mogą mnie wprawić w zachwyty. Naraz zwracam uwagę na wszystko, nic nie jest mi obojętne. Czytam w gazecie (w której zajmowały mnie dawniej tylko informacje o rozrywkach i licytacjach), codziennie sto rzeczy, które mnie wzruszają, odkrywam naraz książki, które mnie dawniej nudziły. I co najdziwniejsze: mogę z ludźmi teraz prowadzić rozmowę inną, niż tę, która nazywa się towarzyską konwersacją. Mój służący, który służy u mnie od siedmiu lat, interesuję mnie, rozmawiam z nim często, stróż, obok którego przechodziłem dawniej, jak koło poruszającego się słupa, nie zwracając na niego uwagi, opowiadał mi niedawno o śmierci swojej córki — i to mnie bardziej wzru-

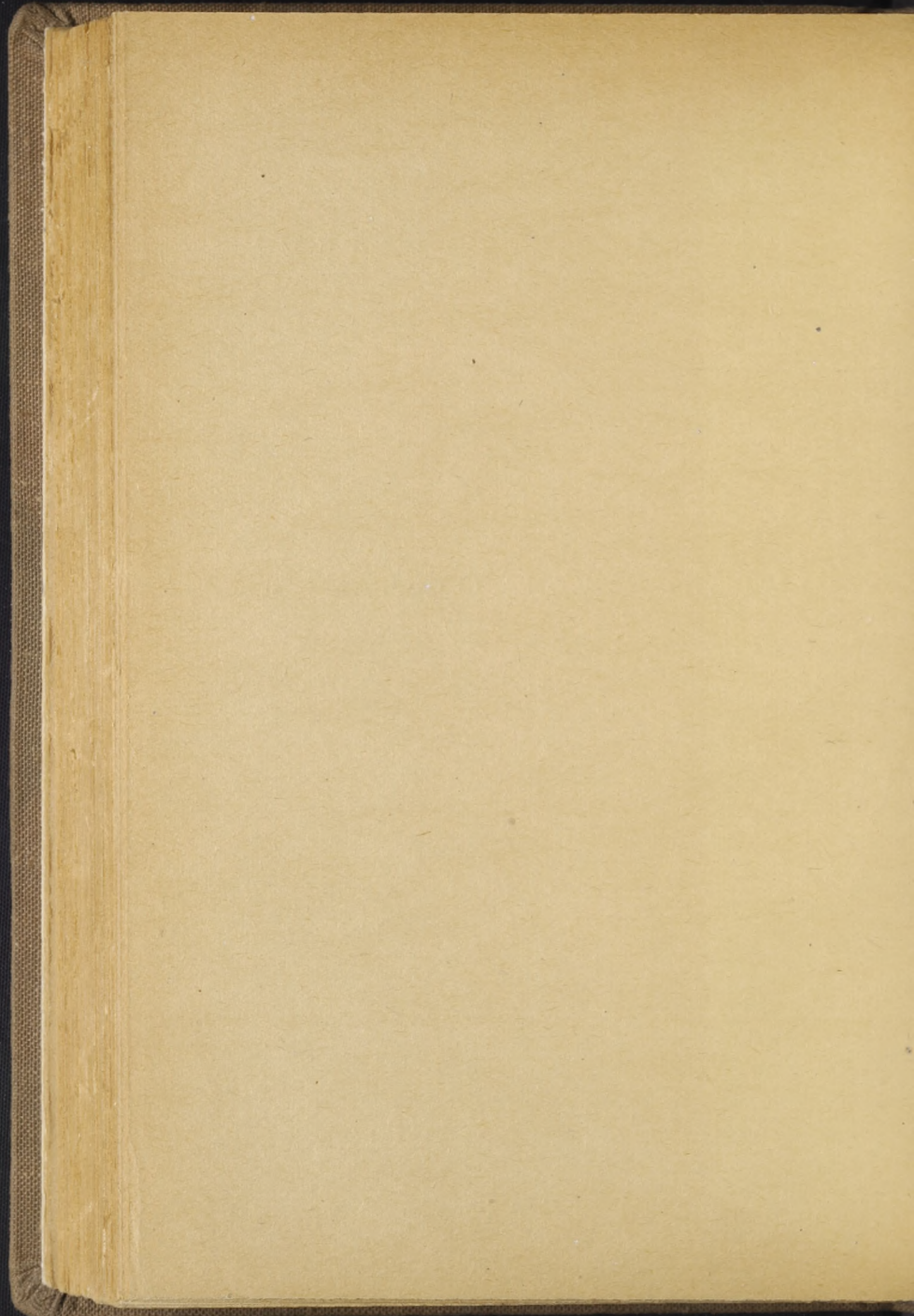
szło, niż tragedje Szekspira. I ta przemiana we mnie — pomimo iż, żeby się nie zdradzić, pędzę dalej życie w dawnych kołach towarzyskich — zaczyna stopniowo stawać się przejrzysta. Niektórzy ludzie są naraz serdeczni dla mnie, po raz trzeci w tym tygodniu przyczepił się do mnie jakiś obcy pies na ulicy. A przyjaciele mówią mi z pewną radością, jak komuś, który przeszedł ciężką chorobę, że znajdują, iż odmłodniałem.

Odmłodniałem? Ja sam wiem przecież, że dopiero teraz zaczynam żyć. Jest to wprawdzie ogólne urojenie, że każdy sobie wyobraża, jakoby to wszystko, co przyszło, było zawsze pomyłką i przygotowaniem, i rozumiem dobrze własną zarozumiałość, kiedy próbuję wziąć zimne pióro do ciepłej, żyjącej ręki, i na suchym papierze wypisywać własne, krwią pulsujące dzieje... Ale choćby to było urojenie, które mnie uszczęśliwia, jest to w każdym razie pierwsze uczucie, które mnie uszczęśliwia pierwsze, która mi rozgrzało krew i oswobodziło zmysły. I jeśli opisuję tu cud mego rozbudzenia, to czynię to jedynie dla siebie samego, który to wszystko głębiej rozumie, niż własne słowa są w stanie wyrazić. Nie mówiłem o tem z żadnym z przyjaciół; wiedzą, jak mi dobrze teraz. A gdyby w to moje życie spadło naraz śmierć, i gdyby te katki wpadły kiedyś w obce ręce, to możliwość ta nie przeraża i nie dręczy mnie bynajmniej. Bo kto sam nie zaznał magji podobnej chwili, nie zrozumie jej nigdy, podobnie, jak ja sam nie byłbym przed pół rokiem rozumiał, iż kilka takich przelotnych i pozornie zaledwie z sobą w

związanych epizodów jednego wieczoru mogą czyjeś już zgasłe zmysły tak rozpalić. Kto jednak ów związek czuje, ten nikogo nie sądzi i nie zna dumy. Jego się nie wstydzę, bo on mnie zrozumie. Kto raz znalazł sam siebie, nie może już nic stracić na tym świecie. A kto raz zrozumiał człowieka w sobie — rozumie wszystkich ludzi.



LIST OD NIEZNAJOMEJ.



Znany literat R., odświeżony trzydniową wycieczką w góry, wracał pewnego dnia wcześniej rano do Wiednia i kupił na dworcu gazetę, — wtem przypomniał sobie, rzuciwszy zaledwie okiem na datę, że dziś jest dzień jego urodzin. Czterdziesty pierwszy rok życia, uprzytomnił sobie prędko, ale stwierdzenie tego faktu nie było dla niego ani przyjemne ani bolesne. Szybko przerzucił szeleszczące kartki gazety i pojechał taksówką do domu. Służący zameldował mu, że w czasie jego nieobecności były dwie wizyty, kilka telefonicznych zapytań, i przyniósł mu na tacy nagromadzoną korespondencję. Literat niedbale popatrzył na nadeszłe listy, rozerwał parę kopert, zawartość zainteresowała go już przez sam podpis piszącego; jeden z listów, zaadresowany obcem pismem i wyglądający na bardzo obszerny, odłożył na razie na bok. Tymczasem przyniesiono mu herbatę, oparł się wygodnie w fotelu, przerzucił jeszcze raz gazetę i kilka drukowanych zawiadomień, potem zapalił cygaro i wziął list, który przedtem odłożył.

List ten składał się z dwóch tuzinów ćwiartek, szybko zapisanych obcem, kobiecym pismem, raczej manuskrypt, aniżeli list. Zajrzał jeszcze raz do koperty, czy przypadkiem nie zapomniał wyjąć z niej jakiegoś objaśniającego pisma. Ale koperta była pusta i ni było na niej ani adresu, ani podpisu wy-

syłającego. Pomyślał, że jest to co najmniej dziwne, i wziął powtórnie pismo do ręki.

„Do Ciebie, który mnie nie znałeś nigdy!” — było napisane jako nagłówek.

Zdziwiony zatrzymał się: czy stosowało się to rzeczywiście do niego, czy do jakiegoś innego człowieka? Zaciekawiony zaczął czytać:

„— Moje dziecko umarło wczoraj — trzy dni i trzy noce walczyłam ze śmiercią o życie tej drobnej, delikatnej istoty. Przez czterdzieści godzin, podczas których grypa trzęsła gorączką to biedne ciało, siedziałam przy jego łóżku. Kładłam mu zimne okłady na rozpaloną głowę, trzymałam jego niespokojne rączka w moich rękach w dzień i w nocy. Trzeciego wieczoru siły mnie opuściły. Nie byłam w stanie dłużej patrzeć, powieki zamykały mi się mimowoli. Na trzy, może cztery godziny zasnęłam na twardym krześle, a przez ten czas śmierć mi go zabrała. Teraz leży tam, mój słodki, biedny chłopczyka w swym wązkiem, dzieciennem łożeczku, w tej samej pozycji, w której wczoraj umarł, tylko oczy mu zamknęły, jego rozumne, ciemne oczy, ręce spleli mu ponad białą koszulką i zapalili cztery świece, wysoko na czterech rogach łóżka. Nie mam odwagi spojrzeć tam, nie mam odwagi się ruszyć, bo kiedy płomyki świec zamigocą, przelatują cienie po jego twarzy i po zaciśniętych ustach i wtedy wydaje się, że się porusza i mogłabym przypuścić, że nie umarł, że zbudzi się znowu i powie do mnie kilka pieszczotliwych słów swym kochanym, dzieciennym głosem. Ale wiem, że on nie żyje i nie chcę więcej patrzeć w tę stronę, żeby nie mieć jeszcze raz na-



dzieji i jeszcze raz nie doznać rozczarowania. Wiem, niestety, wiem napewno, że moje dziecko umarło wczoraj, teraz mam już tylko Ciebie na świecie, tylko Ciebie, który mnie nie znasz, który teraz bawisz się, nic nie przeczuwając, albo trwonisz czas na jakichś igraszkach. Tylko Ty mi zostałeś, Ty, który mnie nigdy nie znałeś, a którego zawsze kochałam.

Wzięłam piątą świecę i postawiłam na stole, na którym piszę do Ciebie. Bo nie mogę być sama z moim zmarłym dzieckiem, bo mi się serce rozdziera, do kogóż mam mówić w tej strasznej chwili, jeżeli nie do Ciebie, który mi byłeś i jesteś wszystkim! Może nie potrafię mówić do Ciebie wyraźnie, może mnie nie zrozumiesz — w głowie mam pustkę, krew wali mi, jak młotem w skroniach, wszystko mnie boli. Zdaje mi się, że mam gorączkę, może mam także grypę, która podstępnie się skrada od drzwi do drzwi, byłby to jedyny ratunek, bo wtedy poszłabym razem z moim dzieckiem i nie musiałabym sama... Czasem robi mi się całkiem ciemno w oczach, może nie będę mogła nawet skończyć tego listu — ale chcę zebrać wszystkie siły, żeby raz, tylko ten jeden raz, przemówić do Ciebie, Ty, mój ukochany, który mnie nigdy nie znałeś.

Chcę mówić tylko do Ciebie, chcę Ci po raz pierwszy opowiedzieć wszystko; musisz poznać całe moje życie, które zawsze należało do Ciebie i o którym Ty nigdy nic nie wiedziałeś. Ale Ty możesz tylko wtedy poznać moją tajemnicę, kiedy mnie już nie będzie, kiedy mi już nie będziesz mógł odpowiedzieć — jeżeli ten dreszcz, co mną teraz

wstrząsa, naprawdę oznacza koniec. Jeżeli będę musiała żyć jeszcze, podrę ten list i będę znowu milczała, tak jak milczałam dotychczas. Ale jeżeli będziesz ten list trzymał w rękach, będzie to znak, że ktoś, kto już nie żyje, opowiada Ci o swoim życiu, które było Twojem życiem, od pierwszej aż do ostatniej chwili świadomości. Nie obawiaj się moich słów, umarła już niczego nie żąda, ani miłości, ani współczucia, ani pociechy. Żądam od Ciebie tylko tego, żebyś wierzył we wszystko, co usłyszysz. Nie kłamie się w chwili śmierci jedyne dziecko.

Chcę przed Tobą odkryć całe moje życie, które się od tego dnia dopiero naprawdę zaczęło, kiedy Ciebie poznałam. To, co przedtem było, jest tak mętne, że moja pamięć nie jest w stanie wytworzyć sobie wyraźnego obrazu. Mam wrażenie jakiejś piwnicy, pełnej zakurzonych i pokrytych pajęczyną rzeczy i ludzi, o których moje serce nic nie wie. Kiedy Ty wszedłeś w moje życie, miałam trzynaście lat, i mieszkałam w tym samym domu, gdzie ty teraz mieszkasz, w tym samym domu, w którym teraz trzymasz ten list w rękach, to ostatnie tchnienie mego życia. Mieszkałam na tym samym korytarzu, naprzeciw drzwi Twego mieszkania. Z pewnością nie przypominasz sobie już nas: biednej wdowy po radcy (nosiła zawsze żałobę) i szczupłego podlotka — żyłyśmy cicho, w małomieszczańskim niedostatku. Nie słyszałeś pewnie nigdy naszego nazwiska, bo nie miałyśmy biletu na drzwiach mieszkania i nikt nigdy nie przychodził, nikt nie pytał o nas. Już tak dawno temu, piętnaście, szesnaście lat, nie, Ty już z pewnością nie pamiętasz

tych czasów, ale ja, ja przypominam sobie każdą drobnostkę, pamiętam jeszcze, jak dziś, ów dzień, nie, ową chwilę, kiedy po raz pierwszy usłyszałam Twoje nazwisko i po raz pierwszy Ciebie zobaczyłam i jakże mogłoby być inaczej? Przecież wtedy dopiero zaczęło się dla mnie życie. Przeczytaj cierpliwie, mój ukochany, wszystko od początku, błagam Cię, niech Ci się nie sprzykrzy wysłuchiwanie mnie do końca, mnie, której nie sprzykrzyło się kochać Cię przez całe życie.

Zanim sprowadziłeś się do naszego domu, mieszkali za temi samemi drzwiami ludzie źli, kłótlivi i brzydcy. Ponieważ byli biedni, najbardziej nienawidzili biedy, sąsiadującej z nimi, a więc nas, bo nie chcieliśmy mieć z nic wspólnego z ich proletariuszowską, dziką brutalnością. Mąż to był pijak i bił swoją żonę; często budził nas w nocy hałas upadających stołków i rozbijanych talerzy. Raz żona wybiegła do sieni z potarganemi włosami, a za nią tak ryczał jej pijany mąż, aż ludzie powychodzili z innych mieszkań i zagrozili im policją. Moja matka unikała od początku wszelkich stosunków z nimi i zakazała mi rozmawiać z ich dziećmi, które z tego powodu mściły się na mnie przy każdej sposobności. Jeżeli mnie spotkały na ulicy, wołały za mną ordynarnemi wyrazami, a raz tak mnie zbiły kulami ze śniegu, że mi się krew polała z nosa. Cały dom nienawdził tych ludzi. jakimś ogólnym, wspólnym instynktem, a kiedy raz coś się stało — zdaje mi się, że to jego zamknęli za jakąś kradzież, i cała rodzina musiała się wynieść

ze wszystkimi manatkami — odetchnęliśmy wszyscy. Przez kilka dni wisiała na brampie kartka „mieszkanie do wynajęcia”, potem zdjęli ją, i przez stróża rozesła się wiadomość, że wynajął je jakiś spokojny kawaler, literat. Wtedy po raz pierwszy usłyszałam Twoje nazwisko.

Po kilku dniach przyszli malarze, lakiernicy, tapeciarze, żeby doprowadzić do porządku mieszkanie po brudnych poprzednich lokatorach; przez cały dzień słychać było przybijanie, pukanie, czyszczenie, skrobanie, ale moja matka była z tego zadowolona, mówiła, że teraz nareszcie skończy się to niechlujne gospodarstwo. Ciebie nie widziałam podczas całej przeprowadzki; wszystkich robót doglądał Twój służący, poważny, siwy lokaj, który wszystkiem kierował, cicho i rzeczowo. Imponował nam wszystkim bardzo, najpierw dlatego, że lokaj w naszym domu był wogóle nowością, a potem, że był on dla wszystkich tak nadzwyczajnie grzeczny, a jednocześnie nie poufalił się z inną służbą i nie wdawał się w niepotrzebne rozmowy. Mojej matce kłaniał się od pierwszego dnia, jak się należy damie, a nawet mnie, smarkatkę, traktował uprzejmie i z powagą. Gdy wymawiał Twoje nazwisko, czynił to zawsze z pewnem uszanowaniem, ze specjalnym respektem — widać było, że był przywiązany do Ciebie ponad granicę zwykłego przywiązania służących. A jak ja go za to kochałam, tego pocziwego, starego Jana, chociaż mu zazdrościłam, że zawsze mógł być przy Tobie i że Tobie służy!...

Opowiadam Ci to wszystko, mój ukochany, wszystkie te drobne, prawie śmieszne szczegóły, że-

byś zrozumiał, jak wielką moc miałeś już od samego początku nad tem bojaźliwym, onieśmielonem dzieckiem, jakim byłam wtedy. Zanim sam wszedłeś w moje życie, otaczał Cię już przedtem promienny nimb, atmosfera bogactwa, oryginalności, tajemnicy — — my wszyscy, mieszkańcy domu, na przedmieściu, ludzie, których życie obraca się w ciasnym kole, zawsze ciekawi nowości, czekaliśmy już niecierpliwie na Twoje sprowadzenie się. I jak to zaciekawienie się Twoją osobą spotęgowało się we mnie, kiedy pewnego popołudnia wracałam ze szkoły do domu, a wóz meblowy stał przed domem!.. Tragarze wynieśli już na górę większą część rzeczy, same ciężkie „kawalki”, a teraz nosili już tylko pojedyncze drobiazgi; stanęłam przed drzwiami, żeby podziwiać to wszystko, bo Twoje rzeczy były tak osobliwe, jakich nigdy dotąd nie widziałam; jakieś indyjskie bożki, włoskie rzeźby, wielkie, o jaskrawych barwach obrazy, a wkońcu książki, takie śliczne, że nie przypuszczałam nigdy, że istnieje coś podobnego. Wszystkie książki zostały najpierw złożone jedne na drugich przy drzwiach, tam odbierał je Twój służący, oczyszczał i okurzał każdą z osobna dokładnie trzepaczką i piórkiem. Krążyłam ciekawie naokoło ciągle rosnącego stosu książek, lokaj mnie nie odganiał, ale też i nie zachęcał wcale; wobec tego nie miałam odwagi dotknąć żadnej. Oglądałam tylko nieśmiało z boku tytuły, były między nimi francuskie i angielskie, a niektóre w językach, których wcale nie znałam. Zdaje mi się byłabym mogła godzinami im się przypatrywać: wtem mnie matka zawołała do pokoju.

Przez cały wieczór potem myślałam o Tobie, jeszcze zanim Cię zobaczyłam. Sama posiadałam tylko kilka tanich książek, oprawnych w wypłowiałą tekturę, lecz książki te kochałam ponad wszystko i wciąż na nowo je odczytywałam. A teraz myślałam ciągle, jakim musiał być ów człowiek, który miał i znał tyle cudnych książek, który umiał tyle języków i był taki bogaty i uczony zarazem!.. Rodzaj nadziemskiej czci łączył się we mnie z pojęciem tylu książek. Staralam się wyobrazić sobie Ciebie: byłeś starcem w okularach, z długą białą brodą, podobnie, jak nasz profesor geografji, tylko o wiele lepszym, piękniejszym, łagodniejszym — nie wiem dlaczego już wtedy, kiedy jeszcze myślałam o Tobie, jako o starym człowieku, byłam pewna, że jesteś piękny. Wówczas, tej samej nocy śniłam o Tobie po raz pierwszy, nie znając Cię jeszcze.

Nazajutrz wprowadziłeś się, ale mimo, że Cię wszędzie wypatrywałam, nie udało mi się zobaczyć Ciebie, to zwiększyło tylko moją ciekawość. Nareszcie trzeciego dnia zobaczyłam Cię — i jakże wstrząsająca była dla mnie ta niespodzianka!.. Byłeś zupełnie inny, tak daleki od dziecinnego obrazu „Boga-Ojca”... wymarzyłam sobie Ciebie, jako starca w okularach, a naraz przyszedłeś taki — taki, jakim jesteś dziś jeszcze, zawsze ten sam, po którym lata przechodzą bez śladu. Miałeś na sobie jasno brązowe sportowe ubranie, i biegłeś po schodach niezrównanie lekko i zgrabnie, jak młody chłopak, po dwa schody naraz. Kapelusz niosłeś w rękę i zobaczyłam, ze zdziwieniem nie do opisanja: Twoją młodą, ożywioną twarz i jasne włosy;

naprawdę, że przeleżałam się ze zdumienia, taki byłeś młody, piękny, taki sprężysty i elegancki. I Czy to nie dziwne? Poczułam wyraźnie to, co wiele innych osób wciąż odnowa w Tobie odczuwa: — że jest w Tobie jakby dwóch ludzi, jeden gorący, lekkomyślny, oddany zabawom i igraszkom młodzieniec, a drugi: poważny, obowiązkowy, czytany i wykształcony mężczyzna. Mimowoli uczułam to, co każdy czuł w Tobie, że prowadzisz podwójne życie: jedno o powierzchni jasnej, zwróconej jawnie ku światu i drugie ciemne, które znasz tylko Ty sam — odczułam tę głęboką dwoistość, tę tajemnicę Twojej natury na pierwsze wejrzenie, ja, trzynastoletnie dziecko, magicznie tajemnicą tą pociągnięte.

Czy rozumiesz już teraz, ukochany, jakim cudem, jaką kuszącą zagadką, musiałeś być dla mnie, już od dziecka? Czy rozumiesz, co znaczy to odkrycie, że człowiek, przed którym miało się respekt, bo pisał książki, bo był sławny w owym innym, wielkim świecie — jest młodym, eleganckim, dziecinnie wesołym, dwudziestopięcioletnim mężczyzną! Czy muszę jeszcze dodawać, że od tej chwili poza Tobą nic mnie więcej nie zajmowało w naszym domu, w moim biednym, dziecięcym świecie, i że z całym uporem, z wytrwałością trzynastoletniej dziewczynki krążyłam wokoło Twojego życia, wokoło Twojej egzystencji? Obserwowałam Twoje zwyczaje, obserwowałam ludzi, którzy do Ciebie przychodzili, a wszystko to zamiast zmniejszać potęgowało tylko we mnie ciekawość poznania Ciebie samego, bo dwoistość Twojej istoty odbijała się w różnicy, za-

chodzącej między tymi, którzy Cię odwiedzali a tym, jakim byłeś. Przychodzili młodzi ludzie, Twoi koledzy, z którymi śmiałeś się i dokazywałeś, przychodzili obszarpani studenci, a potem znowu damy, przyjeżdżające w samochodach, raz był dyrektor opery, wielki kapelmistrz, którego widywałam tylko zdaleka, jak dyrygował orkiestrą. Potem znowu małe dziewczęta, które chodziły jeszcze do szkoły, wślizgiwały się nieśmiało. Wogóle dużo, bardzo dużo kobiet. Widząc to, nie myślałam sobie nic nadzwyczajnego, nawet wtedy, kiedy idąc raz do szkoły rano zobaczyłam jakąś szczerze zawoalowaną damę, wychodzącą od Ciebie — miałam dopiero trzynaście lat, a namiętna ciekawość, z jaką śledziłam Cię i czatowałam na Ciebie, nie uświadamiała sobie jeszcze w dziecku, że to już była miłość.

Ale pamiętam dobrze, mój ukochany, ów dzień i godzinę, kiedy raz na zawsze oddałam Ci moje serce. Byłam na przechadzce z koleżanką, stałyśmy, rozmawiając, przed bramą. Naraz zajechał samochód i w tej samej chwili Ty zeskoczyłeś ze stopnia owym niecierpliwym, elastycznym ruchem, który mnie do dziś dnia zachwyca. Chciałeś wejść do domu. Mimowoli zmusiło mnie coś, żeby Ci otworzyć drzwi, tak, że zastąpiłam Ci drogę, zderzyliśmy się prawie. Spojrzałeś na mnie ciepłym, miękkim wzrokiem, który był jakby pieszczotą, uśmiechnąłeś się do mnie — doprawdy, nie mogę tego inaczej określić jak — z miłością — i powiedziałeś cicho i prawie poufałym tonem:

— Dziękuję panience.

To wszystko, mój ukochany, ale od tej chwili,



od kiedy uczułam w sobie ów miękki, pieszczotliwy wzrok, byłam stracona. Później, nawet dość prędko potem, dowiedziałam się, że darzysz owem obejmującym, przyciągającym do siebie, otulającym a jednocześnie rozbierającym spojrzeniem zawodowego zdobywcy każdą kobietą, która się do Ciebie zbliży, każdą dziewczynę, sprzedającą w sklepie, każdą pokojówkę, która Ci drzwi otwiera, że to spojrzenie nie jest zupełnie świadome, nie wypływa z woli czy z upodobania, tylko że Twoja czułość dla kobiet sama przez się sprawia to, iż Twoje spojrzenie, zwracając się ku nim, staje się miękkie i ciepłe. Ale ja, trzynastoletnie dziecko, nie przypuszczałam tego wtedy: byłam cała jak w ogniu. Myślałam, że ten pieszczotliwy wzrok dotyczy tylko mnie, mnie jedynej, i w tej sekundzie zbudziła się we mnie, dopiero napół rozwiniętej, kobieta, która odtąd na zawsze już miała należeć do Ciebie...

— Kto to był? — spytała moja przyjaciółka.

Nie mogłam jej zaraz odpowiedzieć. Nie byłam w stanie wymówić Twego nazwiska, które już w tej jednej, tej jedynej chwili stało się moją tajemnicą.

— Ach, jakiś pan, który tu mieszka w kamienicy — wyjąkałam niezręcznie.

— Ale dlaczego się tak strasznie zaczerwieniłaś, kiedy popatrzył na ciebie? — zaśmiała się szyderczo, z złośliwością ciekawego dziecka.

I ponieważ czułam, że domyśliła się mojej tajemnicy i z niej szydziła, krew jeszcze bardziej uderzyła mi do głowy.

— Głupia gęś — powiedziałam zirytowana. By-

łabym ją chyba zadusiła, ale ona zaśmiała się jeszcze głośniej i z jeszcze większą ironją, aż lzy poczułam w oczach z bezsilnego gniewu. Zostawiłam ją na ulicy i pobiegłam na górę.

Od tej chwili kochałam Cię. Wiem, że nieraz kobiety wymawiały te słowa, szeptały je Tobie, rozpieszczonemu zdobywcy serc. — Ale wierz mi, nikt nie kochał Cię tak niewolniczo, tak wiernie, jak pies, i z takim oddaniem, jak ja wtedy. Bo nic na świecie nie dorówna utajonej miłości dziecka; taka jest beznadziejna, służalcza, uległa, taka czatująca i namiętna, jak nigdy. pożądająca i wymagająca miłość dorosłej kobiety. Tylko samotne dzieci potrafią swą namiętność utrzymać w tajemnicy, inne zdradzają swe uczucie, rozwlekają je w zwierzeniach, słyszały wiele i czytały o miłości, i wiedzą, że jest ona wspólnym losem wszystkich. Bawią się nią, jak zabawką, chełpią się nią, jak chłopcy pierwszym papierosem. Ale ja nie miałam nikogo, przed kim mogłabym się zwierzyć, nikt mnie niczego nie nauczył i nie przestrzegł przed niczem, byłam niedoświadczona i nie miałam pojęcia o życiu. Wpadłam w moje przeznaczenie, jak w przepaść. Wszystko, to, co we mnie rosło i dojrzewało, czuło tylko Ciebie, marzyłem o Tobie, jako o zaufanym przyjacielu. Mój ojciec umarł dawno, matka stała się dla mnie obcą wskutek swego niewesołego usposobienia, wiecznego przygnębienia i bojaźni, jaka charakteryzuje emerytów. Moje napół zepsute koleżanki były mi wstrętne, bo bawiły się tak lekko tem, co dla mnie było najwyższą namiętnością. Oddałam Tobie wszystko, wszystko, co

się zazwyczaj dzieli i rozdrabnia, cała moja nieśmiała a jednak już rozwijająca się istota rwała się niecierpliwie do Ciebie. Byłeś dla mnie... — jakże mam Ci to opisać? Wszelkie porównanie jest za słabe: — byłeś dla mnie wszystkim, mojem całym życiem. Wszystko istniało tylko wtedy, jeżeli pozostawało w jakimkolwiek związku z Tobą. Ty zmieniłeś moje całe życie. Dotychczas obojętna i mierzalna uczennica w szkole, stałam się naraz pierwszą w klasie, czytałam tysiące książek do późna w nocy, bo wiedziałam, że Ty kochasz książki, zaczęłam, ku największemu zdumieniu mojej matki, z zawziętą wytrwałością ćwiczyć się na fortepianie, bo myślałam, że Ty lubisz muzykę. Czyściłam moje suknie i naprawiałam przy nich wszystko, żeby przed Tobą wyglądać schludnie. Strasznie nieprzyjemnie było mi, że na moim starym fartuszkuszku szkolnym (był skrojony z szlafroka mojej matki) miałam po lewej stronie wstawioną kwadratową łatę. Bałam się, że mógłbyś ją zobaczyć i pogardzać mną z tego powodu, dlatego przyciskałam zawsze do niej teczkę z książkami, kiedy biegłam po schodach na górę, drżąc ze strachu, żebyś tej łatki nie spostrzegł! Ale jakaż to była głupota z mej strony, przecież Ty nigdy prawie na mnie nie patrzyłeś...

A jednak przez cały dzień nie robiłam właściwie nic innego, tylko czekałam na Ciebie i szpiegowałam Cię. W naszych drzwiach wchodowych było wycięte okrągłe okienko, przez które można było widzieć Twoje drzwi. To okienko — nie, nie śmieję się, mój ukochany, jeszcze dziś, jeszcze dziś nie wstydzę się tego — to okienko było mojem okiem

na świat, tam, w lodowato - zimnym przedpokoju bojaźliwie ukryta przed matką, siedziałam z książką w ręku przez całe popołudnie na czatach, w naprężeniu, jak struna, która drgała, skoro tylko Ty się ukazałeś. Byłam zawsze przy Tobie, zawsze w naprężeniu, zawsze w ruchu, ale Ty tak mało odczuwałeś to, jak naprężone sprężyny w zegarku, ukrytym w Twojej kieszeni, który w cieniu cierpliwie liczy i mierzy godziny Twego życia, towarzyszy Ci wszędzie z niedosłyszalnym biciem serca i na który tylko raz na milion tykających sekund padnie Twój wzrok. Wiedziałam wszystko o Tobie, znałam wszystkie Twoje przyzwyczajenia, wszystkie Twoje krawaty, wszystkie Twoje ubrania, znałam także, w najkrótszym przeciągu czasu, wszystkich Twoich znajomych i dzieliłam ich na sympatycznych i wstrętnych. Każdą chwilę mego życia od trzynastego do szesnastego roku żyłam tylko Tobą. Ach, jakież głupstwa popełniałam! Całowałam klamkę, której się Twoja ręka dotknęła, ukradłam resztkę wypalonego papierosa, który rzuciłeś, wchodząc do kamienicy i schowałam, jak świętość, bo Twoje wargi dotykały go... Sto razy wybiegałam wieczorem pod jakimkolwiek pozorem na ulicę, żeby zobaczyć, w którym z Twoich okien świeci światło, by w ten sposób świadomie czuć Twoją obecność. A w tym czasie, kiedy wyjeżdżałeś — serce przestawało mi bić ze strachu, kiedy widziałam, jak Twój poczciwy Jan znosi ze schodów żółtą podróżną walizkę — w tym czasie moje życie zamierało i stało się czemś zupełnie bez sensu. Chodziłam wtedy mrukliwa, znudzona, zła i musiałam tylko bar-

dzo uważać, żeby moja matka nie spostrzegła rozpaczy w moich zapłakanych oczach.

Wiem, że to wszystko, co Ci tutaj opowiadam, to brzmi jak przesada i dziecinne głupstwa. Powinabym się tego wstydzić — ale nie wstydzę się — bo nigdy moja miłość nie była bardziej niewinna a zarazem bardziej namiętna, jak wówczas. Godzinami mogłabym Ci opowiadać, jak wtedy żyłam Tobą, choć Ty zaledwie wiedziałeś, jak wyglądam, bo jeżeli spotkałam Cię na schodach i nie mogłam się już cofnąć, przebiegałam ze spuszczoną głową obok Ciebie, jak ktoś, który rzuca się do wody, ażeby się w ogniu nie spalić. Godzinami, dniami całymi mogłaby Ci opowiadać o tych dawno minionych czasach, mogłabym przerzucić cały kalendarz Twego życia, ale nie chcę Cię znudzić, nie chcę Cię męczyć. Chcę Ci się tylko zwierzyć jeszcze z tego najpiękniejszego przeżycia w moim dzieciństwie, i proszę Cię, żebyś nie drwił ze mnie, bo dla mnie, dziecka, było to wtedy czemś nieskończenie ważnem.

Było to w niedzielę, zdaje mi się, Ty bawiłeś wtedy w podróży, Twój służący włókł ciężkie dywany, które wytrząpał, przez otwarte drzwi Twego mieszkania. Trudno mu to było, biedakowi samemu, i dziwiąc się własnej zuchwałości przystąpiłam do niego i spytałam, czy nie mogłabym mu pomóc. Był zdziwiony, ale nie bronił mi. I tym sposobem zobaczyłam — gdybym Ci tylko umiała opisać, z jaką pokorną, poprostu pobożną czcią! — zobaczyłam Twoje mieszkanie od wewnątrz, Twój świat, biurko przy którym siedziałeś zwykle i na

którem było kilka kwiatków w kryształowym wazonie, Twoje szafy, Twoje obrazy, Twoje książki. Rzuciłam tylko ukradkiem jedno przelotne spojrzenie w Twoje życie, bo wierny Jan byłby z pewnością pozwolił mi dłużej przypatrzeć się wszystkiemu, ale ja wchłonęłam tem jednym spojrzeniem całą atmosferę tego mieszkania, i miałam pokarm dla moich nieskończonych marzeń o Tobie, na jawie i we śnie.

Ta chwilka, ta jedna krótka chwilka była najszczęśliwszą w całym mojem dzieciństwie. O tem chciałam Ci opowiedzieć, żebyś zaczął rozumieć nareszcie Ty, który mnie nie znasz, jak uległam było to życie, które się teraz kończy... O tej chwili chciałam Ci opowiedzieć, żebyś zaczął rozumieć jej, znowu najstraszniejszej chwili w mojem życiu, która przyszła, niestety, w tak niedługim czasie po tamtej. Mówiłam Ci już, że zajęta Tobą, zapomniałam o wszystkim, nie zwracałam uwagi na moją matkę, nie troszczyłam się o nikogo. Nie zauważyłam, że pewien starszy człowiek, kupiec z Insbrucku, który był w dalekiem powinowactwie z moją matką, przychodził do nas coraz częściej i zawsze zostawał dłużej, byłam z tego nawet bardzo zadowolona, bo zabierał mamę czasem do teatru, a ja mogłam wtedy zostać w domu sama, mogłam myśleć o Tobie, czatować na Ciebie, co było mojem najwyższem, mojem jedynem szczęściem. Pewnego dnia matka zawołała mnie ceremonjalnie do swego pokoju, żeby mi powiedzieć coś ważnego. Zbladłam i usłyszałam naraz potężne uderzenia serca: czy może coś przeczuwała, coś od-

kryła? Moją pierwszą myślą byłś Ty, tajemnica, która mnie łączyła ze światem. Ale matka była sama zaambarasowana, pocałowała mnie (czego zresztą nie czyniła nigdy) czule, raz i drugi, pociągnęła mnie na sofę do siebie i zaczęła opowiadać, że jej daleki krewny, wdowiec, oświadczył się jej, i że jest zdecydowana, głównie ze względu na mnie, przyjąć te oświadczenia. Goręcej napłynęła mi krew do serca, tylko jedna myśl zaprzętała mnie: myśl o Tobie.

— Ale zostaniemy tutaj? — zdołałam jeszcze wyjąknąć.

— Nie, przeniesiemy się do Insbrucku, Ferdynand ma tam willę.

Więcej już nie słyszałam. Zrobiło mi się ciemno w oczach. Potem dowiedziałam się, że zemdlałam; słyszałam, jak matka opowiadała o tem ojczymowi, który czekał za drzwiami: że w pierwszej chwili odskoczyłam w tył, a potem upadłam, jak długa, na ziemię. Co się działo w następnych dniach, jak się broniłam, ja, bezsilne dziecko, przeciw ich przewadze, tego już dziś nie umiem powiedzieć, teraz drży mi ręka przy pisaniu na myśl o tem. Mojej prawdziwej tajemnicy nie mogłam zdradzić, i tak moja opozycja wydawała się tylko krnąbrnością, złośliwością, uporem. Nikt ze mną już więcej nie mówił o tem, wszystko działo się poza moimi plecami. Korzystali z godzin, kiedy byłam w szkole, żeby się spieszyć z przeprowadzką; a kiedy wracałam do domu, widziałam za każdym razem, że znowu inny mebel był zapakowany albo sprzedany. Widziałam, jak niszczoło nasze mieszkanie. Raz

przysłałam na obiad już po bytności tragarzy, którzy wszystko wynieśli. W ostatnich pokojach stały zapakowane kufry i dwa składane łóżka dla mamy i dla mnie, tu miałyśmy spać jeszcze przez tę ostatnią noc, nazajutrz miałyśmy wyjechać do Insbrucku.

Tego dnia zrozumiałam nagle, że nie mogę żyć zdala od Ciebie. Nie widziałam nigdzie ratunku, prócz Ciebie. Jak sobie to wyobrażałam, czy wogóle zdołałam wszystko sobie jasno przedstawić podówczas, tego nie potrafię powiedzieć — ale nagle matka wyszła — a ja, tak jak byłam, w szkolnym mundurku, poszłam do Ciebie. Nie, nie poszłam, ale coś popchnęło mnie z magiczną siłą ku Twoim drzwiom. Powiedziałam Ci już, że nie wiedziałam dokładnie, czego chcę: upaść Ci do nóg, prosić Cię, żebyś mnie zatrzymał u siebie jako służącą, jako niewolnicę — i obawiam się, że uśmiechniesz się, słysząc o tym niewinnym fanatyźmie piętnastoletniej dziewczyny, ale — nie śmiałybyś się dłużej, mój kochany, gdybyś wiedział, jak stałam wówczas w lodowato zimnej sieni, skostniała ze strachu, a jednak popychana jakąś tajemniczą siłą, i jak podniosłam drżącą rękę... była to formalna walka, podczas okropnych, nieskończenie długich sekund — nim zadzwoniłam. Jeszcze dzisiaj słyszę przenikliwy głos tego dzwonka, a potem ciszę, kiedy serce przestało bić, a cała we mnie krew tylko nasłuchiwała, czy Ty nie przychodzisz.

Ale nie przyszedłeś. Nikt nie przyszedł. Widocznie nie było Cię w domu tego popołudnia, a Jan musiał wyjść do miasta; i tak z martwym dźwiękiem



dzwonka, huczącego mi w uszach, wróciłam, chwając się na nogach, do naszego zniszczonego, opustoszałego mieszkania i rzuciłam się wyczerpana na jakiś pled, zmęczona temi kilkoma krokami, tak, jakbym godzinami brnęła po najgłębszym śniegu. Ale pod tem wyczerpaniem żarzyło się postanowienie zobaczenia Ciebie, pomówienia z Tobą, zanim mnie stąd zabiorą. Nie było w tem, przysięgam Ci, żadnej zmysłowej myśli, byłam jeszcze zupełnie niewinna, właśnie dlatego, że o niczem innem nie myślałam tylko o Tobie; tylko widzieć Cię chciałam, jeszcze raz zobaczyć Cię, ucześcić się Ciebie. Przez całą noc, przez całą straszną noc czekałam na Ciebie, mój ukochany. Zaledwie matka położyła się do łóżka i zasnęła, udało mi się wydość się ukradkiem do przedpokoju, ażeby podsłuchiwać, jak będziesz wracał do domu. Czekałam przez całą noc, a była to mroźna noc styczniowa. Byłam zmęczona, bolały mnie kości, a nie było już krzesła, żeby usiąść na niem, położyłam się więc na podłodze, gdzie wiało od szpary pod drzwiami. Leżałam tak tylko w lekkiej sukni, na twardej, lodowatej podłodze, bo nie wzięłam żadnego przykrycia, nie chciałam, żeby mi było ciepło z obawy, iż mogłabym zasnąć i nie dosłyszeć Twoich kroków. Czułam ból, drżałam cała, musiałam nagle wstawać, tak zimno mi było podczas tej okropnej ciemnej nocy. Ale czekałam, czekałam, czekałam na Ciebie, jak na moje przeznaczenie.

Nareszcie — musiała być już druga, albo trzecia w nocy — usłyszałam trzask otwierającej się bramy na dole, a potem kroki, idące w górę po scho-

dach. Nie czułam już zimna, gorąca krew mnie oblała, cicho otworzyłem drzwi, żeby rzucić się Tobie pod nogi... Czy ja wiem, co byłabym zrobiła wtedy, głupie, niedoświadczone dziecko!... Kroki zbliżały się, płomyk świecy zamigotał. Drżąc, trzymałam rękę na klamce. Czy to Ty byłeś?

Tak, to byłeś Ty, ukochany — ale nie byłeś sam. Usłyszałam cichy, łaskotliwy śmiech, szelest jakiejś jedwabnej sukni, i Twój cichy głos — wróciłeś do domu — z kobietą..

Jak przeżyłam resztę tej nocy, nie wiem. Na drugi dzień rano o ósmej zabrali mnie do Insbrucku; nie miałam już siły bronić się dłużej.

\*

Moje dziecko umarło wczoraj w nocy,— jeżeli naprawdę będę musiała żyć jeszcze, będę teraz znowu sama. Jutro przyjdą obcy, czarni, brutalni ludzie, przyniosą trumnę, włożą do niej moje biedne, jedyne dziecko. Może przyjdą także znajomi i przyniosą wieńce, ale czemu są kwiaty, położone na trumnie? Będą mnie pocieszali i mówili do mnie jakieś słowa, słowa; ale w czemu oni mogą mi pomóc? Wiem, że potem znowu zostanę sama. A nie ma nic straszniejszego, niż osamotnienie wśród ludzi. Wiem o tem z czasów tych dwóch nieskończenie długich lat w Insbrucku, owych lat od szesnastego do osiemnastego roku mego życia, kiedy byłam jakby uwięziona, wyklęta wśród mojej rodziny. Ojczym, człowiek bardzo spokojny, małomówny, był dla mnie dobry, moja matka była gotowa spełnić każde moje życzenie, jakby chciała odpoku-

tować jakąś mimowolnie wyrządzoną mi krzywdę młodzi ludzie kręcili się koło mnie, ale ja odpychałam ich wszystkich z jakąś namiętną niechęcią. Nie chciałam być szczęśliwa, żyć zadowolona, zdala od Ciebie, zakopałam się w ciemnym świecie samotności i własnej męki.

Nie chciałam nawet patrzeć na nowe suknie, które mi kupowali, nie chciałam chodzić na koncerty, do teatru, albo robić wycieczki w wesołym towarzystwie. Za ledwie czasem wychodziłam na ulicę. Czy uwierzysz, mój ukochany, że nie znam nawet dziesięciu ulic w tem mieście, gdzie przeżyłam dwa lata!...

Byłam smutna i *chciałam* być smutna. Upajałam się znoszeniem wszystkich braków, które dołączałam jeszcze do ego największego braku: — niewidzenia Ciebie. Pozatem nie chciałam zapomnieć o mojej namiętności: chciałam żyć tylko dla Ciebie. Siedziałam sama w domu, godzinami, dniami całemi i nic nie robiłam, tylko myślałam o Tobie, przeżywałam ciągle na nowo, ciągle na nowo owe drobne niezliczone wspomnienia o Tobie, odnawiałam w pamięci i przedstawiałam sobie, jak w teatrze, każde spotkanie z Tobą, każde oczekiwanie Ciebie. I dlatego, że każdą sekundę z ówczesnych czasów powtarzałam sobie niezliczone razy, całe moje dzieciństwo pozostało mi tak palące w pamięci, czuję dziś jeszcze każdy z owych minionych dni, tak gorąco i żywo, jakby dopiero minął wczoraj...

Tylko Tobą żyłam wtedy, kupiłam sobie wszystkie Twoje książki; dzień, kiedy Twoje nazwisko

było w gazecie, był dla mnie świętem. Czy uwierzysz, że umiem każdy wiersz Twoich powieści na pamięć, tak często je czytałam? Jeżeliby mnie ktoś zbudził w nocy ze snu i powiedział mi jakiś oderwany ustęp z nich, mogłabym dziś jeszcze, po trzynastu latach mówić dalej, jak we śnie: tak każde Twoje słowo było dla mnie ewangelją i modlitwą. Cały świat istniał tylko w związku z Tobą; czytałam w wiedeńskich gazetach o koncertach i premierach w teatrze, tylko z tą myślą, co Ciebie może najwięcej zajmować, a kiedy się zbliżał wieczór, towarzyszyłam Ci zdaleka: teraz wchodzi do sali, teraz siada. Tysiące razy marzyłam w ten sposób, dla tego że raz jeden widziałam Cię na koncercie.

Ale po co opowiadam Ci o tem wszystkiem, o tym szalonym, przeciwko sobie samemu srożącym się, tragicznym a tak beznadziejnym fanatyzmie dziecka, po co opowiadać o tem komuś, który nigdy tego nie przeczuwał, nigdy o tem nie wiedział? Ale czyż doprawdy byłam wtedy jeszcze dzieckiem? Miałam siedemnaście, potem osiemnaście lat — młodzi ludzie zaczynali oglądać się za mną na ulicy, ale to napełniało mnie tylko goryczą. Bo miłość, albo choćby flirt, z myślą o kimś innym, była dla mnie czemś tak niepojętem, tak niezrozumiałem, obcem — sama pokusa byłaby mi się już wydawała zbrodnią. Moja namiętność dla Ciebie pozostała taką sama, zmieniała się tylko razem z mojem ciałem, z mojami rozbudzonemi zmysłami, stała się bardziej cielesną, żarzącą się, bardziej kobiecą. I to co dziecku, chcącemu wówczas w swej nieświadomości uciekać od Ciebie — nawet przez myśl nie

przeszło, było teraz moim jedynym celem: ofiarować Ci siebie, oddać się Tobie.

W mojem otoczeniu myślano, że jestem bojaźliwa, nazywano mnie nieśmiałą (nie zdradziłam nikomu mojej tajemicy). Ale żelazna wola wzrastała tymczasem we mnie. Wszystkie moje myśli i pragnienia były wytężone w jednym kierunku: wrócić do Wiednia, powrócić do Ciebie. I udało mi się postawić na swoim, jakkolwiek niedorzecznem i niezrozumiałem mogło się to wydawać innym. Mój ojczym był zamożnym człowiekiem i uważał mnie za własne dziecko... Ale ja nie przestawałam nalegać na to, że chcę zarabiać na siebie i osiągnęłam mój cel nareszcie, pojechałam do Wiednia, do krewnych, i objęłam posadę ekspedjentki w wielkim magazynie konfekcji damskiej.

Domyślisz się pewnie, dokąd pobiegłam najpierw, przyjechawszy — nareszcie! nareszcie! — do Wiednia pewnego mglistego, jesiennego wieczoru? Zostawiłam kufry na dworcu, a sama wpadłam do tramwaju — jakże pomału jechał, jak niecierpliwiał mnie każdy przystanek — pobiegłam przed nasz dom. Twoje okna były oświetlone, serce mi zabiło! Dopiero teraz zaczęło żyć dla mnie to miasto, które w pierwszej chwili wydawało mi się tak obce, tak bezmyślne... Dopiero teraz zaczynałam żyć, kiedy Ciebie poczułam blisko, Ciebie, moje wieczne marzenie! Nie przeczułam, że w rzeczywistości byłam teraz równie daleka od Ciebie, jak przedtem, kiedy byłam jeszcze za górami, lasami, rzekami, teraz, kiedy tylko cienka, oświetlona szyba Twego okna dzieliła Ciebie od mojego roziskrzonego wzro-

ku. Patrzyłam w górę, w Twoje okna: tam było światło, tam był Twój dom, tam był mój świat. Przez dwa lata marzyłam o tej chwili... Podczas całego, długiego, mglistego wieczoru stałam pod Twojemi oknami, aż do chwili, kiedy światło zagasło. Dopiero potem poszłam do krewnych, którzy na mnie czekali.

Co wieczór stałam tak przed Twoim domem. Do szóstej byłam zajęta w magazynie. Miałam ciężką, męczącą pracę, która mi jednak sprawiała przyjemność, bo niepokój, połączony z tą pracą, nie dawał mi odczuwać tak boleśnie własnego niepokoju. I gdy tylko żelazne drzwi sklepu zamykały się za mną z trzaskiem, biegłam do mego ukochanego celu. Miałam tylko jedno, jedyne życzenie: raz Cię spotkać, raz Cię zobaczyć, raz tylko móc objąć wzrokiem zdaleka Twoją twarz. Mniejwięcej po tygodniu zdarzyło się nareszcie, że spotkałam Cię właśnie w chwili, kiedy się tego najmniej spodziewałam; podczas kiedy wpatrywałam się jak zwykle w Twoje okna, przeszedłeś wporzek ulicy, idąc do domu. I naraz, jakbym była znowu trzynastoletniem dzieckiem, czułam, jak krew przyplywa mi do twarzy, i wbrew wewnętrznemu pragnieniu, tęskniącemu do zobaczenia Twoich oczu, spuściłam głowę i przebiegłam spieszenie, jakby ścigana obok Ciebie. Potem wstydziłam się tej dziecinnej ucieczki, bo teraz mi się stało wszystko jasne: chciałam Cię spotkać, szukałam Cię przecież, chciałam być przez Ciebie poznana po tylu w tęsknocie przybytych latach, chciałam być przez Ciebie zauważoną, chciałam być przez Ciebie kochaną...

A ty mnie bardzo długo nie widziałeś, pomimo, że każdego wieczoru stałam pod Twojemi oknami, nawet podczas dokuczliwego, wiedeńskiego wichru. Często czekałam godzinami — daremnie, często wychodziłeś z domu w towarzystwie znajomych, dwa razy widziałam Cię także w towarzystwie kobiet, i wtedy czułam po nagłym drgnięciu serca, że jestem już dorosłą, czułam inny, nowy odcień mojej miłości do Ciebie, kiedy zobaczyłam jakąś obcą kobietę, idącą z Tobą pod rękę. Nie dziwiłam się, wiedziałam przecież z moich dziecinnych lat, że kobiety przychodziły zawsze do Ciebie, ale teraz czułam jakby fizyczny ból, coś buntowało się we mnie przeciw tej Twojej widocznej, cielesnej pułki z inną! Na drugi dzień nie poszłam pod Twoje okna, zadraśnięta w mojej dumie dziecięcej, ale jak strasznym był dla mnie ten wieczór buntu i nieposłuszeństwa!... Nazajutrz wieczór stałam znów pod Twojemi oknami, czekając, czekając, tak jakby było przeznaczeniem mem czekać zawsze przed Twojem zamkniętem dla mnie życiem...

Aż nareszcie, pewnego wieczoru spostrzegłeś mnie. Widziałam Cię już zdaleka i wyteżyłam całą wolę, żeby tym razem nie uniknąć spotkania z Tobą. Przypadek chciał, że ulicę zatarasowały ciężarowe wozy i że byłeś zmuszony przejść tuż obok mnie. Twój roztargniony wzrok mimowoli zatrzymał się na mnie i odrazu zamienił się w owo czułe, otulające a jednocześnie rozbierające spojrzenie, którem darzyłeś kobiety, owo spojrzenie, którem obejmowałeś i brałeś zarazem, i które we mnie, dziecku, wtedy po raz pierwszy rozbudziło kobietę-kochankę.

kę. Przez jedną, czy dwie sekundy Twoje oczy utonęły w moich, które nie mogły i nie chciały oderwać się od Ciebie — a potem przeszedłeś obok mnie Serce mi biło; mimowoli zwolniłam kroku, a kiedy z niedającej się przemóc ciekawości odwróciłam się, zobaczyłam, że zatrzymałeś się także i że patrzyłeś za mną. I po Twoim wzroku, który mnie obserwował ciekawie i z zainteresowaniem, poczułam odrazu: nie poznałeś mnie.

Nie poznałeś mnie wtedy ani później, nigdy mnie nie poznałeś. Jakże potrafię Ci opisać rozczarowanie tej chwili... — żeś mnie nie poznał! Przeżyłam z tem życie całe i z tem umieram: niepoznana, zawsze niepoznawana przez Ciebie... Jakże potrafię Ci opisać moje rozczarowanie! Bo widzisz, podczas tych dwóch lat w Insbrucku, kiedy w każdej godzinie myślałam o Tobie, wyobrażałam sobie zawsze nasze pierwsze spotkanie we Wiedniu, wymarzyłam sobie wszystkie możliwości, najprzykrzejsze, najdziksze i najradośniejsze — zależnie od chwili. Wszystko było, że tak powiem, już prześnione, wyobrażałam sobie w przykrych chwilach, że mnie odtrącis, pogardzisz mną, dlatego, że nie jestem równą Tobie, że nie jestem dość piękna, że mam za dużo natrętna... wszystkie formy Twojej niechęci, Twojej oziębłości, Twojej obojętności, wszystko przemyślałam w namiętnych wizjach — ale nawet w najgorszych chwilach nie byłabym przypuściła tego jednego najstraszniejszego faktu, że wogóle nie zauważyłeś nigdy mojego istnienia! Dzisiaj potrafię to już zrozumieć — ach, jak Ty mnie dużo nauczyłeś! — że twarz dziewczyny, kobiety, musi być dla



mężczyzny czemś niesłychanie zmiennem, bo jest najczęściej tylko zwierciadłem jakiejś namiętności czy jakiegoś szaleństwa, że rozplywa się tak łatwo, jak obraz w lustrze, i że mężczyzna łatwo może zapomnieć twarz kobiety, bo lata przechodzą pannie, zmieniają ją ramy ubioru, od jednego razu do następnego. Ci którzy zrezygnowali, dopiero wiedzą *naprawdę*. Ale ja byłam wówczas młodą dziewczyną, i nie mogłam pojąć braku pamięci u Ciebie, bo w mojem nieustannem, bezmiernem zajmowaniu się Tobą owładnęło mną jakieś obłąkane przypuszczenie, że Ty także często myślisz o mnie i czekasz na mnie; jakże byłabym mogła oddychać, gdybym była wiedziała, że jestem dla Ciebie niczem, że nigdy żadne, nawet najlżejsze wspomnienie o mnie nie zadrga w Tobie! I to nagłe zbudzenie, wywołane Twojem spojrzeniem, w którem wyczytałam, że nic w Tobie mnie już nie pamięta, że żadna pajęczka nitka nie wiązała Twego życia z mojem... to było moje pierwsze zetknięcie się z rzeczywistością, pierwsze przeczucie mojego przeznaczenia.

Nie poznałeś mnie wtedy, a kiedy w dwa dni potem, przy ponownem spotkaniu Twój wzrok spoczął na mnie z pewną poufałością, nie poznałeś mnie znowu, przypomniałeś sobie tylko tę ładną osiemnastoletnią dziewczynę, którą widziałeś dwa dni temu na tem samym miejscu. Popatrzyłeś na mnie, przyjemnie zdziwiony, lekki uśmiech krążył około Twych ust. I znowu przeszedłeś obok mnie, znowu zwolniłeś kroku, drżałam, wewnątrznie uradowana, modliłam się, żebyś do mnie przemówił. Czulałam, że byłam po raz pierwszy dla Ciebie żywą

astotą, ja także zwolniłam kroku, nie chciałam, żeby mnie ta sposobność ominęła. I naraz uczułam, że idziesz za mną, nie oglądając się, wiedziałam, że usłyszę teraz po raz pierwszy Twój ukochany głos, zwrócony do mnie. Byłam ubezwładniona z oczekiwania, bałam się już, że będę musiała przystanąć, serce mi biło tak silnie — wtem podszedłeś, przemówiłeś do mnie, lekko i wesoło, jak gdybyśmy byli dawno zaprzyjaźnieni — ach, Ty przecież mnie nigdy nie znałeś, nie przeczuwałeś nic z mojego życia! — tak czarująco szczerze i otwarcie przemówiłeś do mnie, że musiałam Ci odpowiedzieć. Doszliśmy razem do końca ulicy. Potem zapytałeś mnie, czy nie poszlibyśmy razem na kolację. Zgodziłam się odrazu. Czyż byłabym się odważyła odmówić — Tobie?

Jedliśmy razem w małej restauracji — czy przypominasz sobie gdzie? Ach nie, Ty z pewnością nie umiesz rozróżnić tego wieczoru od innych tego rodzaju wieczorów, bo kimże ja byłam dla Ciebie? Jedną z tysiąca, jednym ogniwem w długim, niekończącym się łańcuchu. Cóż mogłoby Ci przypominać? Mówiłam tak mało, bo byłam nieskończenie szczęśliwa, że byłam z Tobą, że słucham Ciebie!... Ani jednej zgłoski nie chciałam stracić z tego, co mówiłeś, przez jakieś nieopatrzne pytanie, przez jakieś niedorzeczne słowo. Nigdy nie zapomnę owej chwili, jak postępowaniem Twojem nie splamiłeś czystego, jasnego obrazu, jaki nosiłam w duszy od dziecka. Jakim byłeś delikatnym, lekkim, pełnym taktu, bez natręctwa, bez tych szybkich, powierzchownych pieszczot — i jak od pierwszej chwili

zachowywałaś się wobec mnie z taką swobodną, przyjacielską poufałością, że byłbyś mnie w każdym razie oczarował, nawet gdybym już oddawna nie należała do Ciebie całą duszą!... — Ach, nie umiesz tego odczuć, jak olbrzymiej rzeczy dokazałeś, nie rozczarowując mnie wtedy, po pięciu latach oczekiwania!

Zrobiło się późno. Wstaliśmy. W drzwiach restauracji spytałeś mnie, czy się spieszę, czy też mam może jeszcze czas. Jakże byłabym mogła zamilczeć, że jestem gotowa oddać się Tobie! Powiedziałam, że mam jeszcze czas. Potem spytałeś, pokonywując jakieś lekkie wahanie, czy nie mogłabym pójść na chwilkę do Ciebie, żeby porozmawiać trochę.

— Dobrze — powiedziałam zupełnie naturalnie, pod wpływem przepełniającego mnie uczucia i spostrzegłam odrazu, że byłeś szybkością mej decyzji widocznie zdziwiony, może niemile, może radośnie. Dzisiaj rozumiem owo zdziwienie; wiem teraz, że kobiety, choćby pragnienie oddania się paliło je, starają się zazwyczaj zaprzeczyć temu, udają przestach, albo przerażenie i dopiero na skutek próśb, kłamstw, przysięg, albo przyrzeczeń, zgadzają się na to pomału, czego same pragnęły. Wiem teraz, że tak radośnie na tego rodzaju zaproszenia odpowiadają tylko osoby, uprawiające miłość z profesji, albo całkiem niewinne, niedorosłe dzieci. Ze mnie mówiła jednak — ale skądże Ty mogłeś to przeczuwać? — zduszona, tryskająca tęsknota z ubiegłych dni. W każdym razie byłeś zdumiony. Zaczęłam Cię interesować. Czułem, kiedy szliśmy razem, że

obserwowałaś mnie z boku ze zdumieniem. Twoja intuicja, Twoja we wszystkich ludzkich sprawach tak magicznie pewna intuicja, wietrzyła coś niezwykłego, jakąś tajemnicę. w tej ładnej, — więcej, niż uprzejmej dziewczynie. Ciekawość obudziła się w Tobie. I spostrzegłam ze sposobu, w jakim mi stawiałeś pytania, że chciałeś dotrzeć do tej tajemnicy. Ale ja udawałam, że Cię nie rozumiem, wolałam wydać Ci się głupią, niż zdradzić Ci moją tajemnicę.

Poszliśmy do Ciebie. Przebac mi, mój ukochany, jeżeli Ci opowiem, że Ty nie możesz zrozumieć tego, czem dla mnie były: ta sień, ten kurytarz, te schody; jakim zawrotem głowy, jakim odurzeniem, jakim szalonem, męczącym, prawie zabijającym szczęściem. Jeszcze teraz nie mogę myśleć o tem bez wzruszenia. Ale brak mi już łez. Zrozum tylko, że każdy przedmiot tam pełen był mojej namiętności, każdy, symbol mego dzieciństwa, Sień, w której czekałam na Ciebie, schody, skąd słyszałam Twoje kroki, miejsce, gdzie zobaczyłaś Cię po raz pierwszy, okienko, przez które oczy sobie wypatrywałam, słomianka pod Twemi drzwiami, na której klęczałam, zgrzyt klucza, na odgłos którego zrywałam się zawsze. Całe moje dzieciństwo, cała moja namiętność gnieździła się w tej przestrzeni o kilku metrach sześciennych, tu było całe moje życie, a teraz przysłała na mnie jak gdyby burza, bo wszystko, wszystko spełniło się, szłam z Tobą, ja z Tobą, w Twoim, w naszym domu!.. Pomyśl, choć to brzmi trochę banalnie, ale nie umiem tego inaczej wyrazić: — aż tu do Twoich drzwi, przez całe ży-

cie wszystko było tylko rzeczywistością, głuchym, codziennym światem, a tam dopiero zaczynało się zaczarowane królestwo dziecka, państwo Aladyna. Pomyśl, że tysiąc razy wpatrywałam się w te drzwi pałającymi oczyma, w te drzwi, przez które teraz przechodziłam, a może przeczujesz — ale tylko przeczujesz, nigdy nie będziesz wiedział naprawdę, mój ukochany! — czem ta rozstrzygająca chwila była w mojem życiu!...

Zostałam wtedy u Ciebie przez całą noc. Nie sądziłeś, że mnie dotąd nie dotknął jeszcze żaden mężczyzna, żaden nie widział, ani nie znał mojego ciała. Ale jakże byłbyś mógł się tego domyśleć, mój ukochany, nie stawiałam Ci przecież żadnego oporu, tłumiłam w sobie wahanie się wstydu, żebyś tylko nie odgadł mojej tajemnicy, któraby Cię była z pewnością przestraszyła — bo Ty lubisz tylko lekkie przygody, igraszki bez znaczenia, boisz się być zaplątanym w czyjeś przeznaczenie!... Chcesz się rozdać całemu światu i nie chcesz ofiar. Błagam Cię, nie zrozum mnie fałszywie, jeżeli Ci teraz powiem, mój ukochany, że byłeś pierwszym, któremu się oddałam! Nie oskarżam Cię, nie kusiłeś mnie wcale, nie chciałeś mnie uwieść — ja, ja sama przyszłam do Ciebie, rzuciłam się Tobie w objęcia, rzuciłam się w moje przeznaczenie! Nigdy, nigdy nie będę Cię oskarżała, nie, zawsze będę Ci tylko wdzięczna za tę noc tak bogatą, tak rozkoszną, tak bardzo dla mnie szczęśliwą. Kiedy otworzyłam oczy w ciemności i czułam Cię u mego boku, dziwiłam się, że nie widzę gwiazd nad sobą, tak bardzo czułam się w niebie. Nie, mój ukochany, nigdy

nie żałowałam tej pierwszej nocy! Pamiętam jeszcze dziś, że kiedy spałeś, kiedy słyszałam Twój oddech, czułam Twoje ciało, byłam tak blisko Ciebie, płakałam w ciemności ze szczęścia.

Rano spieszyłam się, żeby odejść wcześniej, musiałam iść do magazynu i nie chciałam doczekać się Twego służącego, wołałam, żeby mnie nie widział. Kiedy stanęłam przed Tobą już ubrana, wziąłeś mnie w ramiona; patrzyłeś na mnie długo, czy było to może wspomnienie, które zafalowało w Tobie, czy wydawałam Ci się tylko ładną? Potem pocałowałeś mnie w usta. Uwolniłam się lekko z Twojego uścisku i chciałam odejść, wtedy spytałeś:

— Czy nie chcesz zabrać kilku róż?

Powiedziałam, że tak. Wtedy wziąłeś cztery białe róże z kryształowego wazonu na biurku (ach, znałam go już z owej bytności ukradkiem w czasach dzieciństwa) i dałeś mi je. Całowałam je jeszcze długo potem.

Postanowiliśmy przedtem, że spotkamy się znowu pewnego wieczoru. Przyszłam i znowu było rozkosznie. I jeszcze trzecią noc mi darowałeś. Potem powiedziałaś, że musisz wyjechać — ach, jakże nienawidziłam tych podróży jeszcze w dzieciństwie! I przyrzekłeś mi, że mi dasz natychmiast znać po powrocie. Dałam Ci adres na poste restante - nazwiska nie chciałam Ci wyjawić. Nie chciałam zdradzić mojej tajemnicy. I znowu dałeś mi parę róż na pożegnanie — na pożegnanie...

Codziennie przez dwa miesiące pytałam na pocucie... ale pocóż pisywać tę piekielną mękę oczekiwania, rozpacz! Nie oskarżam Cie, kocham Cie

takim, jakim jesteś, gorącym i łatwo zapominającym, oddanym i niewiernym. Kocham Cię takim, tylko takim, jakim byłeś zawsze i jakim jesteś dziś jeszcze. Wróciłeś już oddawna, widziałam to po Twoich oświetlonych oknach — ale nie napisałeś do mnie. Nie mam teraz w ostatniej godzinie życia ani jednego słowa, skreślonego Twoją ręką, ani jednego słowa od Ciebie, któremu oddałam życie. Czekałam, czekałam, jak na torturach. Ale nie zawołałeś mnie, ani jednego słowa nie napisałeś do mnie... ani jednego słowa...

\*

Moje dziecko umarło wczoraj — Twoje dziecko. To było Twoje dziecko, mój ukochany, owoc jednej z owych trzech nocy, przysięgam Ci, a nie kłamię się przed śmiercią!... Ono było *naszem* dzieckiem, przysięgam Ci, że żaden inny mężczyzna nie dotknął mnie od tej chwili, kiedy się Tobie oddałam aż do tej chwili, kiedy wydałam to dziecko na świat!... Wydawałam się sama sobie uświęconą Twoim uściskiem, jakże byłabym była w stanie dzielić się między Tobą, który mi byłeś wszystkim, a innymi, którzy tylko przechodzili obok mego życia? Dziecko to było *naszem* dzieckiem, mój ukochany, dzieckiem mojej świadomej miłości i Twojej lekomyślniej, rozrzutnej, prawie mimowolnej pieszczoty, *naszem* dzieckiem, naszym synem, mojem jedynem dzieckiem! Ale zapytasz teraz — może się przełęknie, może tylko zdziwisz — zapytasz mnie, mój ukochany, dlaczego milczałam przed Tobą przez tyle lat o tem dziecku i dopiero dzisiaj mówię

o niem, kiedy ono tu w ciemności śpi, śpi na zaw-  
sze i leży gotowe do odejścia bez powrotu, bez  
powrotu! Ale jakżeby była mogła powiedzieć  
Ci o tem? Nigdy nie byłbyś uwierzył, mnie, obcej,  
zanadto ochoczej towarzyszce owych trzech nocy,  
która oddała Ci się bez oporu, bez sprzeciwu... Nig-  
dy nie byłbyś uwierzył owej przypadkiem spotkanej,  
obcej istocie bez nazwiska — że była wierną Tobie,  
niewiernemu!... Nigdy nie byłbyś bez wątpliwości  
uznał tego dziecka za swoje! Nigdy nie byłbyś się  
pozbył utajonego podejrzenia, choćby nawet moje  
słowa wydawały Ci się prawdą, że starałam się  
Tobie, zamożnemu człowiekowi, podsunąć owoc no-  
cy, spędzonej z kim innym! Byłbyś mnie posądzał,  
byłby pozostał między Tobą a mną choćby prze-  
lotny cień niedowierzania! Tego nie chciałam. Po-  
zatem, przecież Ciebie znam, wiem, że dla Ciebie,  
który lubisz tylko lekkie, niefrasobliwe bawienie  
się miłością, byłoby bardzo przykro naraz zostać  
ojcem, odpowiedzialnym za czyjeś losy. Byłbyś  
się czuł jakoś związany ze mną, Ty, który tylko  
w wolności umiesz oddychać. I byłbyś mnie —  
wiem, że byłoby się tak stało, mimo Twojej woli!  
— byłbyś mnie zniechęcił za to związanie. Może  
tylko przez krótki czas, może przez chwilę byłabym  
Ci niewygodną, ale dumą moją było, żebyś przez  
całe życie mógł myśleć o mnie bez troski. — Wo-  
lałam raczej znosić wszystko, niż stać się ciężarem  
— Tobie, wolałam być tą jedną między Twemi  
wszystkimi kochankami, o której będziesz myślał  
zawsze z miłością i wdzięcznością. Ale Ty przecież  
o mnie nie myślałeś nigdy, zapomniałeś mnie...



Nie oskarżam Cię, mój ukochany, nie oskarżam Ciebie! Przebac mi, jeżeli mi czasem kropla gorczy spłynie na pióro. Przebac mi. Moje dziecko, nasze dziecko leży tu w migocących płomykach świec, Bogu groziłam pięściami, nazywałam Go mordercą! Moje myśli są mętne i bałamutne, przebac mi moją skargę, przebac mi!... Wiem, że jesteś dobry w głębi serca i chętnie pomagasz innym, ratując nawet obcych sobie, jeżeli Cię poproszą o pomoc. Ale Twoja dobroć jest dziwna, każdy ma do niej dostęp, każdy może wziąć z niej, wiele chce, wiele jego ręce uchwycą, Twoja dobroć jest wielka, nieskończenie wielka, ale jest — wybacz mi: — leniwa. Chce, żeby odwoływać się do niej, chce, żeby ją zdobywać. Ratujesz chętnie, jeżeli się Ciebie zawoła, poprosi; ratujesz ze wstydu, ze strachu, z słabości, ale nie z chęci ratowania. Ty — pozwól sobie powiedzieć otwarcie — nie kochasz człowieka, będącego w niedostatku i przygnębieniu bardziej, niż Twego brata, opływającego w szczęściu. A takich ludzi, jak Ty, nawet najlepszych, ciężko jest o coś prosić. Raz, gdy byłam jeszcze dzieckiem, widziałam przez okienko w naszych drzwiach, jak dałeś coś żebrakowi, który dzwonił do Twoich drzwi, dałeś mu prędko i nawet dużo, ale podałeś mu te pieniądze z pewną trwogą i pośpiechem, z życzeniem, żeby sobie poszedł jak najprędzej, zdawało mi się, żeś się bał spojrzeć mu w oczy. Zawsze będę pamiętać ten Twój niespokojny, bojaźliwy, uciekający przed wdzięcznością rodzaj dobroci. I dlatego nigdy nie zwróciłam się do Ciebie. Wiem, że byłbyś mnie wte-

dy nie opuścił, nawet nie mając przekonania, że to Twoje dziecko. Byłbyś mnie pocieszał, dał mi pieniądze, dużo pieniędzy, ale zawsze z tą tajemną niecierpliwością, żeby odsunąć do siebie tę niewygodną, tę nieprzyjemną sprawę. Zdaje mi się, że byłbyś mnie nawet namówił, żebym pozbyła się dziecka przed czasem. A tego bałam się najbardziej, — bo czegoż nie byłabym zrobiła dla Ciebie, jeżelibyś był zażądał, jakże umiałabym Tobie czegoś odmówić! Ale to dziecko było dla mnie wszystkim, było przecież *Twojem* dzieckiem, powtórzeniem Ciebie samego, ale nie tego szczęśliwego, beztroskiego, którego nie umiałam przywiązać do siebie, tylko Ciebie — (tak sobie wyobrażałam) — na zawsze mnie oddanego, uwięzionego w moim ciele, związanego z moim życiem. *Miałam* Cię narzecie, czułam Ciebie, czułam, jak Twoje życie rosło we mnie, mogłam Cię żywić, dawać Ci pić, pieścić Cię, całować, ile tylko moja dusza zapragnie! Dlatego byłam taką szczęśliwą, mój ukochany, kiedy się dowiedziałam, że będę matką Twego dziecka, dlatego przemilczałam Ci o tem, bo teraz nie mogłeś mi już uciec.

Ale, mój ukochany, miesiące te nie były tylko pełne szczęścia, tak jak je sobie z początku wyobrażałam w myślach, były to miesiące także pełne męki, pełne wstrętu do ludzkiej podłości. Nie było mi lekko, o nie!.. W ostatnich czasach nie mogłam już pracować, żeby mój stan nie wpadł w oko krewnym i żeby nie napisali do domu. Od matki nie chciałam brać pieniędzy i pomagałam sobie, aż do chwili porodu sprzedażą biżuterji, jaką miałam

w domu. Na tydzień przed porodem ukradła mi do chwili porodu, sprzedają biżuterji, jaką miałam pójść do szpitala. Tam, gdzie przywlekały się w nędzy tylko najbiedniejsze, wyklęte, zapomniane istoty, tam, wśród ostatnich szumowin społeczeństwa, tam przysło na świat moje dziecko, Twoje dziecko. Śmierć panowała tam, obce byłyśmy sobie wszystkie, samotne i pełne nienawiści jedna dla drugiej, zepchnęte tą samą męką w tę chloroformem przesyconą salę. Wycierpiałem podczas tego pobytu tam, wszystko co nędza musi znieść: moralny i fizyczny wstyd wskutek obcowania z prostytutkami i z choremi, dla których wspólność losu była przedmiotem prostackich dowycipów, cynizim młodych lekarzy, którzy z ironicznym uśmiechem odkrywają niemogącą się bronić pacjentkę i dotykają jej, udając specjalistów, chciwość pielęgniarek — ach, tam wstyd człowieka krzyżowany jest spojrzzeniami i biczowany słowami! Tabliczka z nazwiskiem, to jedyna rzecz, która jeszcze jest własnością, bo człowiek, który leży w łóżku, jest już tylko drgającym kawałkiem mięsa, macanym przez ciekawych przedmiotem, wystawionym na widok publiczny i dla studjów — ach, te kobiety, które rodzą dziecko w domu, nie wiedzą, co to znaczy wyuawać dziecko na świat samotnie leżbronnie, niejako na stole, przeznaczonym do eksperymentowania! A kiedy czytam dziś jeszcze w jakiejś książce słowo: piekło, myślę o tej dusznej, pełnej zapachu krwi i jęków sali, w której tyle wycierpiałem, myślę o tej rzeźni wstydu!...

Wybacz mi, że o tem mówię. Ale tylko ten jeden

raz, potem już nigdy nie będę mówiła... Przez jedenaście lat milczałam o tem, a niezdługo zamilknę na wieki. Raz musiałam wypowiedzieć, tylko raz jeden, jak drogo kosztowało mnie to dziecko, które było mojem szczęściem! Zapomniałam już o tych chwilach dawno zapomniałam wobec uśmiechu wobec głosu dziecka, w mojem szczęściu, ale teraz, kiedy dziecię umarło, męka odżyła na nowo, musiałam wypowiedzieć to, tylko ten jeden, jedyny raz. Ale Ciebie nie oskarżam, przysięgam Ci, nigdy nawet w gniewie nie buntowałam się przeciwko Tobie. Nawet w tej godzinie, kiedy moje ciało kurczyło się w bólach, kiedy je palił wstyd pod dotykalnemi spojrzeniami studentów, nawet w tej sekundzie, kiedy ból mi rozdarł duszę, nie oskarżałam Ciebie przed Bogiem; nigdy, nigdy nie żałowałam tych nocy, spędzonych u Ciebie, nigdy nie przeklinałam mojej miłości dla Ciebie, zawsze Cię kochałam, zawsze błogosławiłam chwilę, w której Ciebie spotkałam... A gdybym musiała jeszcze raz przejść przez piekło tych strasznych chwil i gdybym wiedziała przytem, co mnie czeka, postąpiłabym jeszcze raz tak samo, mój kochany, jeszcze raz tak samo....

\*

Nasze dziecko umarło wczoraj — Ty go nigdy nie widziałeś. Nigdy, nawet w przelotnem, przypadkowem spotkaniu nie spoczął Twój wzrok na Twoim synu! Ukrywałam się długo przed Tobą,

odkąd miałam to dziecko, moja tęsknota do Ciebie stała się mniej bolesną, zdaje mi się, że kochałam Cię mniej namiętnie, w każdym razie nie cierpiałam tak bardzo z powodu mojej miłości. Odkąd posiadałam to dziecko, nie chciałam dzielić siebie między niem a Tobą, i dlatego nie oddałam się Tobie, który przechodziłeś zawsze tylko *obok* mego życia, lecz raczej dziecku, które mnie potrzebowało, które musiałam żywić, które mogłam całować i ścisnąć. Wydawało mi się, że mnie uratowało Przeznaczenie. Uratowało przez to Twoje drugie ja, które było naprawdę mojem — rzadko, bardzo rzadko czułam wewnętrzną potrzebę, by pójść pod Twoje okno. O jednej rzeczy tylko nie zapomniałam nigdy — posyłałam Ci zawsze w dniu Twoich urodzin kilka róż, takich samych, jakie mi dałeś po naszej pierwszej nocy. Czy zapytałeś się siebie kiedy, podczas tych dziesięciu, jedenastu lat, kto Ci je przysyła? Czy przypominałeś sobie jeszcze może ową dziewczynę, której darowałeś takie róże? Nie wiem i nigdy się nie dowiem. Chciałam Ci je tylko ofiarować potajemnie, jeden raz w roku pozwolić zakwitnąć wspomnieniu owej chwili — to mi wystarczyło.

Nigdy nie widziałeś tego biednego chłopczyny, nie widziałeś nigdy, jak się śmiał, jak podnosił powieki i swojemi mądrymi oczyma — Twojemi oczyma — rzucał jasne, wesołe światło na mnie, na cały świat. Ach, jaki on był wesoły, miły, lekkość Twojej natury powórzyła się w nim!... Twoja szybka, ruchliwa fantazja budziła się w nim na nowo, godzinami umiał bawić się drobiazgami, tak, jak Ty

się bawisz, a potem siedział znowu poważny nad książkami. Coraz więcej stawał się Tobą; zaczynała się w nim rozwijać owa dwoistość powagi i lekkości, tak charakterystyczna u Ciebie, a im stawał się podobniejszy do Ciebie, tem więcej go kochałam. Uczył się dobrze, po francusku paplał, jak sroka, jego zeszyty były najlepiej utrzymane w całej klasie, a jaki ładny był przytem, jaki elegancki w swoim czarnem, aksamitnem ubraniu i białym kołnierzyku... Zawsze był najelegantszy wśród dzieci, gdzie tylko się pokazał. Kiedy szłam z nim po wybrzeżu w Grado, kobiety stawały i gładziły jego długie jasne włosy, na Semmeringu, dokąd jeździł zimą na saneczki, oglądali się za nim ludzie z podziwem. Był taki ładny, delikatny, uprzejmy; kiedy w ostatnim roku przyjęli go do The-resianum, nosił swój mundurek i szpadę, jak paź z osiemnastego wieku — teraz nic nie ma na sobie, prócz koszulki, biedaczek leży blady, że złożonemi rączkami...

Ale zapytasz mnie może, w jaki sposób zdobyłam się na to, by wychowywać to dziecko w takim dobrobycie — jak potrafiłam stworzyć mu to wielkoświatowe życie? Mówię dziś do Ciebie z tamtego świata, nie mam już wstydu, powiem Ci; mój ukochany, nie przerażaj się — sprzedawałam się. Miałam bogatych przyjaciół, bogatych kochanków, najpierw ja ich szukałam, potem oni mnie szukali, bo byłam — czy zauważyłeś to kiedy? — byłam bardzo ładna. Mężczyźni kochali mnie, dziękowali mi, byli do mnie przywiązani, — tylko nie Ty, tylko nie Ty — mój ukochany!

Czy pogardzasz mną teraz, kiedy Ci wyznałam, że się sprzedawałam? Nie, wiem, że mną nie pogardzasz, wiem, że rozumiesz wszystko i rozumiesz także i to, że zrobiłam to dla Ciebie, dla Twego drugiego ja, dla Twego dziecka. W tej strasznej sali kliniki położniczej otarłam się o nędzę, wiedziałam, że na tym świecie biedny jest zawsze poniżony, że jest ofiarą, a ja nie chciałam za żadną cenę, żeby Twoje dziecko, Twoje jasne, piękne dziecko wyrastało w dusznych szumowinach podłości ulicznej, w zatrutem powietrzu podwórza! Jego delikatne usteczka nie powinny były znać żargonu pospólstwa, jego białe ciało nie powinno było czuć na sobie grubej, cuchnącej pleśnią bielizny nędzarzy — Twoje dziecko powinno było mieć wszystko, całe bogactwo świata, powinno było wznieść się znowu do Ciebie, w atmosferę Twego życia.

Dlatego, tylko dlatego, mój ukochany, sprzedawałam się. Nie było to dla mnie ofiarą bo to, co zresztą nazywają honorem i wstydem, nie miało dla mnie znaczenia; nie kochałeś mnie Ty jedyny, do którego moje ciało należało naprawdę, więc uważałam, że to było zupełnie obojętne, co zresztą działo się ze mną. Pieszczoty mężczyzn, nawet ich namiętność nie wzruszały mnie do głębi, mimo, że niektórych z nich szanowałam i nieraz, pamiętna własnego losu, doznawałam współczucia dla ich nieodwzajemnionej miłości. Wszyscy byli dla mnie dobrzy, wszyscy, których znałam, rozpieszczali mnie, wszyscy odnosili się do mnie należycie. Był między nimi jeden hrabia, wdowiec, ten sam, któremu udało się wyrobić przyjęcie naszego syna

do Theresianum, dziecka bez ojca, Twego dziecka — człowiek ten kochał mnie, jak córkę. Trzy czy cztery razy oświadczył mi się — mogłabym być dziś hrabiną, panią wspaniałego zamku w Tyrolu, mogłabym być wolną od wszystkich kłopotów, bo dziecko miałoby kochającego ojca, który je ubóstwiał, a ja — dobrego, cichego męża — ale nie uczyniłam tego, choć tak bardzo, tak często nastawał na to — choć tak wiele zadawałam mu bólu odmową. Może to była głupota z mej strony, bo żyłabym gdzieś cicho i bez troski, a to dziecko ukochane byłoby ze mną, ale — dlaczego nie mam Ci wyznać? — nie chciałam się wiązać, chciałam być wolną dla Ciebie, w każdej chwili. Gdzieś w głębi duszy, pod świadomością, żyło we mnie jeszcze ciągle dawne marzenie, że może mnie jednak kiedyś do siebie zawołasz, choćby na godzinę. I dla tej jednej, niepewnej chwili odrzuciłam wszystko od siebie, żeby tylko być wolną dla Ciebie, na Twoje pierwsze zawołanie! Całe moje życie było od chwili zbudzenia się z dzieciństwa czekaniem, tylko czekaniem na Twoją wolę!..

Owa oczekiwana chwila nadeszła. Ale Ty nie wiesz kiedy, nie domyślasz się, mój ukochany! Wtedy także nie poznałeś mnie — nigdy, nigdy mnie nie poznawałeś! Spotykałam Cię już dawniej dość często w teatrze, na koncercie, w Praterze, na ulicy, — za każdym razem coś targało mi serce, ale Ty nigdy nie patrzyłeś na mnie. Zewnętrznie byłam całkiem inna, z nieśmiałego dziecka zrobiłam się kobietą, ładną, jak mówiono, w kosztownych tualetach, otoczona wielbicielami; jakże mogłeś



przypuścić, że jestem tą samą bojaźliwą dziewczyną, którą widziałeś w półmrocznym świetle Twojej sypialni! Czasem kłaniał Ci się któryś z panów, idących ze mną, odkłoniłeś się i popatrzyłeś na mnie, ale Twoje spojrzenie było obojętne, grzeszne, uznające, ale nie poznające, obce, okropnie obce. Razu pewnego — pamiętam — to niepoznanie, do którego się już prawie przyzwyczyłam, było dla mnie straszną męką. Siedziałam w operze, w łoży, z przyjacielem, a obok w sąsiedniej łoży siedziałeś Ty. Podczas uwertury światła zgasły, nie mogłam widzieć już Twojej twarzy, czułam tylko Twój oddech tak blisko siebie, jak wtedy w nocy, a na aksamitnej poręczy między naszymi łóżkami leżała Twoja ręka, Twoja delikatna, wypielegnowana ręka. I zapragnęłam gorąco schylić się i pocałować pokornie tę ukochaną rękę, której pieszczotę czułam niegdyś na sobie. Wokoło mnie falowały tony muzyki, a ja coraz namiętniej czułam w sobie to pragnienie ucałowania Twej ręki, musiałam cofnąć się wгłąb, powstrzymać się gwałtownie, tak Twoja ukochana ręka nieustannie, jak magnes, przyciągała moje usta. Po pierwszym akcie poprosiłam mego przyjaciela, żebyśmy wyszli. Nie mogłam wytrzymać dłużej tego uczucia, że jesteś taki bliski, a taki obcy...

Ale owa oczekiwana przeze mnie chwila nadeszła nareszcie, nadeszła raz jeszcze w mojem zmarnowanym życiu. Było to właśnie prawie przed rokiem, w dzień po Twoich urodzinach, które obchodziłam zawsze, jak święto. Wcześniej rano wyszłam z domu i kupiłam białe róże, które posła-

łam Ci, jak co roku, w ten dzień, na pamiątkę chwili, o której Ty zapomniałeś! Popołudniu wyjechałam z moim chłopczykiem na przejażdżkę, zaprowadziłam go do cukierni, a wieczorem — do teatru, chciałam, żeby on także od młodości uważał ten dzień za jakieś niesłychane święto, nie znając jego znaczenia. Nazajutrz byłam w towarzystwie mego ówczesnego przyjaciela, młodego fabrykanta z Berna, z którym żyłam już od dwóch lat i który mnie ubóstwiał, rozpieszczał i chciał się ze mną żenić, jak tamci, a któremu tak samo odmawiałam, jak tamtym, pozornie bez powodu, pomimo, że obsypywał mnie i dziecko prezentami i sam był godny miłości za swą niewolniczą prawie dobroć. Poszliśmy razem na koncert, spotkaliśmy tam wesołe towarzystwo, zjedliśmy kolację w restauracji na Ringu i wśród rozmowy i śmiechu zaproponowałam, żebyśmy poszli jeszcze do nocnego dancingu, do Tabarin'u. Nienawidziłam właściwie takich lokali za ich sztuczną, obowiązkową „wesołość” — i broniłam się zawsze przeciw takim propozycjom, ale tym razem jakby jakaś niezbadana, magiczna siła zmusiła mnie do rzucenia tej propozycji, przyjętej ochoczo przez podniecone towarzystwo — czułam naraz niewytłómaczoną ochotę pójścia tam, jakby tam coś osobliwego czekało na mnie. Wszyscy wstali szybko z miejsc, przyzwyczajeni słuchać mnie na pierwsze skinienie; poszliśmy do Tabarin'a, piliśmy szampana, a ja uczułam naraz dziwną, szaloną, prawie bolesną wesołość, jakiej nie pamiętałam. Piłam, śpiewałam banalne piosenki, czułam jakiś przymus tańca lub głośnego śmiechu.

Ale nagle — miałam uczucie, jakby ktoś położył mi na serce lód — zerwałam się z miejsca; przy sąsiednim stoliku siedziałeś Ty z kilkoma panami i patrzyłeś na mnie z podziwem i pożądaniem, patrzyłeś na mnie tak, że byłam, jak zawsze takim Twojem spojrzeniem wstrząśnięta do głębi duszy. Po raz pierwszy od dziesięciu lat patrzyłeś znowu na mnie z właściwą Ci namiętną siłą. Zadrżałam. O mało nie wypadł mi z ręki kieliszek, który właśnie wносиłam do góry. Na szczęście moje towarzysztwo nie spostrzegło mego zmieszania, odurzone huczną muzyką i głościami śmiechami.

Twój wzrok stawał się coraz gorętszy i rozogniał mnie coraz bardziej. Nie wiedziałam, czy mnie narazie poznałeś, czy też pożądałeś mnie na nowo, jako inną, jako obcą? Krew przy płynęła mi do twarzy, z roztargnieniem odpowiadałam moim towarzyszom, musiałeś spostrzec, jak bardzo byłam zmieszana Twoim wzrokiem. Niepostrzeżenie dałeś mi znak głową, żebym na chwilę wyszła do garderoby. Potem zapłaciłeś ostentacyjnie, pożegnałeś się z Twoimi przyjaciółmi i wyszłeś, dając mi jeszcze raz znak, że będziesz na mnie czekał. Drżałam jak podczas mrozu, czy jak w gorączce, nie mogłam już odpowiadać na pytania, nie mogłam już zapanować nad wzburzoną krwią. Przypadkiem zaczęła właśnie tańczyć para murzynów jakiś nowy taniec, krzycząc przenikliwie, trzaskając obcasami, wszyscy patrzyli na nich; skorzystałam z tej chwili, wstałam, powiedziałam memu przyjacielowi, że zaraz wrócę i poszłam za Tobą.

W przedpokoju, przed garderobą, stałeś i czeka-

leś na mnie; Twój wzrok rozjaśnił się, kiedy przyszałam. Z uśmiechem pospieszyłeś naprzeciw mnie, widziałam odrazu, że mnie nie poznałeś, nie poznałeś ani dziecka, ani dziewczyny, jeszcze raz sięgnęłeś po mnie, jak po kogoś nowego, nieznanego.

— Czy będziesz i dla mnie miała kiedy wolną chwilę? — spytałeś poufale, czułam po pewności, z jaką zadałeś mi o pytanie, że uważasz mnie za jedną z tych istot, sprzedających się na jedną noc.

— Tak — odpowiedziałam, tak jak wtedy, kiedy „tak”, tak samo rżąc odpowiedziała Ci owa młoda dziewczyna, wówczas o zmroku na ulicy.

— A kiedy będziemy mogli się zobaczyć? — spytałeś.

— Kiedy tylko zechcesz — odpowiedziałam, przed Tobą nie czułam wstydu.

Popatrzyłeś na mnie trochę zdziwiony tem samem niedowierzającym, ciekawem spojrzeniem, jak wówczas, kiedy Cię szybkość mojej decyzji także zdziwiła.

— Czy możesz wyjść ze mną razem? — spytałeś z lekkim wahaniem.

— Tak, — odpowiedziałam — chodźmy.

Chciałam najpierw iść do garderoby po płaszcz. Ale wpadło mi na myśl, że numerek z garderoby schował mój przyjaciel. Nie mogłam wracać teraz do sali i żądać numerka bez umotywowania tego kroku, z drugiej zaś strony nie chciałam zrezygnować z tej od lat wymarzonej i z tęsknotą oczekiwannej chwili. Dlatego nie zawahałam się ani sekundy, zarzuciłam tylko szal na wieczorową suknię i wyszłam w mglistą, wilgotną noc, nie troszcząc się o

płaszcz, nie troszcząc się o tego dobrego, przywiązanego do mnie człowieka, z którym żyłam od lat i którego poniżałam teraz w oczach jego przyjaciół, robiąc z niego śmiesznego durnia, którego po latach odbiega kochanka na pierwsze gwizdnięcie obcego człowieka. Byłam w głębi duszy zupełnie przekonana, że moje postępowanie względem tego uczciwego, wiernego przyjaciela, jest haniebne, podłe, czułam, że w mojem szaleństwie popełniłam śmieszność i obrażam śmiertelnie dobrego człowieka, czułam, że niszczę własne życie — ale czem była dla mnie przyjaźń, czem moja własna egzystencja, wobec niecierpliwości dotknięcia raz znowu Twoich ust, usłyszenia Twych miękko wymawianych słów, zwróconych do mnie?! Tak kocham Ciebie, teraz, kiedy wszystko przeszło i znikło. I zdaje mi się, że gdybyś mnie zawołał, kiedy będę leżała na łożu śmierci, znalazłabym naraz siłę, żeby wstać i pójść z Tobą.

Przed wejściem stała dorożka, pojechaliśmy do Ciebie. Słyszałam znowu Twój głos, czułam Cię blisko siebie i byłam tak samo upojona, tak samo dziecinnie uszczęśliwiona i zmieszana, jak wówczas... Z jakim uczuciem szłam po dziesięciu latach po tych samych schodach — nie, nie, tego nie potrafię Ci opisać. Jak wszystko podwójnie odczuwałam w tej chwili: dawno przeszłe czasy i teraźniejszość, a we wszystkim, we wszystkim byłeś Ty cały. W Twoim pokoju było mało zmian, kilka książek, gdzieś gdzie nowe meble, ale wszystko witało mnie, jak starzy znajomi, a na biurku stał wazon, a w nim róże, które Ci dzień przedtem przysłałam, jako wspo-

mnienie osoby, której sobie nie przypominałeś, której nigdy nie poznałeś, nawet teraz, kiedy Ci była tak bliska, kiedy jej ręka była w Twojej ręce, jej usta na Twoich ustach. Ale było mi miło, że pielęgnowałeś moje kwiaty, w ten sposób w Twojem mieszkaniu istniało przecież tchnienie mojej osoby, mojej miłości.

Wzięłaś mnie w ramiona. Znowu zostałam u Ciebie przez całą, cudowną noc. Ale nawet mnie nagej także nie poznałeś. Odczuwałam Twoje świadome pieśczoty, widziałam, że Twoja namiętność *nie* robi różnicy między kochanką a kobietą, sprzedającą się, że oddajesz się cały Twemu pożądaniu z nieograniczoną, szczodłą pełnią Twojej natury. Byłeś taki czuły, delikatny dla mnie, dla mnie, kobiety, zabranej z nocnego lokalu, tak wykwintny w rozkoszy; znowu uczułam, upojona dawnem szczęściem, ową osobliwą dwoistość Twojej natury: duchową namiętność w zmysłowej cielesności. Nigdy nie widziałam w mężczyźnie takiego oddania się chwili, takiej wybuchowości i rozpalenia najwewnętrzniejszej istoty, które — wprawda—gasną potem i giną w nieskończonym, prawie nieludzkim zapomnieniu. Ale ja także zapomniałam o sobie; kimże byłam teraz w ciemności przy Tobie? Czy byłam owem rozognionem dzieckiem z dawnych lat, czy byłam matką Twojego dziecka, czy byłam obcą?... Ach, jakże podczas tej namiętnej nocy wszystko było mi znane i przeżyte, a znowu tak upajająco nowe! I modliłam się, żeby się ta noc nie skończyła nigdy.

Ale przyszedł ranek, wstaliśmy późno. Zaprosi-

łaś mnie jeszcze, żebym wypła razem z Tobą śniadanie. Piliśmy herbatę, którą jakaś niewidzialna ręka dyskretnie przygotowała w jadalnym pokoju, i rozmawialiśmy. Znowu mówiłeś do mnie z całą serdecznością, szczerą poufałością, jak wówczas, znowu nie zadawałeś mi niedyskretnych pytań, ani nie okazywałeś ciekawości, kim jestem. Nie zapytałeś mnie ani o moje nazwisko, ani o moje mieszkanie, byłam dla Ciebie znowu tylko tą jednorazową przygodą, ową namiętną chwilą, która mija bez znaku w upojonem zapomnieniu. Opowiadałeś, że chcesz znowu wyjechać teraz daleko do północnej Afryki na dwa, trzy miesiące — zadrżałam: wszystko znowu minęło, utopione w zapomnieniu! Najchętniej byłabym Ci upadła do nóg i byłabym krzyczała:

— Weź mnie z sobą, żebyś mnie raz nareszcie poznał, nareszcie, nareszcie, po tylu latach!

Ale byłam taka bojaźliwa, taka tchórzliwa, tak niewolniczo słaba wobec Ciebie... Wyjąknęłam tylko:

— Jaka szkoda!

Popatrzyłeś na mnie z uśmiechem:

— Czy naprawdę żal ci?

Wtedy porwała mnie nagła złość, wstałam, popatrzyłam na Ciebie długo i wymownie. Potem powiedziałam:

— Człowiek, którego kochałam, także zawsze wyjeżdżał. — I popatrzyłam Ci prosto w oczy.

— Teraz, teraz mnie pozna! — drżało we mnie oczekiwanie. Ale ty uśmiechnąłeś się tylko do mnie i chcąc mnie pocieszyć, powiedziałeś:

— Z podróży się wraca.

— Tak — odpowiedziałam — wraca się, ale wtedy już się zapomniało.

Musiało być coś osobliwego w moim głosie, czy w sposobie, w jakim to powiedziałam. Bo wstałeś także i popatrzyłeś na mnie ze zdziwieniem i miłością:

— Dobrych rzeczy nie zapomina się — powiedziałeś — Ciebie nigdy nie zapomnę.

Przy tem Twój wzrok zapadł we mnie, jakgdybyś chciał utrwalić sobie mój obraz w pamięci. I podczas kiedy czułam, jak Twój wzrok wchodzi we mnie, szukając, wchłaniając całą moją istotę, wtedy pomyślałam, że nareszcie Twoja ślepota skończyła się, że teraz mnie poznasz... teraz, teraz, dusza moja drgała przy tej myśli.

Ale nie poznałeś mnie. Nie poznałeś mnie, nigdy nie byłam dla Ciebie bardziej obca, niż w tej chwili, bo zresztą — nie byłbyś mógł uczynić tego, co w kilka minut potem uczyniłeś. Najpierw ucałowałeś mnie jeszcze raz namiętnie. Musiałam uporządkować sobie włosy, które się zburzyły, i gdy stałam przed zwierciadłem, zobaczyłam w niem — i myślałam, że upadnę ze wstydu i przerażenia! — zobaczyłam, jak wsunąłeś kilka banknotów do mego zarękawka. Jak nie krzyknąć wtedy, nie uderzyć Cię w twarz?! — Mnie, która Cię kochała od dziecka, matce Twego syna, *mnie* płaciłeś za tę noc! Byłam dla Ciebie tylko dziewczką z Tabarin'u — więc niczem — zapłaciłeś mnie, zapłaciłeś! Nie wystarczyło, żeś mnie zapomniał, musiałeś mnie jeszcze upokorzyć!



Szybko poszukałam moich rzeczy. Chciałam wyjść, wyjść, jak najprędzej. Był to za wielki ból dla mnie. Chwyciłam kapelusz, który leżał na biurku obok wazonu z białymi różami, z mojami różami. Nie mogłam się powstrzymać, jeszcze raz chciałam obudzić w Tobie wspomnienie.

— Czy nie zechciałbyś mi dać jednej z tych białych róż?

— Owszem — odpowiedziałeś i wyjęłeś od razu kilka.

— Ale może one pochodzą od kobiety, która Cię kocha? — powiedziałam.

Nie wiem od kogo, dlatego lubię je tak bardzo.

Popatrzyłem na Ciebie szybko.

— Może są od kobiety, o której zapomniałeś?

Popatrzyłeś na mnie zdziwiony. Ja nie spuszczałam oka z Ciebie.

— Poznaj mnie, poznaj mnie — krzyczał mój wzrok. Ale Twoje oczy uśmiechały się uprzejmie i nieświadomie. Pocałowałeś mnie jeszcze raz. Ale nie poznałeś mnie.

Poszłam szybko do drzwi, bo czułam, że mi łzy napływają do oczu — a tego nie powinieneś był widzieć. W przedpokoju — tak gwałtownie wybiegłam — zderzyłam się prawie z Janem, Twoim służącym. Bojaźliwie i usłużnie odskoczył na bok i otworzył drzwi, żeby mnie wypuścić i wtedy — w tej jednej sekundzie, słyszysz? — w tej jednej sekundzie, kiedy spojrzałam na niego załzawionymi oczyma, na niego, podstarzałego lokaja, drgnęło nagle coś w jego spojrzeniu. W tej jednej sekun-

dzie, słyszysz? w tej jednej sekundzie poznał mnie ten człowiek, który mnie nie widział od czasu, kiedy byłam dzieckiem. Byłabym chciała uklęknąć przed nim i pocałować jego ręce. Ale wyjęłam szybko tylko banknoty, któremi mnie spoliczkowałeś i wsunęłam mu je w rękę. Popatrzył na mnie przestraszony i w tej chwili więcej może, zrozumiał mnie, niż Ty w ciągu całego Twojego życia.

Wszyscy, wszyscy rozpieszczali, kochali mnie. Wszyscy byli dla mnie dobrzy — tylko Ty, tylko Ty zapomniałeś mnie, tylko ty mnie nie poznawałeś nigdy...

\*

Moje dziecko, nasze dziecko umarło — nie mam już teraz nikogo na świecie, kogobym mogła kochać, prócz Ciebie. Ale kimże Ty jesteś dla mnie, który przechodzisz obok mnie jak obok płynącej wody, który depczesz po mnie, jak po kamieniu, który ciągle idziesz i idziesz — a mnie pozostawiasz w wiecznem oczekiwaniu? Raz zdawało mi się, że Cię zatrzymam — Ciebie, wieczne uciekającego — w dziecku. Ale to było *Twoje* dziecko, i ono odeszło odemnie w nocy, bez litości, odeszło w daleką drogę, zapomniało o mnie i nie wróci już więcej. Jestem znowu sama, więcej sama niż kiedykolwiek — nic nie mam, nic nie mam od Ciebie — ani dziecka już nie mam, ani jednego słowa, ani karteczki, żadnej pamiętki. A gdyby kto wymówił przed Tobą moje nazwisko, obiłoby się obcym dźwiękiem o Twoje uszy. Cóż broni mi umierać, skoro dla Ciebie jestem martwa, dlaczego **nie**

mam odejść od Ciebie, skoro Ty odeszłeś odemnie? Nie oskarżam Cię, nie, mój ukochany, nie chcę rzucać mojej nędzy w Twoje wesołe życie. Nie obawiaj się, że będę Cię jeszcze niepokoić — przebac mi, musiałam wypowiedzieć wszystko w tej chwili, co mi ciążyło na sercu, teraz, kiedy moje dziecko leży tam umarłe i opuszczone. Tylko ten jeden raz musiałam przemówić do Ciebie — potem wracam, znowu milcząca — w ciemność. Ale Ty nie usłyszysz tego krzyku, dopóki, żyję — dopiero po mojej śmierci otrzymasz ten testament odemnie, od kobiety, która Cię bardziej kochała, niż wszystkie inne, a której Ty nigdy nie poznałeś, od kobiety, która zawsze czekała na Ciebie — i której nigdy nie zawołałeś do siebie. Może, może zawołasz mnie teraz, a ja będę Ci niewierną po raz pierwszy, nie usłyszę już Twego głosu po śmierci — nie zostawiam Ci żadnej fotografii, żadnej pamiątki, tak samo, jak Ty mnie nic nie zostawiłeś, nigdy mnie nie poznasz. — nigdy! Takim był mój los za życia, niechże nam będzie także i po śmierci. Nie chcę Cię wołać w mojej ostatniej godzinie, odchodzę i nie dowiesz się nigdy ani mojego nazwiska, ani nie zobaczysz mojej twarzy. Umieram lekko, bo Ty nie czujesz tego z oddalenia. Myśl, że śmierć moja mogłaby Ci sprawić przykrość, nie dałaby mi umrzeć.

Nie mogę już dalej pisać... jest mi tak jakoś dziwnie... Wszystkie członki mnie boją, mam gorączkę... Zdaje mi się, że będę się musiała zaraz położyć. Może to się już niedługo skończy, może raz los się ulituje nademną i nie będę musiała

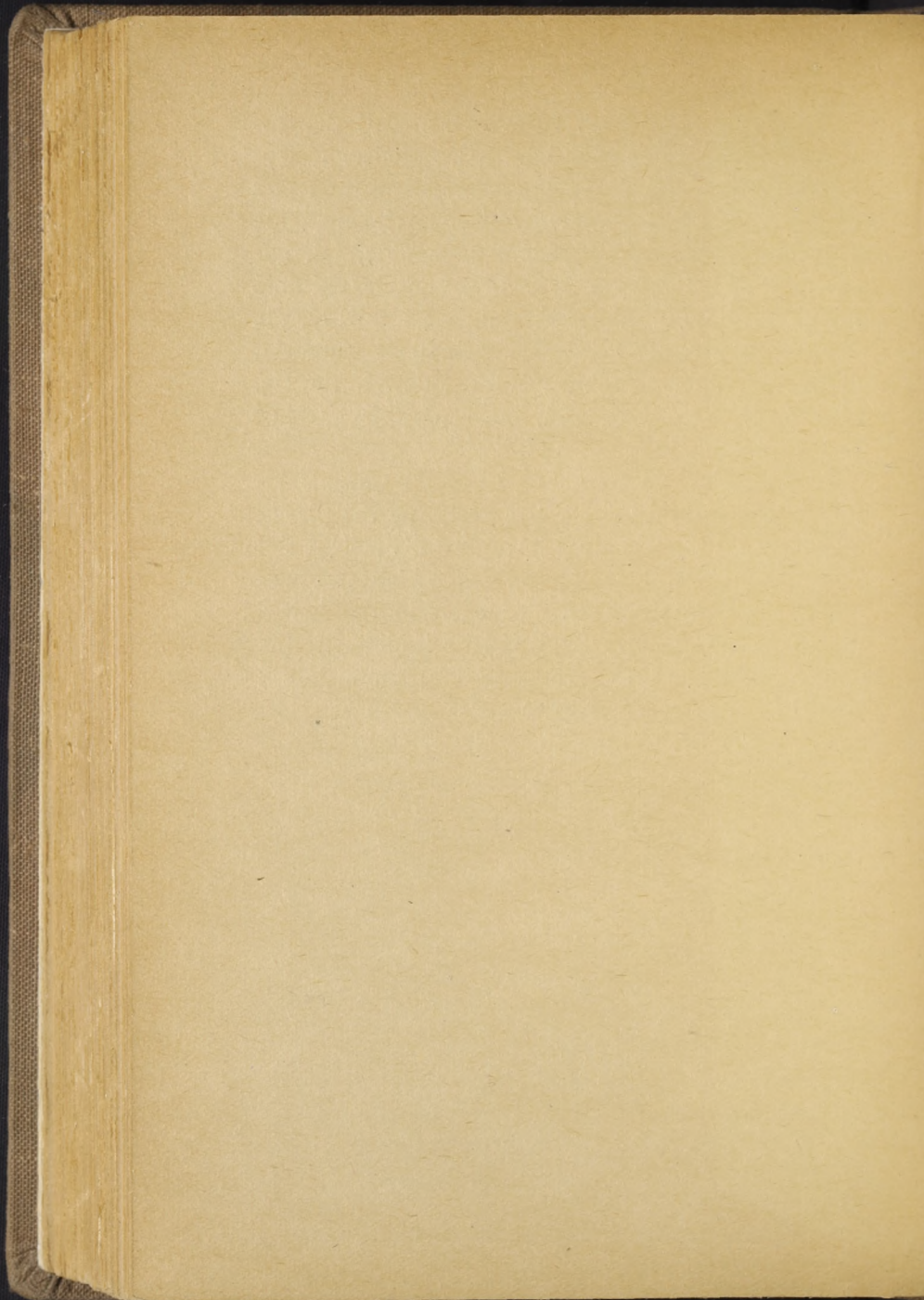
patrzeć, jak będą wynosić moje dziecko ode mnie. Nie mogę pisać dłużej. Żegnaj, ukochany, żegnaj, dziękuję Ci... Dobrze było tak, jak było, mimo wszystko... chcę Ci dziękować do ostatniego tchnienia. Teraz jest mi dobrze, powiedziałam Ci wszystko, wiesz teraz, nie domyślasz się tylko, jak bardzo Cię kochałam, choć dla Ciebie nie była moja miłość ciężarem. Nie będziesz czuł braku mojej osoby — to mnie pociesza. Nic się nie zmieni w Twojem pięknem, jasnem życiu... nie robię Ci moją śmiercią nic złego... to mnie pociesza, mój ukochany...

Ale kto będzie Ci posyłał teraz białe róże na Twoje urodziny? Wazon na biurku będzie pusty, lekki oddech, delikatny powiew mojego życia, który raz w roku odczuwałeś w *Twojem* życiu, zniknie, zginie... Proszę Cię, mój ukochany, to moja pierwsza prośba i ostatnia... uczynić to dla mnie. W dniu Twych urodzin — w tym jedynym dniu, kiedy się myśli o sobie — kup kilka białych róż i włóż je do wazonu. Uczynić to, mój ukochany, uczynić to, tak jak inni dają raz na rok na mszę za ukochanych zmarłych. Ale ja nie wierzę już w Boga i nie chcę mszy, wierzę tylko w Ciebie, Kocham tylko Ciebie i chcę tylko w Tobie żyć przy Tobie, całkiem, całkiem cicho... Proszę Cię, uczynić to, mój ukochany... jest to moja pierwsza i ostatnia prośba... Dziękuję Ci, Kocham Cię... Kocham Cię... żegnaj!..

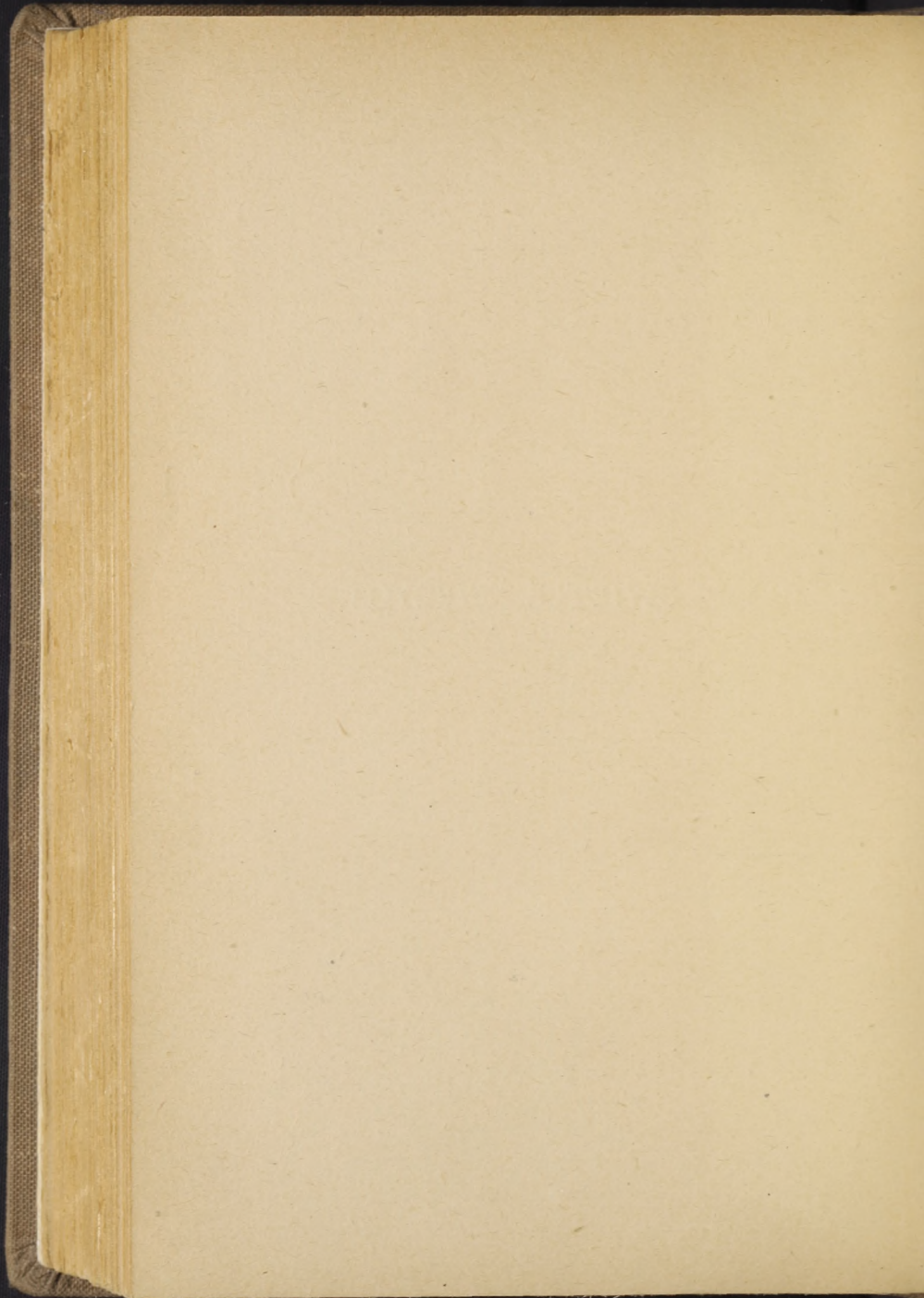
\*

Odłożył list drżącymi rękami. Zamyślił się. Jakieś zatarte wspomnienie dziecka z sąsiedztwa wynurzyło się gdzieś z zapomnienia, potem — twarz dziewczyny, twarz kobiety w nocnym lokalu, ale wspomnienia tak niewyraźne i bałamutne, jak kamień, który błyszczy i drży bezkształtnie na dnie płynącej wody. Cienie ukazywały się i znikały, ale nie tworzyły obrazu. Czuł wspomnienie uczucia, ale nie przypominał sobie niczego. Zdawało mu się, że tylko śnił o tych wszystkich postaciach, śnił często i długo, ale tylko śnił...

Naraz padł jego wzrok na niebieski wazon, stojący przed nim na biurku. Był pusty, po raz pierwszy pusty od lat w dniu jego urodzin. Przeląkł się! Zdawało mu się, że ktoś niewidzialny naraz otworzył drzwi i zimny przeciąg wionął z innego świata w jego cichy pokój. Czuł śmierć i nieśmiertelną miłość, myślał o owej Niewidzialnej, namiętnie i bezcieleśnie, jak o dalekiej muzyce.



ULICA W ŚWIETLE KSIĘŻYCA.





Z powodu burzy okręt przybył ze znacznym opóźnieniem do małego portowego miasteczka w południowej Francji, tak, że już nie zdążyłem na pociąg, odchodzący wieczorem do Niemiec. Wobec tego pozostał mi jeden nieprzewidziany dzień w obcym miejscu, wieczór, pozbawiony przyjemności, prócz melancholijnej kapeli damskiej w jakimś lokalu na przedmieściu, albo monotonnej rozmowy z przypadkowymi towarzyszami podróży. Powietrze, przesycone tłustą wonią oliwy i dymu w małym saloniku jadalnym w hotelu, było nie do zniesienia. Odczuwałem tembardziej to gęste, nieczyste powietrze, bo czułem jeszcze na wargach świeży, słony, chłodny oddech morza. Poszedłem więc na los szczęścia, wzdłuż jasnej ulicy, na jakiś plac, gdzie grała kapela miejska. I potem coraz dalej, wśród niedbale falującego tłumu spacerowiczów. Z początku przyjemnie mi było waleśać się w obojętnym i prowincjonalnie wystrojonym tłumie, ale wkrótce nie mogłem już znieść dłużej ciągłego popychania wśród obcych ludzi, ich śmiechów, ich wzroku, który mnie atakował, zdziwiony, obcy lub szyderczo uśmiechnięty, popychania i dotykania, światła, tryskającego z tysiąca źródeł, nieustannego odgłosu kroków. Podróż morska była bardzo niepokojna i jeszcze teraz doznawałem odurzającego i słodko upajającego uczucia, jeszcze ciągle czułem pod nogami kołysanie i wydawało mi się, że

ziemia porusza się, oddychając, a ulica wznosi się aż do nieba. Naraz doznałem zawrotu głowy i skręciłem w boczną uliczkę, nie pytając o jej nazwę, a potem zboczyłem znowu w jeszcze węższą, w której ten bezmyślny hałas stopniowo przycichł, i szedłem bez celu dalej w chaosie tych jak żyły rozgałęziających się ulic, które stawały się coraz ciemniejsze, im bardziej oddalałem się od głównego placu. Wielkie elektryczne lampy, owe księżycy szerokich bulwarów, nie płonęły tu już, i ponad słabym oświetleniem widać było nareszcie znowu gwiazdy i czarne, zachmurzone niebo.

Musiałem być blisko portu, w części miasta, gdzie mieszkali marynarze, czułem to po zgniłym odorze ryb i słodkawym zapachu morskich roślin, przyniesionych przez fale na brzeg, po zaduchu pochodzących z nieprzewietrzanych izb, który tylko silna burza wypłusza z tych zaułków. Przyjemność sprawiała mi ta ciemność i nieoczekiwana samotność, zwolniłem kroku, przypatrywałem się każdej uliczce, czemś zawsze różniącej się od sąsiedniej: jedna była poważna, druga zalotna, a wszystkie ciemne, z przytłumionem brzmieniem muzyki i głosów, wydobywających się tajemniczo z niewidzialnych piersi suteryn, tak, że zaledwie można było odgadnąć ich podziemne źródło. Bo wszystkie lokale były zamknięte i błyszcząły tylko zdaleka czerwonym albo żółtym światłem.

Lubię te uliczki w obcych miastach, ów rynek wszystkich namiętności, owo tajemne nagromadzenie wszystkich pokus dla marynarzy, którzy zacho-

dzą tu na przeciąg jednej nocy po samotnie spędzonych nocach na dalekich i niebezpiecznych morzach, żeby znaleźć w ciągu jednej godziny spełnienie wszystkich marzeń zmysłowych. Owe drobne uliczki muszą się zawsze ukrywać gdzieś na odległych krańcach wielkiego miasta, bo zanadto bezczelnie i wyraźnie wypowiadają to, co wykwintni ludzie i jasne domy ukrywają błyszczącymi szybami pod tysiędem masek. Muzyka z małych lokali brzmi tutaj i nęci, kina obiecują jaskrawymi plakatami niebywałe wspaniałości, małe czworograniaste latarki ukrywają się pod bramami i migocą poufałym pozdrowieniem, bardzo wyraźnie zapraszając do wnętrza. W szparze między drzwiami spostrzec można czasem nagie ciało, lśniące złotymi blaskami. Z kawiarni huczą głosy pijanych i hałaśliwe kłótnie grających w karty. Marynarze, którzy się tu spotykają, śmieją się do siebie szyderczo, spojrzenia ich mącą się od tyłu obietnic. Bo tu jest wszystko: kobieta i gra, napoje i przedstawienie, rozmaite przygody, wszystko to ukrywa się jednak bojaźliwie poza obłudnie spuszczone okienicami, wszystko odbywa się tylko we wnętrzu. A to pozorne zamknięcie wabi tylko podwójną pokusą ukrywania się i przystępności. Takie same uliczki są w Hamburgu, w Colombo i w Havannie, nie różnią się niczem od siebie, podobnie jak wielkie luksusowe Avenues, bo na górze i w dole życia panują te same formy. Uliczki te są to ostatnie fantastyczne resztki nieuregulowanego świata, gdzie popędy ludzkie wyładowują się niepohamowanie; są ciemnym lasem namiętności, zaroślami pełnymi gadów,

pobudzają tem, co zdradzają i nęcą tem, co ukrywają. Można o nich śnić i marzyć...

Naraz znalazłem się na jednej właśnie z takich uliczek. Na los szczęścia poszedłem za kilkoma kirasjerami, którzy szablami brząkali po nierównym bruku. Z baru wołały ich kobiety, śmieli się i odpowiadali im ordynarnemi dowcipami. Jeden z nich zapukał do okna, potem słychać było gdzieś jakiś przeklinający głos, kirasjerzy przeszli, śmiechy oddaliły się, przestałem je słyszeć. Ulica znów zamilkła, kilka okien migąło niewyraźnie w mglistym blasku bladego księżyca. Stałem i oddychając z lubością, wchłaniałem w siebie tę ciszę, która wydawała mi się osobliwą, bo poza nią czuło się tajemnicę, rozkosz i niebezpieczeństwo. Czułem wyraźnie, że to milczenie było kłamstwem i że pod mętным wyziewem tej ulicy tliło coś ze zgnilizny światła. Stałem, nie ruszając się i wsłuchiwałem się w ciszę. Nie widziałem już miasta ani ulicy, nie znałem jej nazwy, zdawałem sobie sprawę tylko, że byłem tu obcy, dziwnie samotny w obliczu czegoś nieznanego, czułem jednak w całej pełni to podziemne życie, pulsujące wokół mnie, jak czuje się krew pod własną skórą. Miałem uczucie, że choć nic nie działa się dla mnie, jednak wszystko należało do mnie — to najwyższe uczucie najprawdziwszego użycia, którego doznaje człowiek wskutek zupełnej obojętności. Uczucie, które należy do najwyższych źródeł duszy ludzkiej i które napawa rozkoszą w nieznanym sytuacjach życia...

Wtedy nagle, gdy tak stałem — nasłuchiwałem w oczekiwaniu czego, co mnie wyrwie z tego somna-

mbulicznego uczucia. Wsłuchiwania się w próżnię, usłyszałem przytłumiony odległością albo jakąś ścianną bardzo niewyraźny śpiew niemieckiej pieśni, odgłos naiwnego tańca z „Wolnego Strzelca”: „Schöner, grüner Jungfernkranz”. Śpiewał jakiś głos kobiecy, śpiewał bardzo źle, ale w każdym razie była to niemiecka melodja, tu gdzieś w nieznanym zaułku świata i dlatego była mi bratnia, w specjalnem znaczeniu tego słowa. Głos dochodził niewiadomo skąd, „ale odczułem go, jak pozdrowienie, pierwsze od tygodni ojczyste pozdrowienie. Kto mówi tu moim językiem, kogo popycha wspomnienie w tej dziwnej uliczce, by wydobywał z serca tę niešťczęsną melodję? Poszedłem za tym głosem, od domu do domu. Domy stały wszystkie napół śpiące z zamkniętymi okiennicami, za którymi jednak błyskało zdradziecko światło, albo niekiedy przez okno ukazywał się zapraszający ruch ręką. Na murze przyklepione były jaskrawe ogłoszenia, i krzyczące plakaty, jakiś ukryty bar reklamował ale, whisky i piwo, ale wszystko było zamknięte, odpychające a zarazem nęcące. Tymczasem zdawało się słychać było ciągle odgłos kroków i ów kobiecy głos, który teraz był coraz bliźszy i powtarzał zwrotkę coraz piękniej i wyraźniej. Już poznawałem dom, z którego wychodził. Przez chwilę wahałem się, potem przystąpiłem do drzwi, zasłoniętych białymi firankami. Wtem, kiedy już zdecydowany już byłem wejść, pochyliłem się nad klamką, w cieniach sieni jakaś postać, przycisnięta widocznie do szyby, drgnęła przestraszona, jakaś twarz ukazała się, oblana czerwonym światłem wiszącej latarni... jakiś mężczyzna popatrzył na mnie

szeroko rozwartemi oczyma, zamruczał coś, niby przepraszająco i znikł w półmroku ulicy. Dziwne było to spotkanie. Popatrzyłem za nim. Coś poruszało się jeszcze w znikających cieniach ulicy, ale już niewyraźnie. Wewnątrz brzmiał ten sam głos jeszcze głośniejszy, jak mi się zdawało. To mnie zaczęło. Nacisnąłem kławkę i wszedłem do wnętrza.

Jak nożem ucięte padło ostatnie słowo pieśni. Z przerażeniem poczułem przed sobą próżnię i jakąś nienawiść w tym milczeniu, tak jakbym coś zdruzgotął. Stopniowo zacząłem się rozglądać po izbie, prawie pustej. Lada, jak w szynku i stół, — to była całość, pomyślana widocznie tylko jako wstęp do innych pokojów w głębi, które napół przymkniętymi drzwiami, przyćmionym światłem lamp i szerokimi łózkami zdradzały swe właściwe przeznaczenie. Na przednim planie o stół opierała się jakaś dziewczyna, silnie uróżowana, w głębi za ladą stała gruba, brudna kobieta, widocznie właścicielka lokalu, obok niej druga dziewczyna. Słowa przywitania obły się twardo o ściany, nikt mi nie odpowiedział. Było mi nieprzyjemnie, chętnie byłbym zawrócił, ale nie znalazłem pozoru do odejścia, wobec czego usiadłem przy stole. Dziewczyna, przypominając sobie widocznie swój obowiązek, spytała mnie, co chcę jeść. Poznałem zaraz po jej twardej wymowie, że jest Niemką. Zamówiłem piwo, poszła i wróciła natychmiast zmęczonym krokiem, który jeszcze bardziej zdradzał jej obojętność, niż jej oczy, które tliły pod obwisłymi powiekami, jak gasnące światła. Automatycznie postawiła, zgodnie ze zwyczajem takich lokali, drugą szklanekę dla sie-

bie. Kiedy do mnie przepijała, przechodził jej wzrok obojętnie koło mnie; mogłem ją obserwować.

Miała właściwie ładną twarz o proporcjonalnych rysach, ale pospolitą i zmęczoną; wszystko było w niej obwisłe, powieki ciężkie, włosy rzadkie, policzki pomarszczone, poznaczone plamami wskutek złej szminki; suknię miała także niedbale włożoną, głos zmęczony i szorstki, skutkiem dymu i piwa. Wyczuwałem w niej istotę zmęczoną i żyjącą tylko z przyzwyczajenia. Bojaźliwie zadałem jej jakieś pytanie. Odpowiedziała nie patrząc na mnie, obojętnie i tępo, zaledwie poruszając wargami. Czułem, że nie ceniła mnie sobie wysoko. W głębi lokalu ziewała właścicielka, druga dziewczyna siedziała gdzieś w kącie i patrzyła w moją stronę, jakby czekała na to, aż ją zawołam.

Chętnie byłbym odszedł, ale wszystkie członki ciążyły mi, zataczałem się jak marynarz, przywykły do innego powietrza, w tych gęstych dusznych oparach, ta obojętność, panująca tu, drażniła mnie i kępowała.

Nagle zerwałem się, przerażony jakimś przeraźliwym śmiechem tuż obok mnie. I jednocześnie płomyk lampy zachwiał się; po przeciągu uczułem, że ktoś musiał otworzyć drzwi poza mojami plecami.

— Znowu przychodzisz, — krzyknęła szyderczo dziewczyna po niemiecku — Znowu włóczysz się koło domu, ty kutwo! Chodź, chodź, nie zrobię ci nic złego!

Odwrociłem się najpierw do dziewczyny, wy-

krzykującej tak przeraźliwie, a potem do drzwi. Ale zanim się jeszcze otworzyły, poznałem tego człowieka, który stał przedtem jak przyklepiony do drzwi. Trzymał kapelusz w rękach, nieśmiało, jak żebrak i drżał na to szydercze powitanie, któremu z za lady wtórował cichy szept gospodyni.

— Tam sobie usiądź, przy Françoise — wołała do niego kiedy zbliżał się do niej zalekniony. — Widzisz przecież, że jestem tu z gościem!

Krzyczała do niego po niemiecku. Gospodyni i druga dziewczyna śmiały się, pomimo, że nie mogły zrozumieć ani słowa, ale musiały już znać tego „jegomościa”.

— Daj mu szampana, Françoise, tego drogiego, całą flaszkę! — krzyczała, śmiejąc się znowu do niego:

— Jeżeli ci jest za drogo, to zostań na ulicy, ty podły skąpcze! Chciałbyś za darmo patrzeć na mnie, ty byś wszystko chciał mieć za darmo, wiem, wiem!

Długa postać mężczyzny skurczyła się na dźwięk jej szyderczego śmiechu, garb podniósł się krzywo do góry, zdawało się, że jego twarz chciałaby się ukryć w ramionach ze strachu, a ręka jego drżała, kiedy sięgnął po flaszkę i rozlewał wino. Wzrok jego nie mógł się oderwać od ziemi i błąkał się po kamiennej podłodze. I dopiero teraz zobaczyłem wyraźnie tę zniszczoną twarz, pokorną i bladą, wilgotne i rzadkie włosy na kościstej czaszce; był to obraz bezsilnej nędzy. Wszystko w nim było krzywe i skulone, a wzrok, który podnosił i natychmiast odwrócił, błysnął groźnie.



— Niech się pan o niego nie troszczy — zawołała do mnie dziewczyna po francusku i chwyciła mnie silnie za ramię, jak gdyby mną chciała potrząsnąć — to stara historia między mną a nim, nie od dzisiaj.

I znowu, błyskając zębami, jakby gryść gotowa, zawołała głośno do niego:

— Posłuchaj tylko, ty stary lisie!... Powiedziałam: że prędzej rzucę się do morza, zanim wrócę do ciebie — słyszałeś?

Gospodyni i druga dziewczyna zaśmiały się znowu hałaśliwie i idjotycznie. Widocznie musiała to być dla nich codzienna zabawa, zwykły dowcip. Ale mnie nie było przyjemnie patrzeć, jak teraz ta druga dziewczyna nagle z udaną czułością przycisnęła się i tuliła do niego, a on nie miał odwagi jej odepchnąć, wzrok jego padł : na mnie, bojaźliwie zmieszany. Poczulem wstręt do tej kobiety, która zbudziła się naraz z swej ospałości tak pełna złości, że aż jej ręce drżały. Rzuciłem pieniądze na stół i chciałem wyjść, ale ona powiedziała:

— Jeżeli ci ten człowiek zawadza, wyrzucę go, jak psa. On musi mnie słuchać. Napij się jeszcze ze mną szlanceczkę! Chodź!

Przycisnęła się do mnie z nagłą, fanatyczną czułością. Odrazu poznałem, że udawała tylko na to, żeby tamtego człowieka podrażnić. Przy każdym swem poruszeniu spoglądała szybko w jego stronę, a mnie robiło się nieprzyjemnie, gdy widziałem jak zaczynało w nim wszystko drgać, jakby rozpaloną stal miał w członkach. Nie zważając na nią, patrzyłem tylko bezustanku na niego i drżałem wewnątrz-

nie, widząc, jak wściekłość, gniew, zazdrość i żądza rosły w nim, ale jak się zaraz kurczył w sobie, gdy ona zwróciła tylko głowę w jego stronę. Przytuliła się teraz do mnie, czułem jej ciało, które drżało ze złośliwej rozkoszy, wywołanej tą grą, i czułem wstręt do jej uróżowanej twarzy, pachnącej złym pudrem, i do wyziewów jej ciała. A żeby jej twarz oddalić od mojej twarzy, wyjąłem cygaro z papierośnicy i gdy mój wzrok zaczął szukać na stole, krzyknęła znowu do niego:

— Przynieść zapalki!

Nie chciałem, za nic nie chciałem, żeby on mnie obsługiwał, i starałem się sam poszukać zapalek. Ale on popędzony jej słowem, jak biczem, zerwał się, poszukał i położył przedemną pudełko z zapalkami prędko, jakby się bał sparzyć, dotykając stołu. Przez sekundę skrzyżowały się nasze spojrzenia: w jego oczach taił się niezmierny wstyd i gorycz. Czułem w nim poniżenie — poniżenie przez kobietę — i wstydzilem się z nim razem.

— Dziękuję panu bardzo, — rzekłem po niemiecku (ona drgnęła) — niepotrzebnie się pan trudził

Potem podałem mu rękę. Zawahał się przez chwilę, uczułem długie, kościste palce i nagły, kurczowy uścisk dłoni. Przez sekundę zaświeciły jego oczy, potem ukryły się znowu pod obwisłymi powiekami. Chcąc dokuczyć dziewczynie, wykonałem zapraszający ruch ręką, gdy wtem ona krzyknęła do niego spiesźnie:

— Siadaj sobie znowu tam, i nie przeszkadzaj nam!

Uczułem znowu niechęć nie do opisania do jej wrzaskliwego głosu i żal nad męczarnią tego człowieka. Poco, naco był mi ów zadymiony, podejrzany lokal, owa wstrętna dziewczyna, ów idjota, owa dusząca atmosfera dymu, piwa i złych perfum!

Uczułem pragnienie świeżego powietrza. Przysunąłem jej pieniądze, wstałem i odwróciłem się energicznie. Ale nie dała mi odejść. Nie chciałem brać udziału dalej w tej tragedji poniżania człowieka i dałem wyraźnie do poznania przez zdecydowane zachowanie się wobec dziewczyny, jak mało imnie ona pociąga zmysłowo. Teraz jej wzrok zadrgał gniewnie, głęboka zmarszczka ukazała się wokoło jej ust, ale miała się na baczności, żeby czegoś nie powiedzieć, i zwróciła się szybkim ruchem nieukrywanego wstrętu do niego, który, spodziewając się z jej strony czegoś najgorszego, spiesznie, jakby popędzany jej groźbą, sięgnął do kieszeni i drżącymi palcami wyciągnął woreczek z pieniędzmy. Widocznie bał się teraz pozostać z nią sam na sam i w pośpiechu nie mógł rozplątać węzła przy woreczku — był to woreczek robiony na drutach, ozdobiony szklanemi perełkami, woreczek, jakie u nas noszą chłopci. Bez trudu można było odgadnąć, że człowiek ten nie był przyzwyczajony do szybkiego wydawania pieniędzy, inaczej, niż na przykład marynarze, którzy jednym ruchem ręki wyciągają srebrne monety z kieszeni i rzucają je na stół: on zaś musiał być widocznie przyzwyczajony liczyć troskliwie i ważyć każdy cent w palcach.

— Patrzcie, jak on drży o swoje słodkie, kochane fenigi! Nie umiesz prędezej, czekaj! — wysmiała go i postąpiła o krok.

Drgnął, a ona, widząc jego przestraszonych ramion, powiedziała, wzruszając ramionami:

— Nie zabieram ci nic, pluję na twoje pieniądze. Wiem, że liczysz twoje fenigi i nie wolno ani jednemu bez pozwolenia wydostać się na świat. Ale — i tu uderzyła go parę razy w pierś — cóż dopiero te papierki, które tu masz zaszyte, żeby ci tylko tych skarbów nikt nie ukradł!

I tak jak chory na serce w napadzie chwyta się gwałtownie za piersi, tak jego blada, drżąca ręka chwyciła z surdutu, szukając palcami ukrytego gniazda, aż opadła uspokojona.

— Sknera! — plunęła mu w oczy dziewczyna.

Ale naraz policzki mężczyzny zapłonęły, rzucił szybkim ruchem woreczek z pieniędzmi drugiej dziewczynie, która najpierw krzyknęła ze strachu, potem się zaśmiała, przebiegł szybko obok niej ku drzwiom, jakby uciekając z palącego się domu.

Przez chwilę stała jeszcze wyprostowana, błyskając oczyma z wściekłości. Potem obwisły jej znowu powieki, a zmęczenie zgięło jej ciało. Zrobiła się w jednej chwili stara, zmęczona. Jakieś nieokreślone uczucie przytłumiło jej spojrzenie. Jak pijana, która wraca do przytomności, stała przedemną widocznie przybita, pełna wstydu.

— Na ulicy będzie wyrzekał i żałował swoich pieniędzy!... Może pobiegnie do policji i powie, żeśmy go okradli a jutro znowu tu będzie. Ale mnie nie dostanie. Wszyscy, tylko nie on!

Zbliżyła się do lady, rzuciła pieniądze i wychyliła odrazu całą kieliszek wódki.

Niebezpieczne płomyki zatliły znowu w jej oczach, ale zamglone, jakby pokryte łzami wściekłości i wstydu. Wstręt mną ogarnął na jej widok, i współczucie znikło.

— Dobranoc — powiedziałem i wyszedłem.

— Bon soir — odpowiedziała właścicielka lokalu. Dziewczyna nie odwróciła się, roześmiała się tylko głośno i ironicznie.

Kiedy wyszedłem, na ulicy była już noc. Duszna ciemność z zachmurzonym, nieskończenie dalekim blaskiem księżycy. Pożądliwie wdychałem ciepłe, ale mimo to orzeźwiające powietrze, i uczucie zgromy rozplynęło się w wielkiem zdziwieniu, wywołanem różnorodnemi losami ludzkiemi. Miałem znowu uczucie, uszczęśliwiające aż do łez, że poza szybą każdego okienka czeka przeznaczenie. Za każdymi drzwiami czeka jakaś przygoda... A nawet najuboższy zakątek roi się od już istniejących wydarzeń, jak zgnilizna roi się od robactwa. Obrzydliwe spotkanie poszło już w zapomnienie, ustępując oczekiwaniu, żeby owa, dopiero co przeżyta przygoda zmieniała się w piękny sen. Mimowoli rozglądałem się wokoło, żeby znaleźć drogę do domu w wirze tych poplątanych uliczek. Wtem jakiś cień zbliżył się niedosłyszalnym krokiem, i ukazał się tuż koło mnie.

— Przepraszam wielmożnego pana, — poznałem w tej chwili pokorny głos — zdaje mi się, że pan się tu nie potrafi zorjentować. Czy mogę... czy mogę pokazać panu drogę? Pan mieszka...?

Powiedziałem mu nazwę mego hotelu.

— Będę panu towarzyszył, jeżeli pan pozwoli—  
dodał zaraz pokornie.

Zgroza mnie opanowała. Owe pełzające widmowe kroki, prawie niedostrzegalne, a jednak tak bliskie, ciemność tej uliczki i wspomnienie tego, co przeżyłem przed chwilą, ustępowało z wolna jakiemuś nieokreślonemu zmęczeniu, jak we śnie.

Nie widząc, czułem jego pokorne spojrzenie na mojej twarzy, spostrzegłem drganie jego warg, wiedziałem, że chciał ze mną mówić, nie próbowałem jednak ani pomóc mu, ani przeszkodzić; czułem zawrót głowy, jakieś dziwne fizyczne odurzenie. Mój towarzysz chrząknął parę razy, po zduszonych początkowych dźwiękach słów odgadłem, że chce mówić, ale jakieś okrucieństwo, które udzieliło mi się od owej kobiety, nie pozwoliło mi dopomóc mu, cieszyłem się tą jego walką między wstydem a duchową potrzebą, i nie przerywałem milczenia, które ciążyło nad nami. Słysząc tylko odgłos naszych kroków: jego starczych, ledwo wlokących się po ziemi i moich, — stawianych z rozmysłem silnie i ostro, żeby umknąć jaknajprędzej z tego ohydneho świata. Coraz silniej czułem owo naprężenie między nami; milczenie to było tak przejmujące, tak pełne wewnętrznego krzyku, jak zanadto napięta struna, aż nareszcie, po okropnem wahaniu, on rozciął je pierwszym słowem:

— Wielmożny pan był przed chwilą świadkiem osobliwej sceny... niech pan wybaczy... niech pan wybaczy, jeżeli zacznę jeszcze raz mówić o tem... Ale panu musiała ta kobieta wydawać się dziwną,

a ja bardzo śmiesznym... ta kobieta... jest mianowicie...

Zatrzymał się. Coś dusiło go w gardle. Potem głos jego przycichł, wyszeptał szybko:

— Ta kobieta... jest mianowicie... moją żoną..

Musiałem drgnąć ze zdziwienia, bo ciągnął dalej szybko, jakby chciał się usprawiedliwić:

— Właściwie *była* moją żoną... przed pięciu laty... w Geratzheim w Hessen, skąd pochodzę... Nie chcę, żeby pan myślał o niej coś złego... może to moja wina, że ona jest teraz taką... To ja... ja ją męczyłem.. Ożeniłem się z nią, pomimo że była bardzo biedna, koszuli na grzbiecie nie miała, nic, wcale nic... a ja jestem bogaty... właściwie zamożny... nie bogaty... Albo może — ona ma słuszość — oszczędny... Ale oszczędny byłem przedtem, wielmożny panie, przed tem nieszczęściem i przeklinam teraz, że byłem taki... ale mój ojciec był taki i matka była taka... wszyscyśmy byli tacy... a ja... zarabiałem ciężko każdy fenig... a ona była lekkomyślna, lubiła ładne rzeczy... była przecież uboga, a ja jej ciągle robiłem wyrzuty... Nie powinienem był czynić tego, teraz wiem o tem, wielmożny panie, bo ona jest dumna, bardzo dumna. Niech pan nie myśli, że ona jest taka, za jaką chce uchodzić, to kłamstwo, i ona sama zadaje sobie tem największy ból... robi to tylko dlatego, żeby mnie męczyć... i dlatego, że się wstydzi... Może stała się taka, ale ja... ja temu nie wierzę... bo proszę, wielmożnego pana, ona była bardzo dobra, bardzo...

Otarł sobie oczy i stanął, niezmiernie wzburzony.

Mimowoli popatrzyłem na niego i nie wydał mi się już taki: śmiesznym a nawet nie zwracałem już uwagi na jego dziwny' służący sposób mówienia: „wielmożny panie”, który w Niemczech używany jest tylko przez lud i przez służbę. W jego oczach widać było naprężenie w celu wypowiedzenia wszystkiego, oczy wpatrywały się nieustannie na bruk, jakgdyby odczytywały tam w niepewnym świetle księżycy to, co z taką trudnością wydobywało się z jego gardła.

— Tak, wielmożny panie — wyrzucił teraz ze siebie, oddychając ciężko, — ona była bardzo dobra... dla mnie także, była mi bardzo wdzięczna..., ale... ja, chciałem słyszeć to ciągle nanowo z jej ust.. ciągle nanowo... było mi miło, kiedy słyszałem jej podziękowania... tak, wielmożny panie, było tak ni skończenie przyjemnie czuć, czuć, że się jest dobrym, skoro się wie, że się jest złym... byłbym oddał wszystkie moje pieniądze, gdybym był mógł słyszeć to ciągle... a ona była bardzo dumna i coraz mniej miała ochoty do okazywania mi wdzięczności, kiedy spostrzegła, że ja tego żądam... Dlatego, tylko dlatego, wielmożny panie, chciałem, żeby mnie zawsze prosiła... nigdy nie dałem jej nic z własnej woli... było mi przyjemnie, że była zmuszona mnie zawsze prosić i żebrać o każdą suknię, o każdą wstążkę... przez trzy lata męczyłem ją tak coraz więcej... ale tylko dlatego, wielmożny panie, że ją kochałem... a jednak chciałem ją ujarzmić — szalony! — kiedy czegoś żądała, gniewałem się... ale proszę wielmożnego pana, ja się nie gniewałem wcale... byłem szczęśliwy z każdej sposobności,



żeby ją poniżyć... bo... bo... nie wiedziałem sam wówczas, jak bardzo ją kocham.

Znowu zatrzymał się. Szedł, zataczając się, widocznie zapomniał o mnie. Mówił coraz głośniej, jak przez sen:

— Dowiedziałem się dopiero wtedy... — w ów przeklęty dzień... kiedy odmówiłem jej pieniędzy dla jej matki, niewiele, wcale niewiele, właściwie przygotowałem je już dla niej, chciałem ją tylko zmusić, żeby mnie jeszcze raz prosiła... jeszcze raz... Co ja to chciałem powiedzieć?... Dowiedziałem się o tem wtedy, kiedy wróciłem wieczór do domu i nie zastałem jej, tylko karteczkę na stole... — „Zatrzymaj Twoje przeklęte pieniądze, nie chcę już niczego od Ciebie”... tylko te słowa, wielmożny panie, więcej nic... Przez trzy dni i trzy noce byłem jak oszalały. Kazałem przeszukać rzekę i las, setki wydałem na policję, biegałem do wszystkich sąsiadów, ale oni kpili tylko i śmieli się ze mnie... Nigdzie ani śladu... Nareszcie powiedział mi ktoś z sąsiedniej wsi, że ją widział... w pociągu z jakimś żołnierzem... że pojechała do Berlina... Tego samego dnia pojechałem za nią... porzuciłem moją służbę... straciłem tysiące... okradli mnie parobcy, mój rządca, wszyscy, wszyscy... ale przysięgam wielmożnemu panu, że mi to było obojętne... Zostałem w Berlinie, cały tydzień przeszedł, zanim ją wyszukałem między tyloma ludźmi... poszedłem do niej...

Oddychał ciężko.

— Nie powiedziałem jej ani jednego przykrego słowa, przysięgam wielmożnemu panu... płakałem... klęczałem przed nią... ofiarowałem jej pieniądze.

cały mój majątek, prosiłem ją, żeby nim zarządzała, bo wtedy wiedziałem już... że nie mogę żyć bez niej... Kocham jej każdy włos, jej usta, jej ciało wszystko, wszystko... i tylko ja sam jestem winien, że upadła tak nisko, tylko ja... Zbladła, jak śmierć, kiedy wszedłem nagle, przekupiłem jej gospodynię, stręczycielkę, złą, podłą kobietę... była... była blada jak ściana... wysłuchiwała mnie... Zdaje mi się, że była prawie szczęśliwa, że mnie widzi... Ale kiedy zacząłem mówić o pieniądzach... a mówiłem tylko dlatego, żeby jej dowieść, że mi nic na nich nie zależy... wtedy splunęła z pogardą... a potem... ponieważ ciągle jeszcze nie chciałem odejść... zawołała swego kochanka i wyśmieli mnie obydwójce... Ale ja, wielmożny panie, wracałem do niej zawsze, dzień w dzień. Ludzie w domu opowiadali mi wszystko, wiedziałem, że ją ten hultaj opuścił, że była w nędzy i poszedłem jeszcze raz do niej... jeszcze raz, wielmożny panie, ale ona oddepchnęła mnie i podarła banknoty, które położyłem jej na stole ukradkiem, a kiedy potem przyszedłem znowu, już jej nie zastałem... Czego ja nie robiłem, wielmożny panie, żeby ją odszukać! Przez cały rok, przysięgam panu, ciągle szukałem jej, opłaciłem detektywów... aż wkońcu dowiedziałem się, że jest aż w Argentynie... w takim domu...

Zawahał się przez chwilę. Ostatnie słowo było już tylko charczeniem. I zaczął znowu o kilka tonów niższym głosem:

— Przeląknęłem się bardzo... z początku. Ale potem pomyślałem sobie, że to ja sam ją tam wtrąciłem... i myślałem nad tem, jak bardzo musi tam

cierpieć biedna, jest taka przecież dumna... Poszedłem do mego adwokata, napisał do konsulatu i posłał pieniądze... żeby wróciła... ale w taki sposób, żeby ona nie dowiedziała się, kto je przysłał... Dostałem telegram, że wszystko się udało... wiedziałem, jakim okrętem przyjedzie... i czekałem w Amsterdamie... O trzy dni przybyłem za wcześnie... paliłem się z niecierpliwości... nareszcie zobaczyłem na horyzoncie dym z okrętu, i tak byłem szczęśliwy, i myślałem, że nie potrafię się go doczekać, aż wkońcu zbliżył się i przybył do portu, pomału, pomału, a potem pasażerowie szli przez pomost, a wkońcu ona... Nie poznałem jej odrazu, była inna... uróżowana... i już taka, taka, jak ją pan widział dziś... a kiedy zobaczyła mnie czekającego, zbladła. Dwóch marynarzy musiało ją wesprzeć, bo byłaby spadła z trapu... A skoro tylko zeszła na ląd, przystąpiłem do niej... nie mówiłem nic, gardło miałem jak wyschnięte... I ona także nic nie mówiła, nie patrzyła na mnie... Trażarz niósł jej pakunki przed nami, a my szliśmy za nim w milczeniu... ach, wielmożny panie, jak ona to powiedziała... serce mi się ścisnęło, tak beznadziejnie smutno brzmiał jej głos:

— Czy jeszcze chcesz, żeby wróciła do ciebie?... Jeszcze i teraz?...

Wziąłem ją za rękę... drżała, ale nic nie powiedziała. Ale czułem, że już wszystko dobrze... Ach, panie, jaki ja byłem szczęśliwy! Tańczyłem wokół niej, jak dziecko, kiedy ją miałem u siebie w pokoju, upadłem jej do nóg... mówiłem jakieś głupstwa... bo śmiała się przez łzy i pieściła mnie...

nieśmiało, naturalnie... ale jakie miłe mi to było... serce rozpyływało mi się!... Zbiegałem ze schodów na dół i znowu na górę. Zamówiłem obiad w hotelu, nasz weselny obiad. Pomagałem jej przy ubieraniu się.. i zeszedliśmy na dół, jedliśmy i piliśmy wesoło. Ona była taka wesoła, jak dziecko, taka słodka i dobra, i mówiła o naszym gospodarstwie... i jak się będziemy o wszystko starali... Wtem... — (jego głos stał się naraz ostry, zrobił ruch ręką, tak, jakby chciał kogoś zmiażdżyć) — wtem przyszedł kelner... zły, podły człowiek... myślał prawdopodobnie, że jestem pijany, bo byłem, jak szalony, zataczałem się ze szczęścia... czułem się szczęśliwy... ach, jaki szczęśliwy... i wtedy, kiedy płaciłem, wydał mi ów kelner o dwadzieścia franków za mało... ofuknąłem go i zażądałem reszty... zmieształ się i położył złoty pieniądz w milczeniu. Wtedy... wtedy... zaczęła się naraz śmiać przeraźliwie. Popatrzyłem na nią, ale miała już inną twarz, szyderczą, ostrą i złą, twarz poprostu...

— Zawsze jeszcze jesteś taki dokładny, nawet w dniu naszych zaślubin — powiedziała zimno i ostro.

Zacząłem przeklinać moją pedanterję... starałem się znowu śmiać... Ale jej wesołość już zniknęła... Zażądała osobnego pokoju... Czegoż byłbym jej odmówił... a ja leżałem sam w nocy i myślałem tylko nad tem, coby jej kupić nazajutrz... czem ją obdarzyć, żeby jej dowieść, że nie jestem skąpy... dla niej nigdy!... Wstałem wcześniej, wyszedłem raniutko i kupiłem branzoletkę, a kiedy wszedłem do jej pokoju... pokój był pusty... tak

samo, jak wtedy. I wiedziałem odrazu, że na stole będzie leżała karteczka... i prosiłem Boga, żeby nie było kartki, ale... ale... kartka leżała na stole...

Zawahał się. Stałem i popatrzyłem na niego. Zniżył głowę i wyszeptał zachrypłym głosem:

— Na kartce było tylko parę słów: „Daj mi spokój, jesteś dla mnie wstrętny”...

Doszliśmy do portu, ciszę przerwał huczący dech zbliżającego się przyływu. Okręty błyskały oczyma, jak wielkie zwierzęta. Zdała dochodził śpiew. Nad morzem zawisł czarny sen wielkiego miasta. Obok mnie czułem ciągle cień tego człowieka, który tuż drgał przed moimi nogami, to rozplątywał się, to kurczył się w świetle wędrujących latarni. Nie umiałem powiedzieć mu ani słowa pociechy, ani zadać jakiegoś pytania, czułem tylko, jak to milczenie lepi się do mnie, ciężkie i stłumione. Wtedy chwycił mnie ów człowiek naraz za ramię:

— Ale stąd nie odejdę bez niej!... Po miesiącach znalazłem ją znowu... Ona mnie męczy, ale ja się nie chcę dać zamęczyć... Błagam pana, wielmożny panie, mów pan z nią... ja muszę z nią wrócić, powiedz jej pan... ona mnie nie słucha... Nie mogę dłużej tak żyć... nie mogę patrzeć, jak mężczyźni do niej idą i czekać potem przed domem, kiedy wracają pijani... Cała ulica zna mnie już... wszyscy śmieją się ze mnie, kiedy widzą, jak czekam... oszałeję... a mimo to stoję tam każdego wieczora. Błagam pana, wielmożny panie, pomów pan z nią... ja pana nie znam, ale błagam pana, uczyni to na miłość boską... pomów pan z nią...

— Zaklinam pana, wielmożny panie, pan musi

z nią mówić... pan musi..., bo stanie się coś strasz-  
nego... zużyłem całe moje pieniądze na wyszukanie  
jej... i nie zostawię jej tu... żywej, nie... nie zniosę  
tego dłużej!.. Mów pan z nią, mów pan z nią!..

Korzył się przedemną, jak szaleniec. W tej chwili przechodziło dwóch policjantów przez ulicę Podniosłem go gwałtownie. Przez chwilę patrzył na mnie nieprzytomnie. Potem powiedział obcym, suchym głosem:

— Niech pan skręci w tę ulicę, na lewo. Zaraz dojdzie pan do swego hotelu.

Jeszcze raz popatrzył na mnie smutno, potem znikł.

Owinałem się w płaszcz. Dreszcz mnie przebiegł. Czulem tylko zmęczenie, jakieś oszołomienie, morył mnie sen. Chciałem zrozumieć to wszystko, ale czarna fala zmęczenia owładnęła mną. Wróciłem do hotelu, padłem na łóżko i zasnąłem twardo, jak zwierzę.

Nazajutrz nie wiedziałem już, co z tego było snem, a co prawdziwym zdarzeniem i jakieś dziwne uczucie we mnie broniło się przeciw temu, żeby się dowiedzieć prawdy. Zbudziłem się późno, w obecni mieście, poszedłem obejrzeć ów kościół, w którym miały być sławne starożytne mozaiki. Ale patrzyłem, nie widząc nic, coraz wyraźniej przypominaniem sobie spotkanie z ubiegłej nocy, ciągnęło mnie w tę stronę, chciałem odszukać ulicę i dom. Ale te dziwne uliczki żyją tylko w nocy, w dzień noszą zimne, szare maski, pod którymi poznają je tylko wtajemniczeni. Nie znalazłem tej uliczki, choć tak

bardzo jej szukałem. Zmęczony wróciłem do hotelu, ścigany urojonemi obrazami.

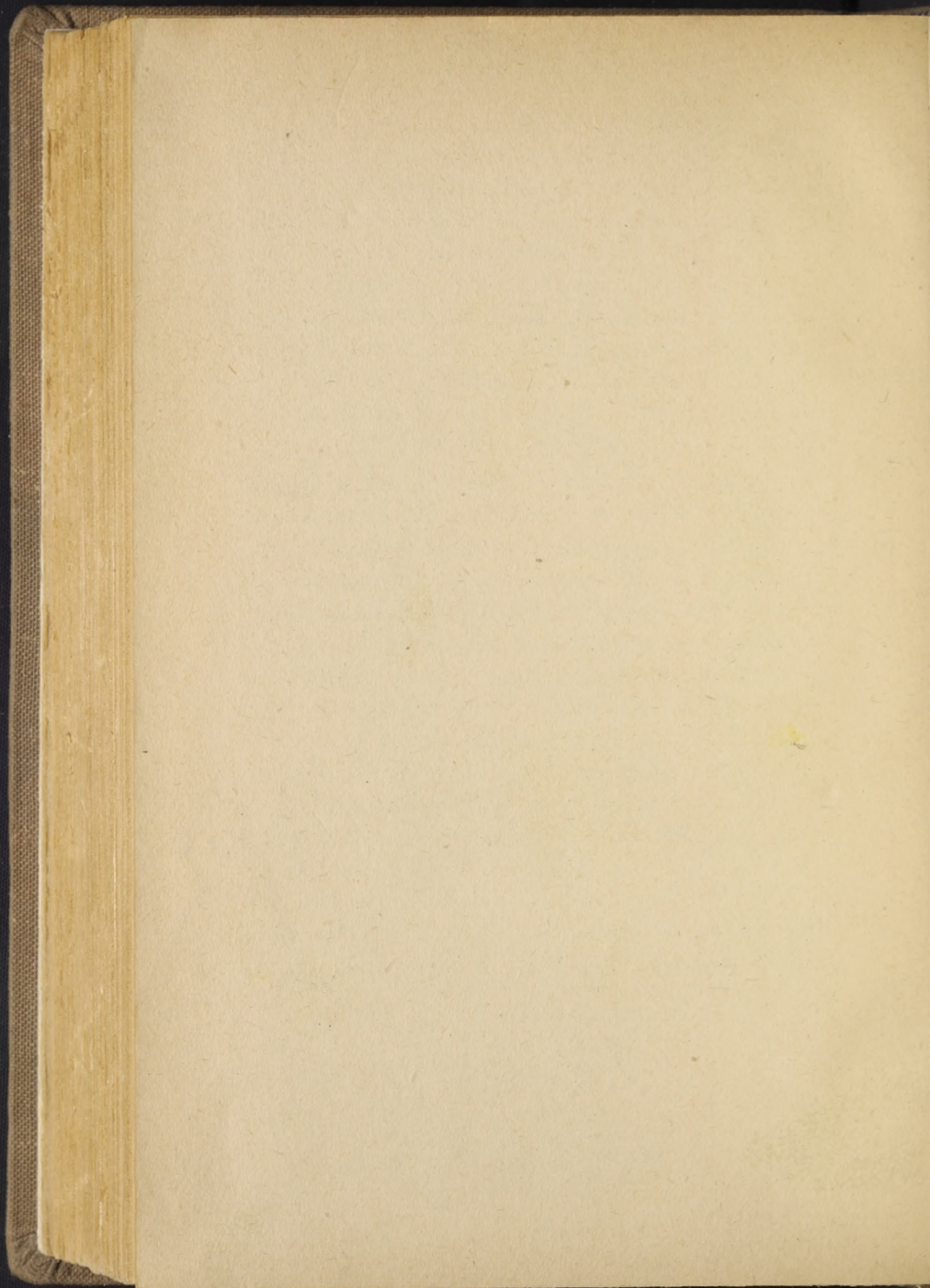
O dziewiątej wieczór odchodził mój pociąg. Z żalem opuszczałem to miasto. Tragarz wziął walizki i niósł je, poprzedzając mnie, na dworzec. Wtem nagle, na jakimś zakręcie wstrząsnęło mną: poznałem ową uliczkę, która prowadziła do tego domu, gdzie byłem w nocy; kazałem tragarzowi poczekać — zaśmiał się z bezczelną poufałością — i poszedłem popatrzeć jeszcze raz na ten dom.

Ciemno było w tej uliczce, ciemno, jak ubiegłej nocy, tylko w matowem świetle księżyca widziałem połyskujące szyby w drzwiach tego domu. Chciałem się zbliżyć jeszcze raz, wtem usłyszałem szelst i jakaś postać zarysowała się na ciemnem tle wieczoru. Poznałem go odrazu. Siedział tam skulony na progu i wołał mnie, żebym się zbliżył. Ale lęk mnie opanował, uciekłem stamtąd szybko, w tchórzliwej obawie, żeby się nie zaplątać w jakąś niemiłą przygodę i nie spóźnić się na pociąg.

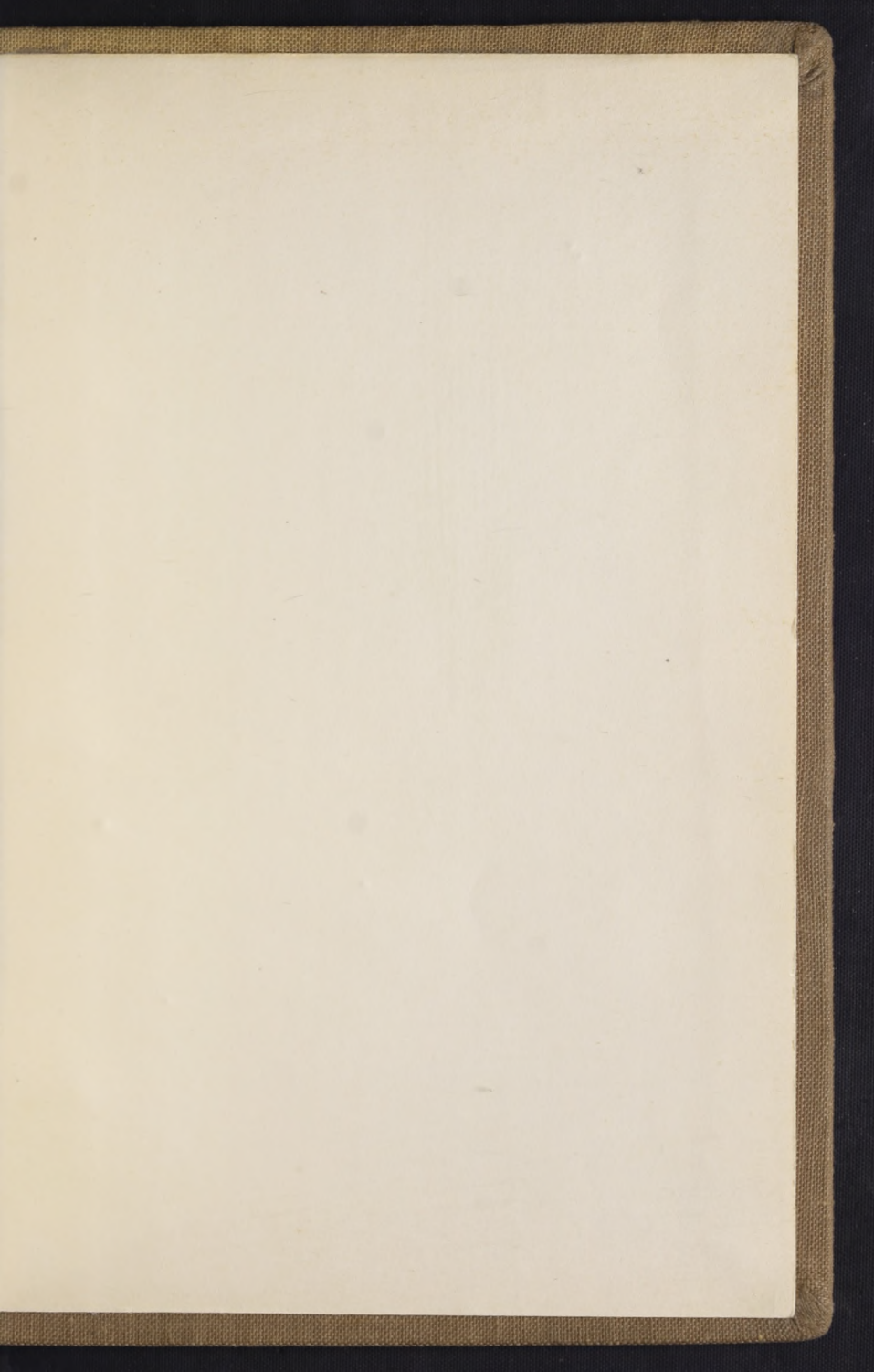
Ale potem na rogu ulicy, zanim się odwróciłem, obejrzałem się jeszcze raz poza siebie. Kiedy mój wzrok padł na niego, porwał się, wyprostował i skoczył ku drzwiom. Ujrzałem błysk metalu w jego ręce, którą szybko podniósł do góry. Nie mogłem zdaleka rozróżnić, czy to co błyszczało zdradziecko w świetle księżyca to były pieniądze, czy nóż...

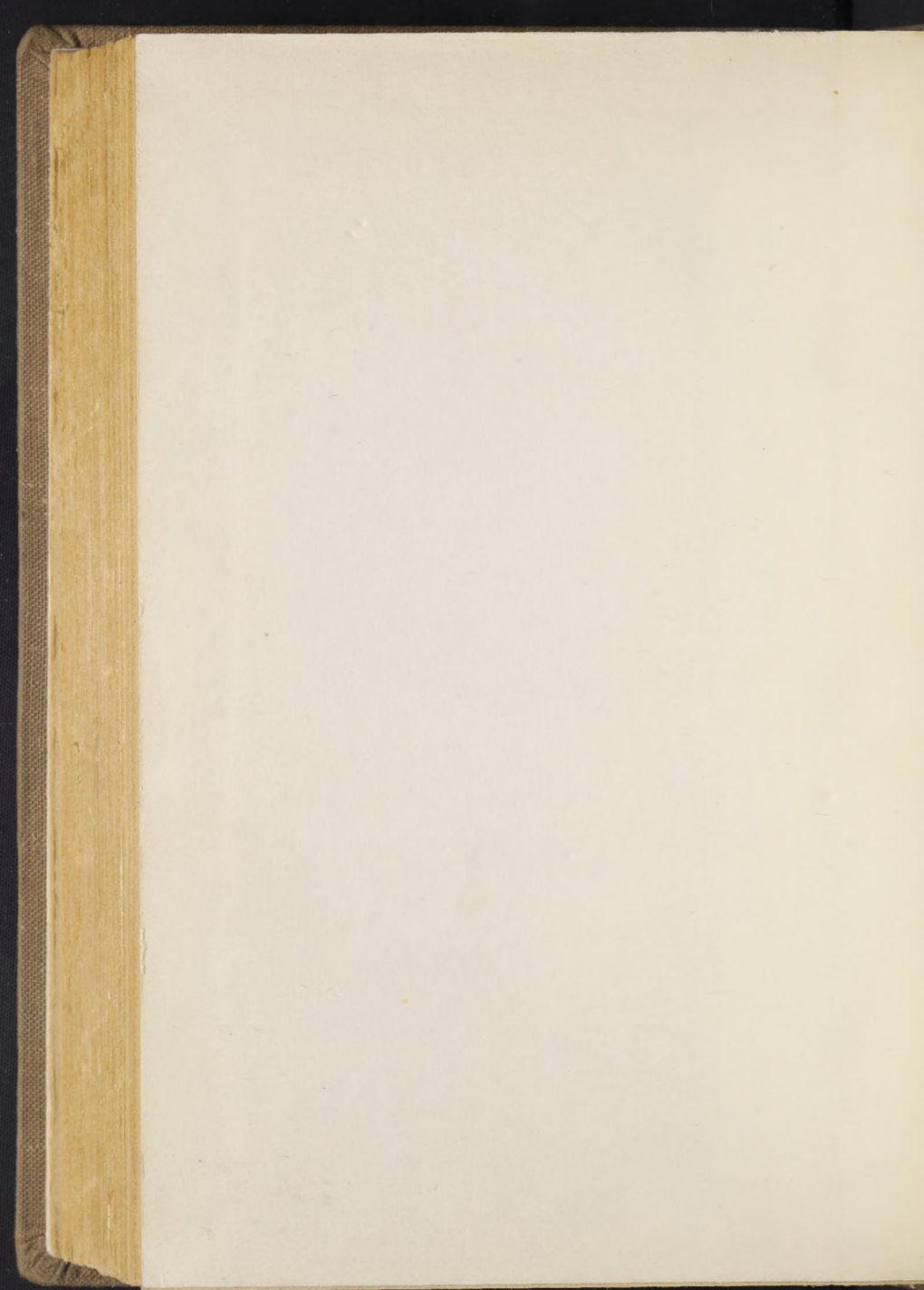
KONIEC











A. Kornecki  
4-ug, 19.2.69  
- 75 zł



416191

---

---